

**JONATHAN CARROLL**

# **ZAŚLUBINY PATYKÓW**

**PRZEŁOŻYŁ JACEK WIETECKI**  
**TYTUŁ ORYGINAŁU THE MARRIAGE OF STICKS**

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## PIES ŚCIELE ŁÓZKO

Ostatecznie wszyscy mamy do opowiedzenia tylko jedną historię. A chociaż ją przeżyliśmy, zazwyczaj opuszcza nas odwaga i nie mamy pojęcia, jak ją opowiedzieć.

Ja żyłam zbyt krótko, teraz więc, kiedy jestem w stanie mówić o moim życiu, będę kłamała. W jakim celu? Nie został nikt, komu można by zaimponować. Ludzie, którzy mnie niegdyś kochali lub nienawidzili, albo już odeszli, albo ciągną resztką sił. Z jednym wyjątkiem.

Nie pozostaje mi nic innego niż pamięć. Jestem bardzo, bardzo starą kobietą z głową pełną wspomnień kruchych jak jajka. Mimo to głośno domagają się posłuchu. „Pamiętaj mnie!” — krzyczą. Albo: „Przypomnij tego gadającego psa”. Ja odpowiadam: „Nie oszukujcie mnie! Jesteście pewne? Czy tylko upiększacie historię, aby poprawić mi samopoczucie?”

Łatwo obrócić się lepszym profilem do zwierciadła historii. Ale jemu jest wszystko jedno. Przekonałam się o tym.

Lustra i mapy. „X” oznacza nie miejsce, gdzie zaczyna się życie, lecz gdzie zaczyna się ono liczyć. Zapomnijcie o tym, kim byli wasi rodzice, czego się nauczyliście, co zrobiliście. Zapomnijcie o zyskach i stratach. Gdzie się zaczęła wasza podróż? Kiedy zdaliście sobie sprawę, że wychodzicie za bramę?

Moja opowieść — „X” na mojej mapie — rozpoczęła się w hotelu w Santa Monica, kiedy Pies posłał łóżko.

Poznaliśmy się zaraz po college’u. Przez półtora roku oboje szczerze wierzyliśmy, że to będzie wielka miłość naszego życia. Zamieszkaliśmy razem, po raz pierwszy zwiedziliśmy Europę, wspominaliśmy nieśmiało o małżeństwie i o imionach, jakie nadamy naszym dzieciom. Kupowaliśmy przedmioty pasujące do wspaniałego starego domu nad oceanem, który pewnego dnia zamierzaliśmy kupić. Był najlepszym kochankiem, jakiego miałam.

Zgubił nas optymizm: kiedy ma się dwadzieścia jeden lat, świat jawi się w różowych kolorach. Wydaje ci się, że życie kryje tak wiele cudownych niespodzianek, iż możesz sobie pozwolić na niedbałość. Traktowaliśmy nasz związek jak niezawodny samochód, który zawsze — w pogodę i niepogodę — zapali i pojedzie. Myliliśmy się.

Między nami pogorszyło się z dnia na dzień. Nie byliśmy przygotowani na porażkę i głupie okrucieństwo wobec siebie. W tak młodym wieku człowiek zamienia kochanka w śmiertelnego wroga w ciągu paru oddechów. Przeważałam go Psem, a on ochrzcił mnie Suką. Zasługiwaliśmy na nasze imiona. Dlaczego więc, dwanaście lat później, ten sam Pies siedział w drogim hotelowym pokoju, kiedy wyszłam spod prysznic, z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem, i stwierdziłam z zadowoleniem, że posłał łóżko? Łóżko, które dzieliliśmy przez ostatnie dziesięć godzin, jak zawsze z ogromną przyjemnością. Ponieważ należy brać, co dają. Kobiety uwielbiają paplać. Jeśli znajdziesz mężczyznę, który nie tylko lubi słuchać, ale też jest czułym kochankiem, palicho całą resztę. Musisz przecież żyć w swojej skórze i sumieniu. Jeżeli możesz odwiedzić ekskochanka i nadal cieszyć się rzeczami, które was kiedyś łączyły, to znaczy, że należą one do ciebie, jeśli tylko ich chcesz. Czy tak wypada? Wiem tylko tyle, że życie składa się z coraz większych nakładów i z coraz mniejszych zysków, kończy się zaś siedzeniem na fotelu z nieruchomo utkwionym wzrokiem. Zawsze przeczuwałam taki koniec. Chciałam być starą, pogrążoną we wspomnieniach kobietą, nie jęczącą staruchą, która czeka, aż śmierć zadzwoni na obiad.

Przez wiele lat Pies i ja spotykaliśmy się przy różnych okazjach. Niemal zawsze było to kilka radosnych, egoistycznych dni. Wstępował w nas nowy duch — tak mówił Pies, i miał rację.

Posłał łóżko i ogarnął pokój. Taki właśnie był Doug Auerbach: zorganizowany i do

pewnego stopnia zaradny. Podziwiałam go, choć cieszyłam się, że nie wyszłam za niego za mąż.

Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak dzień wcześniej, kiedy go zajmowaliśmy. Pies siedział z rękami na kolanach i oglądał teleturniej w telewizji. „Ochy” i „achy” publiczności brzmiały smutnawo w liliowej pieczarze pokoju. Stałam, patrząc na niego, i zastanawiałam się, kiedy znów się spotkamy.

Nie odrywając oczu od telewizora, Pies powiedział, że dużo o mnie myślał. Spytałam, w jakim sensie. Odparł, że ożenił się i rozwiódł, odniósł dość umiarkowany sukces zawodowy i w sumie miał więcej powodów do żalu niż dumy. Widział we mnie swoje przeciwieństwo. Gdy zaprotestowałam, spojrział na mnie i rzekł: „Błagam, nie!” Jakbym chciała mu wyrządzić straszną krzywdę.

Potem wyłączył telewizor i spytał, czy wyświadczę mu wielką przysługę. Naprzeciw hotelu znajdowała się duża apteka. Chciał, abym poszła tam z nim, gdyż potrzebował brzytwy i szamponu. Wiedział, że zanim odlecę wieczorem do Nowego Jorku, muszę załatwić mnóstwo spraw, ale ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu.

Czym prędzej ubrałam się, podczas gdy Pies siedział i obserwował mnie, jak krzątam się po pokoju. Cóż ważnego może być w wyjściu do apteki? Złościłam się, ale czułam zarazem, że jego prośba ma w sobie coś żalosego i naglącego.

Apteka okazała się jednym z tych ogromnych sklepów, które sprzedają trzydzieści gatunków pasty do zębów i gdzie klienci snują się między stoiskami jak w amoku.

Zatrzymaliśmy się przy regale z brzytwami i szamponami. Było oczywiste, że Psu nie spiesz się ze znalezieniem tego, czego szukał.

— Co jest grane, Doug?

Obrócił się do mnie i uśmiechnął.

— Hmm?

— Muszę stać przy tobie, żebyś kupił mydło?

Przez chwilę milczał, tylko patrzył na mnie, jakby rozważał moje pytanie.

— Chciałem to zrobić od chwili, gdy dowiedziałem się o naszym spotkaniu. Bardziej niż rozmawiać, kochać się, cokolwiek. Chciałem pójść z tobą do sklepu i przechadzać się, udając, że jesteśmy mężem i żoną. Krótki wypad, żeby kupić aspirynę i program telewizyjny, a może lody. Szkoda, że jest tak wczesna pora, ale wczoraj nie chciałem ci nic mówić. Zawsze bierze mnie zazdrość, kiedy idę do całonocnych aptek albo sklepów i widzę robiące zakupy pary. Zaglądam im do koszyków, żeby zobaczyć, co kupują.

— Nie robiłeś tego nigdy z żoną? — Miałam ochotę dotknąć jego ramienia, ale się powstrzymałam.

— Pewnie, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz to co innego, rozumiesz? Wtedy to był po prostu uciążliwy obowiązek. Wiedziałem, że z tobą będzie to mała przygoda, podczas której oboje będziemy się dobrze bawić. Nawet jeśli nic nie kupimy, będziemy...

Popatrzył na mnie, ale zamilkł. Najgorsze, że wiedziałam doskonale, o co mu chodzi, i było mi go żal. Wzywały mnie jednak inne sprawy, które były dla mnie ważniejsze. Chciałam go jakoś pocieszyć, ale jednocześnie chciałam już stamtąd wyjść. Wizyta w aptece miała dla niego o wiele większe znaczenie niż dla mnie.

Kupiliśmy, co trzeba, wróciliśmy do hotelu i wymeldowaliśmy się. Czekaając na moją taksówkę, przytuliliśmy się do siebie. Powiedziałam, że spotkamy się pod koniec lata w Nowym Jorku.

Gdy przyjechała taksówka, Pies odezwał się:

— Wiesz, jest teraz taki sławny raper imieniem Dog. Snoop Doggy Dog.

— Odpada. Jesteś jedynym Psem w ludzkiej postaci, jakiego kocham.

Skinął głową.

— Dzięki za aptekę.

Właśnie wówczas powinnam się zorientować, że w powietrzu wisi coś więcej niż czysty tlen. Dlaczego trzeba całego życia, by sobie uświadomić, że złowróżbne znaki pojawiają się równie często jak ptaki na czereśni? Jadąc taksówką na lotnisko, ujrzałam coś, co powinno z perspektywy czasu zmusić mnie do zastanowienia, co się dzieje, ja zaś gapiłam się na zegarek w nadziei, że nie spóźnię się na samolot.

Kierowca — barczysty, starszy mężczyzna — miał na głowie bejsbolówkę z nadrukiem San Diego Padres. Nie odezwał się ani słowem, nie licząc urażonego jęknięcia, kiedy ładował moją walizkę do bagażnika. W porządku: usiadłam z tyłu i odpowiadałam na telefony od ludzi, których w Los Angeles unikałam jak ognia. Opanowałam tę sztukę do perfekcji — dzwonisz do kogoś i mówisz, że właśnie jedziesz na lotnisko, ale nie mogłeś się nie odezwać przed wyjazdem. Wtedy twój rozmówca opowie ci wszystko w pięć minut, na co w innych okolicznościach straciłby dwie godziny i pieniądze na wystawną kolację. Kto powiedział, że cierpliwość rośnie z wiekiem? Ja miałam coraz mniej cierpliwości i byłam z tego dumna. Jeśli osiągnęłam jakiś sukces, to tylko dzięki krótkim i zdecydowanym działaniom. Tego samego oczekiwałam od innych. Podczas ostatniej rozmowy przez telefon miałam zamknięte oczy i dlatego z początku umknęło mi to, co powiedział kierowca. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam zdumiewający widok: jakaś kobieta siedziała na wózku inwalidzkim obok pasa autostrady. Choć była już pewnie ósma wieczór, latarnie nie paliły się. Mrok rozpraszały jedynie pulsujące strumienie samochodowych świateł. Kobieta mignęła nam za szybą i znikła w ciemności Los Angeles. Lecz przez moment, kiedy oświetliło ją auto przed nami, a potem my, widzieliśmy ją wyraźnie: siedziała na wózku dla paralityków na opustoszałym poboczu drogi.

— Świrówa! W LA jest pełno świrów.

Spojrzałam we wsteczne lusterko. Kierowca patrzył na mnie, oczekując potwierdzenia.

— Może nie jest świrem. Może zablądziła albo coś jej się stało.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Ale gdzie tam. Jak człowiek jeździ na taksie, to widzi takie rzeczy cztery razy dziennie. Jeśli chcesz zobaczyć, jak wariacki jest ten świat, usiądź za kółkiem.

To wyjaśnienie nie usatysfakcjonowało mnie i zadzwoniłam pod 911. Musiałam zapytać taksówkarza, w którym miejscu widzieliśmy tę kobietę. Odpowiedział mi oschłym tonem. Policjant przyjmujący zgłoszenie poprosił o więcej szczegółów. Odparłam, że przy autostradzie jest kobieta na wózku inwalidzkim i że mam wrażenie, iż tak być nie powinno.

W samolocie myślałam ciągle o tych trzydziestu minutach spędzonych w aptece i o kobiecie na wózku. Obydwa zdarzenia obudziły we mnie niepokój. Kiedy jednak wylądowaliśmy w Nowym Jorku, pochłonęły mnie codzienne sprawy, które musiałam załatwić przed spotkaniem z Zoe.

Na myśl, że zobaczę moją najlepszą przyjaciółkę i że zrobimy to, co zaplanowałyśmy, serce trzepotało mi w piersi. Miałyśmy spotkać się z ludźmi z ogólniaka w piętnaście lat po maturze.

Takie okazje wydają się wspaniałe na kilka miesięcy przed tym, nim się zdarzą. W miarę jak zbliżał się dzień zjazdu, mój entuzjazm ścinał się jak zsiadłe mleko. Z jednej strony byłam ciekawa, co się stało w ciągu tych wszystkich lat z niektórymi kolegami i koleżankami z mojej klasy. Z drugiej strony byłam przerażona spotkaniem z ludźmi, którzy rozporządzali moim życiem, kiedy miałam osiemnaście lat.

Teraz przestałam się już martwić o przeszłość, ale gdy miałam trzydzieści trzy lata, było inaczej. Zakłopotanie dopadało mnie z całą siłą. Przejmowałam się tym, co myślą o mnie inni. Nawet piętnaście lat po szkole chciałam pojawić się wśród starych kumpli, mając pewność, że większość z nich ucieszy się, zdziwi lub będzie zazdrosna — niekoniecznie w tej kolejności.

Co innego Zoe. W porównaniu z moim życiem życie Zoe Holland przypominało strzelnicę z nią jako celem na tarczy. Wykruszyła się już na pierwszym roku studiów i wyszła za męża,

kiedy odkryła, że jest w ciąży. Ojcem okazał się głupi mały skunks nazwiskiem Andy Holland, który w trzy miesiące po ślubie zaczął sypiać, z kim popadło. Ani Zoe, ani ja nigdy nie mogliśmy zrozumieć, po co chciał się żenić. Zoe i Andy mieli dwoje dzieci, jedno zaraz po drugim.

Potem ni stąd, ni zowąd Andy oświadczył, że odchodzi. Zoe została sama z dwójką dzieci i bez środków do życia. Fakt, że przetrwała, był godny najwyższego szacunku, gdyż nic nie przygotowało jej na taki los.

Zoe była jedną z prymusek w naszej klasie — najlepsze stopnie i mnóstwo przyjaciół, a jej chłopcem był kapitan szkolnej drużyny futbolowej, Kevin Hamilton. Wszyscy wzdychali na jej widok. Ale Zoe była tak sympatyczna, że prawie nikt nie zazdrościł jej szczęścia. Była optymistką i nawet w najtrudniejszych momentach wierzyła, że jeśli tylko będzie ciężko pracować i okaże ludziom dobre serce, to wyjdzie na prostą.

Wykonywała różne prace dorywcze i jakoś wiązała koniec z końcem. Kiedy dzieciaki podrosły i poszły do szkoły, zapisała się do college'u społecznego. Tam spadł na nią kolejny cios: poznała przystojnego faceta, który parę miesięcy po wprowadzeniu się do jej mieszkania zaczął ją bić.

Tak więc filozofia Zoe nie sprawdzała się i przez następne lata przytrafiło jej się więcej złego niż dobrego. W czasie gdy odbywał się szkolny zjazd, mieszkała w małym smętnym domku w naszym rodzinnym mieście, jedno z jej dzieci uzależniło się od narkotyków, a drugie nie wykazało się w życiu niczym szczególnym.

Z Manhattanu pojechałam pociągiem. Jako że moi rodzice przenieśli się do Kalifornii, od dziesięciu lat nie byłam w Connecticut. Ten przejazd pociągiem w owo gorące piątkowe popołudnie okazał się początkiem podróży w przeszłość, w którą wybierałam się pełna rozterek i wątpliwości.

Nie widziałam Zoe od wielu lat, chociaż od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon. Czekala na mnie na peronie, sprawiając wrażenie szczęśliwej i znużonej. Przybrała na wadze, lecz najbardziej uderzył mnie rozmiar jej biustu. W liceum bez przerwy żartowałyśmy z naszych niedoborów w tej części ciała. Teraz natomiast Zoe przeżyła się dumnie w czarnym polo, które kołysało się znacząco. Musiałam gapić się na nią zbyt ostentacyjnie, bo kiedy się uścisnęłyśmy, Zoe dała krok w tył, oparła ręce na biodrach i spytała chęlnie:

— No, i co ty na to?

Wokół nas kręciło się pełno ludzi, toteż nie chciałam mówić nic nazbyt oczywistego. Pokręciłam głową i stwierdziłam:

— Imponujący!

Objęła się w pół i wyszczerzyła zęby.

— Nieprawdaz?

Wsiadłyśmy do jej starego subaru i ruszyłyśmy w miasto. Przez całą drogę Zoe układała rapsody na cześć nowego narzeczonego, Hectora — najwspanialszego mężczyzny, jakiego znała. Jedyne kłopot w tym, że Hector był żonaty i miał czwórkę dzieci, jednak żona go nie rozumiała, a on... resztę łatwo sobie dopowiedzieć.

Zoe wyglądała jak święta na obrazku. Co chwila przesuwałam wzrok z jej twarzy na ten biust, którego nie powstydzilaby się żadna gwiazda filmowa, i sama nie wiedziałam, co myśleć ani powiedzieć. Ojciec rodziny Hector miał ją w garści, lecz Zoe wydawała się wniebowzięta. Z jej wypowiedzi wynikało, że jest szczęśliwa, iż znalazł się ktoś, kto chciał wziąć ją w garść.

Jej domek był tak mały, że nie miał nawet podjazdu, toteż zaparkowałyśmy na ulicy. Na pierwszy rzut oka chatynka była z rodzaju tych, które widnieją w biografii sławnych ludzi jako domostwa, w których wychowali się lub które kupili sobie na początku, kiedy biedni, lecz pełni wiary we własne siły zaczynali swoją karierę.

Zoe wysłała dzieciaki na weekend, żebyśmy miały cały dom dla siebie i nie musiały się

nimi przejmować.

Kiedy szukała klucza do drzwi wejściowych, poczułam nagle uszczypnięcie strachu. Raptem odechciało mi się wchodzić do jej domu. Nie byłam ciekawa, co jest w środku. Nie chciałam oglądać materialnych świadectw z życia mojej przyjaciółki — na kominku, na ścianie, na stoliku do kawy. Fotografii rozwydrzonych dzieciaków, pamiątek z miejsc, w których przez kilka dni była szczęśliwa, taniej wersalki, na której odcisnęły się ślady nieruchomych tyłków gapiących się w telewizor przez miliony godzin.

Okazało się jednak, że się mylę, co tym bardziej złamało mi serce. Zoe stworzyła cudowny dom. Całą swoją miłość i troskę przelała na tych kilka małych pokoików. Kiedy szłam przez nie, podziwiając jej gust, poczucie humoru i talent do znajdowania rzeczom ich właściwego miejsca, cały czas zadawałam sobie pytanie, dlaczego jej się nie ułożyło. Czemu tak wiele nieszczęść spotkało tak dobrego człowieka?

Na tyłach domu było małe podwórko, które Zoe zostawiła na koniec, ponieważ czekała mnie tam pewna niespodzianka. Oto pośrodku sterczał znajomy brązowy namiot, na którego widok wybuchnęłam głośnym śmiechem.

— To ten sam?

Zoe promieniała radością.

— Ten samiuteńki! Przechowałam go przez te wszystkie lata. Dzisiaj znowu będziemy spać pod gołym niebem!

Kiedy miałyśmy po naście lat, nasz weekendowy rytuał zawsze był niezmienny: latem rozbijałyśmy namiot, wypychałyśmy go konserwami i czasopismami o modzie, po czym zaszywałyśmy się w nim na noc, by paplać jak najęte i snuć na głos marzenia. Domy należały do naszych rodziców, ale ten stary skautowski namiot był niepodzielnie nasz. Bracia Zoe mieli zakaz wstępu — prędko się z nimi uporałyśmy, kiedy próbowali go nam ukraść. To, o czym rozmawiałyśmy po nocach, było równie tajemnicze i ważne jak krew krążąca w naszych żyłach.

Podeszłam do namiotu i dotknęłam jednej poły. Poczawszy w palcach znajomy, szorstki materiał, natychmiast przypomniałam sobie czas, kiedy życie miało jeszcze sens, wszystko wydawało się możliwe, a James Stillman był dla mnie najważniejszą osobą na świecie.

— Zajrzyj do środka.

Pochyliłam się i zerknęłam do wnętrza. Na ziemi leżały dwa śpiwory, między którymi stała lampa gazowa Colemana. Obok niej było pudełko batoników „Zagnut”.

— O rany, Zagnuty! Zoe, pomyślałaś o wszystkim!

— Wiem! Nie do wiary, że ciągle je produkują. Och, Mirando, mam ci tyle do opowiedzenia!

Wróciłyśmy do domu. Zoe zaprowadziła mnie do pokoju córki, gdzie przebrałam się w lżejsze rzeczy. Następnie zaproponowała, żebyśmy przed kolacją objechały miasto i rzuciły okiem na stare śmieci.

Przejazd przez miasteczko, którego nie odwiedzało się wiele lat, jest znacznie bardziej przerażający niż wizyta w domu ze straszylami w lunaparku. Czego masz się spodziewać? Co chciałbyś ujrzeć? Po tak długiej nieobecności wiesz, że wiele musiało się zmienić. Mimo to każda nieuchronna zmiana jest jak głęboka rana w duszy. Żal, żal. Gdzie są te wszystkie miejsca, w których kiedyś bywałam?

Pizzeria Iansitiego zniknęła, stał tam teraz sklep muzyczny z postmodernistyczną fasadą. Sprzedawano w nim płyty — nie długogrające, jak niegdyś, ale kompaktowe. Pomyślałam o tych pizzach z dodatkiem sera i pepperoni, które zjadłyśmy u Iansitiego, i o wszystkich marzeniach i szczeniackich hormonach buzujących w tej podłej knajpie z poplamionymi kartami dań, gdzie paru tłustych Włochów w bawełnianych podkoszulkach macało nas wzrokiem zza kontuaru.

— Czasami, kiedy jadę tymi ulicami, wydaje mi się, że widzę siebie przesiadującą w

naszych dawnych, ulubionych miejscach. — Zoe roześmiała się i zwolniła na żółtym świetle przed bankiem, w którym niegdyś pracowała matka Jamesa.

Obróciłam się do niej.

— Którą siebie: tę dawną czy dzisiejszą?

— Och, tę dawną rzecz jasna. W tym mieście zawsze uważam się za siedemnastolatkę. Nigdy nie pogodziłam się z faktem, że jestem dwa razy starsza niż wtedy i nadal tu mieszkam.

— Nie czujesz się dziwnie, kiedy mijasz stare budynki? Na przykład dom należący do twoich rodziców?

— Bardzo. Ale on umarł wraz z ich śmiercią. Dom to zamieszkujący go ludzie, a nie tylko budynek. Żałuję, że go sprzedałam, kiedy na rynku była dekonjunktura. Ot, i całe moje życie.

Przejechałyśmy obok szkoły, która mimo nowych dobudówek ciągle robiła posępne wrażenie. Minęłyśmy park, gdzie pewnej letniej nocy o mało nie straciłam piętnastoletniego dziewczęstwa. Dalej, na Post Road, stał sklepik z lodami zwany „Karawela”, gdzie James i ja usiedliśmy kiedyś na masce jego starego, zielonego saaba i wcinaliśmy lody waniliowe w gorącej czekoladowej polewie.

Aż do tej chwili nie potrafiłam zdobyć się na odwagę, by zadać pytanie, które mnie nurtowało, ale widząc ten drogi memu sercu sklepik, uznałam to za znak, że już czas. Siłąc się na obojętny ton, zapytałam:

— Czy James będzie na zjeździe?

Zoe spojrzała na zegarek i dramatycznie wypuściła powietrze, jakby wstrzymywała je od wielu minut.

— Hu! Wytrzymałaś przeszło godzinę bez pytania. Nie wiem, Mirando. Rozpytywałam się, ale nikt nie wiedział. Jestem pewna, że wie o zjeździe.

— Zanim wyruszyłyśmy w miasto, nie uświadamiałam sobie, jak bardzo jest ono przesiąknięte obecnością Jamesa. — Popatrzyłam na Zoe. — Nie wiedziałam, czego oczekiwać po powrocie, ale teraz na każdym kroku widzę jego! Wciąż odkrywam miejsca, gdzie byliśmy razem. Gdzie byliśmy szczęśliwi.

— Mirando, on był miłością twojego życia.

— Kiedy miałam osiemnaście lat! Od tamtej pory zrobiłam kilka innych rzeczy. — W moim głosie brzmiało święte oburzenie. Za bardzo się usprawiedliwiałam.

— Mniej, niż ci się zdaje. — Zoe uśmiechnęła się i posłała mi szybkie spojrzenie. — Liceum ogólnokształcące to śmiertelna choroba. Albo zabija cię od razu, albo drzemie w twojej duszy przez lata, by nagle cię dopaść.

— Daj spokój, Zoe. Sama w to nie wierzysz. Przecież bawiłaś się cudownie przez całe liceum.

— No właśnie! I to mnie zabiło. Nic nie mogło się już potem równać z liceum.

— Mówisz to z taką radością? Zachichotała.

— Cieszę się na ten zjazd, bo dla tych ludzi nie jest ważne, co się ze mną działo przez ostatnie piętnaście lat. Dla nich pozostanę na zawsze złotą dziewczyną z najwyższą średnią ocen. Liderką kibicek, której chłopak to kapitan drużyny futbolowej. A ty będziesz zawsze Mirandą Romanac, porządną dziewczynką, która w ostatniej klasie wprawiała wszystkich w osłupienie, zakochując się w największym łobuzie w szkole. — Zoe klepnęła mnie w kolano.

— Tak jest — powiedziałam z kiepskim irlandzkim akcentem. — I niech Bóg błogosławi temu chłopcu!

Zoe podniosła rękę, jakby trzymała w niej kieliszek, i wzniosła toast:

— I niech błogosławi Kevinowi. Mam nadzieję, że on także przyjdzie na zjazd. Będzie absolutnie cudowny, oczaruje mnie i obdarzy szczęściem na resztę mojego życia.

Serce wezbrało mi tak gwałtownie, że nie mogłam zaczerpnąć oddechu. Dokładnie te same myśli chodziły mi po głowie, od kiedy dowiedziałam się o zjeździe klasowym.



Jamesa Stillmana poznałam na lekcji geometrii. Bóg mi świadkiem, że słyszałam o nim przedtem — jego reputacja wyprzedzała go o wiele mil. Miał hipnotyzujący wpływ na niewinne dziewczęta, które szły za nim sznurem do łóżka. Kiedyś ukradł narty w sklepie sportowym, a nazajutrz miał czelność wrócić tam, żeby naostrzyli mu krawędzie. Podobno podczas jednej ze słynnych libacji James i jego koleżkowie puścili z dymem porzucony dom Brodych. Ogólnie rzecz biorąc, Jamesowi nie zależało na tym, aby zostać przykładowym obywatelem.

Po szkolnych korytarzach pałętała się zwykle grupka typowych chuliganów w szpanerskich skórzanych kurtkach i z wymyślnymi fryzurami, ale wersja Jamesa Stillmana różniła się zupełnie od tej ludzkiej sztampy. Zafascynował mnie jego wielki, niepowtarzalny styl, choć wtedy tak naprawdę nie wiedziałam jeszcze, co to słowo znaczy. Na przekór złej sławie James ubierał się jak wzorowy student — tweedowa marynarka, spodnie khaki i mokasyny. Słuchał europejskich zespołów rockowych, Spliff i Guesch Patti, i podobno nawet uwielbiał gotować. Kiedy chodził z Claudią Beechman, kazał w dniu jej urodzin przysłać jej bukietek żółtych róż na lekcję wuefu. Jak większość dziewcząt w szkole obserwowałam go z dystansu, zastanawiając się nieraz, czy to wszystko, co się o nim mówi, jest prawdą. Jak to jest — znać go, iść z nim na randkę, całować się? Były to jednak retoryczne pytania, wiedziałam bowiem, że nigdy nie przysłoby mu do głowy zadawać się z kimś równie bezbarwnym i grzecznutkim jak ja. — Co powiedział?

W mojej głowie rozległo się głośnie BUM!, zanim uświadomiłam sobie, że to James Stillman zadał mi pytanie. Na geometrii siedział tuż za mną, ale tylko dlatego, że posadzono nas w porządku alfabetycznym. Nim dotarło do mnie, co się stało, James powtórzył pytanie, tym razem opatrując je moim imieniem:

— Mirando? Co on powiedział?

A więc mnie znał. Wiedział, kim jestem.

Belfer właśnie oznajmił, że Ziemia jest spłaszczoną sferoidą, co odnotowałam skrzętnie w zeszytcie. Obróciłam się i wyszeptalam:

— Powiedział, że Ziemia jest spłaszczoną sferoidą.

James przyglądał mi się uważnie, jakby cały ranek czekał na to, co powiem.

— Czym?

— No... spłaszczoną sferoidą.

— Co to jest?

Już miałam powiedzieć, że „to takie równe jajko”, lecz coś w środku kazało mi się zamknąć. Zamiast tego wzruszyłam ramionami.

Na ustach Jamesa wykwitł mały uśmieшек.

— Wiesz, ale nie chcesz się przyznać.

Wpadłam w popłoch. Czyżby zorientował się, że udaję głupią specjalnie dla niego?

— Dobrze jest wiedzieć różne rzeczy. Ja po prostu znam się na czym innym. — Uśmiechnął się tajemniczo i odwrócił głowę.

Po skończonej lekcji wstałam ze spuszczonego wzrokiem i najwolniej jak mogłam zbierałam książki, żeby uniknąć wyjścia z klasy razem z Jamesem.

— Przepraszam.

Stojąc bez ruchu, zamknęłam oczy. Był tuż za mną. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie musiałam jednak nic mówić, bo James obszedł mnie i stanął przede mną.

— Za co? — Nie potrafiłam na niego spojrzeć.

— Za to, co powiedziałem. Czy sądzisz, że kiedykolwiek umówiłabyś się ze mną?

Pamiętam do dzisiaj, że w tamtym momencie poczułam, jak obraca się we mnie koło przeznaczenia. Na ułamek sekundy przed odpowiedzią wiedziałam już, że od tej chwili wszystko się zmieni.

— Chcesz się umówić ze mną? — Staralam się nadać swemu głosowi lekki, ironiczny ton, aby pokazać, że go przejrzałam, w razie gdyby żartował.

Twarz Jamesa pozostała obojętna.

— Tak. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem z tobą pogadać.

Do końca roku stanowiliśmy nierozłączną parę. James różnił się ode mnie pod każdym względem. Po raz pierwszy w życiu przekonywałam się — z coraz większą radością — że różnice mogą się wzajemnie uzupełniać. Każde z nas chciało pokazać drugiemu własny świat. W jakiś sposób pasowały one do siebie.

Ani razu nie poszliśmy do łóżka, co było jednym z wielkich błędów mojego życia. James był pierwszym mężczyzną, którego pokochałam dorosłym sercem. Do dziś żałuję, że nie został moim pierwszym kochankiem — zamiast przystojnego ofermy, któremu oddałam się w miesiąc po dostaniu się do college'u.

Nie pytałam go o inne dziewczyny, ale wbrew swojej reputacji James nigdy nie robił nic, czego bym nie chciała. Był łagodny, kochający i wyrozumiały. Owieczka w wilczym przebraniu. Na dodatek potrafił zabójczo całować. Nie zrozum mnie źle — fakt, że nie zrobiliśmy tego, nie wyklucza kilkuset rozkosznych godzin na stojąco, w gorącym, łapczywym uścisku.

Ponieważ mieliśmy tak skrajnie różne charaktery, Jamesa pociągał mój świętoszkowaty konserwatyzm. Wiedział, że chcę zachować dziewictwo, dopóki nie wyjdę za męża, i nigdy nie próbował na siłę zmieniać mojego zdania. Może dlatego, że przyzwyczał się, iż dziewczęta zawsze spełniały wszelkie jego zachcianki, ja byłam dla niego jak przybysz z obcej planety — dziwoląg, którego należy zbadać.

Jak to często bywa, nasz związek rozpadł się w chwili, gdy wyjechaliśmy do college'ów znajdujących się w różnych stanach. W pierwszych miesiącach rozłąki zasypywałam go wściekłymi, namiętymi listami. On przysyłał głupie pocztówki z dwiema linijkami tekstu, co świetnie pasowało do jego roli „złego Jamesa”. Po jakimś czasie nowi ludzie, poznani w college'u, i inne pasje, które w sobie odkryłam, sprawiły, że moje listy do Jamesa stały się coraz rzadsze. Nasze pierwsze spotkanie podczas wakacji zimowych było ciepłe i czułe, ale oboje żyliśmy już gdzie indziej. Towarzyszył nam nastrój nostalgii, nie myśleliśmy jednak o budowaniu wspólnej przyszłości.

Przez następane lata dochodziły mnie wieści o nim z różnych źródeł, nigdy nie wiedziałam, które są prawdziwe, a które z trzeciej ręki. Ktoś twierdził, że James pracuje na przystani żeglarskiej, ktoś inny utrzymywał, że ukończył college i dostał się na prawo. Jeżeli tak było, to James stał się zupełnie innym człowiekiem. Jedni mówili, że mieszka w Kolorado, drudzy, że w Filadelfii. Raz był żonaty, to znowu wolny. Czasami, kiedy nie mogłam zasnąć, miałam chandrę albo po prostu śniłam na jawie, myślałam o moim dawnym ukochanym i zastanawiałam się, co się z nim dzieje. Toteż natychmiast, gdy tylko przeczytałam zaproszenie na szkolny zjazd, przyszedł mi na myśl on: JAMES STILLMAN.

Przez wzgląd na dawne dzieje Zoe i ja pojechałyśmy na obiad do restauracji „U Chucka”. Przepracowałyśmy tam kiedyś całe lato jako kelnerki, a wracając do domów z kieszeniami pękającymi od napiwków, czułyśmy się bardzo dorosłe. Chuck zmarł kilka lat temu, lecz syn przejął po nim interes i zachował restaurację w nie zmienionym stanie.

Co prawda Zoe oznajmiła wcześniej, że ma mi wiele do opowiedzenia, ale owego popołudnia wpadłyśmy jakby w pętlę czasową. Ucieszone rozmawiałyśmy dużo o przeszłości i mało o teraźniejszości. Wystarczyło nam pół godziny, aby streścić sobie nawzajem nasze życie. Weekend zapowiadał się pełen wspomnień, albumów ze zdjęciami, pytań typu: „A co słyszałaś u...?” i westchnień, ilekroć przypomnimy sobie, kim byłyśmy. Podczas obiadu nie interesowały nas dyskusje o tym, kim zostałyśmy albo czego miałyśmy nadzieję dokonać. Być może później przyjdzie na to czas: próbę podsumowania własnego życia po spotkaniu ze

starymi kolegami i koleżankami, kiedy spojrzy się na te doświadczenia z pewnej perspektywy. Okazało się jednak, że owo podsumowanie zostało dokonane za nas.

Po obiedzie pojechaliśmy z powrotem do Zoe. Korciło nas, by wskoczyć do namiotu, zanurzyć się w dawny nastrój, stare czasy. Prędyutko umyliśmy się, przebrałyśmy w piżamy i przy świetle lampy gazowej gadałyśmy do drugiej w nocy.

Następnego ranka Zoe wstała przede mną. Pierwsze, co pamiętam z owego historycznego dnia, to gwałtowne szarpnięcie za rękę. Nie wiedząc, co się dzieje, spróbowałam jednocześnie obudzić się i podnieść. Zapomniałam, że nie jestem w łóżku, że spowija mnie kokon śpiworu. Skrepowana zaczęłam rzucać się na boki, tym silniej zaciskając śpiwór. Gdy się z niego uwolniłam, włosy stały mi dęba, twarz miałam czerwoną jak rak, a bluza mojej piżamy była cała rozpięta.

— Mirando!

— Co? Co się stało?

— Nic ci nie jest?

— O co ci chodzi? — Dzień dopiero się zaczął, a ja już przybrałam ton usprawiedliwienia.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Miotłaś się przez sen. I wszystko to, co mówiłaś wczoraj w nocy, jak zapatrujesz się na różne sprawy... Masz przecież takie udane życie. Sama przyznałaś, że dobrze ci się wiedzie. A mimo to nie jesteś szczęśliwa. Mówisz tak, jakbyś...

— No, jak mówię, Zoe?

— Jakbyś miała sto lat. Jakbyś niczego już nie oczekiwała od życia, bo napatrzyłaś się na zbyt wiele, aby mieć jakąś nadzieję. Myślę, że jestem szczęśliwsza od ciebie. Ja też uważam, że życie nie jest zbyt przyjazne, ale wiem, że możemy kontrolować nadzieję. Ty zakręcasz i odkręcasz swoją nadzieję jak kurek. Ja staram się odkręcić swój kran do oporu.

— Bardzo dobrze, ale co robisz, gdy wszystko bierze w łeb? Co się dzieje, kiedy co chwila spotyka cię rozczarowanie?

— To cię zabija! Ale idziesz naprzód, a kiedy odnajdziesz siłę, znów zaczynasz mieć nadzieję. Twój wybór. — Zoe wysunęła rękę i ujęła moją dłoń. Poczułam się bardzo nieswojo.

— Może nauczyłam się, że ostrożność popłaca. — Czy twoja ostrożność pozwoliłaby ci zakochać się teraz w Jamesie Stillmanie?

Pytanie tak bezbłędnie trafiło w sam środek moich rozterek, że rozplakałam się. Zoe mocno uściśnęła mi dłoń, ale nie cofnęła ręki.

— W zeszłym tygodniu widziałam kobietę na wózku inwalidzkim przy drodze. Tuż koło autostrady na lotnisko w LA, którą przewalają się setki samochodów. Strasznie się o nią bałam. Nigdzie żywego ducha. Co ona tam robiła? Jak do tego doszło? Cały czas, nie wiedzieć czemu, myślałam tylko o niej, ale teraz już wiem. To byłam ja, Zoe. — Ty? W jaki sposób?

— Nie wiem. Jej bezradność, niebezpieczeństwo, zło tkwiące w całej tej sytuacji. Jej nie powinno tam być. Im dłużej żyję, tym bardziej robię się ostrożna. To tak, jakbyś przestała używać niektórych kończyn, bo nie są ci już potrzebne, albo dlatego, że jako dzieciak posługiwałaś się nimi do skakania po drzewach. I oto pewnego dnia zdajesz sobie nagle sprawę, że nie możesz już ruszyć nogą... — I lądujesz na wózku.

— Właśnie, ale nie ma w tym nic złego, ponieważ wszyscy twoi znajomi siedzą na takich samych wózkach. Nikt z kręgu naszych przyjaciół nie skacze już po drzewach. Prędzej czy później jednak dochodzimy do autostrady i jesteśmy całkiem sami. Nie ma nikogo, kto by nam pomógł, a przecież musimy dostać się na drugą stronę. I tak stoimy, narażeni na niebezpieczeństwo.

— A więc stoisz w miejscu?

— Gorzej. Jestem ostrożna i nie umiem się przemóc. Teraz bym się w Jamesie nie

zakochała. Obwąchałabym go ukradkiem i zaraz wzięłabym nogi za pas. Albo poturlałabym się na moim wózku jak najdalej od niego. Jest zbyt niebezpieczny.

— Ponieważ ma nogi?

— Nogi i ręce, i... ogon! Dzięki niemu James potrafił śmigać po drzewach. Dlatego właśnie był taki cudowny. I cudowne były tamte czasy: używałam obu rąk i nóg i czułam się bosko. Dzisiaj bałabym się zaryzykować. Nie mam pojęcia, jak smakuje moje szczęście.

Zoe patrzyła na mnie, podczas gdy ja zalewałam się łzami. W ładny letni dzień na podwórku mojej najstarszej przyjaciółki życie stanęło w miejscu. Nie miałam najmniejszej ochoty na ten zjazd, nawet jeśli będzie na nim James. Jego obecność tylko pogorszyłaby sprawę.

## O CZYM MÓWIĄ UMARLI

— Czy zastanawiasz się czasem, o czym mówią umarli? — spytała Zoe.

Stałyśmy obok siebie przed lustrem w jej maleńkiej łazience i kończyłyśmy robić makijaż.

— Nie bardzo rozumiem.

Zoe obróciła się do mnie. Jedna jej powieka była pomalowana tuszem, druga goła i świeża. Nawet bez makijażu jej oczy były zbyt małe, aby pomieścić tętniące w nich życie. Z małego radia w kącie łazienki leciał White Wedding Billy'ego Idola.

— Myślałam przed chwilą o moich rodzicach...

— Nie, nie, wróć do tego, co powiedziałaś: o czym mówią umarli.

Wymierzyła we mnie spiralą do rzęs.

— No cóż, wierzę w życie pozagrobowe. Nie wiem, jakie ono będzie, ale jestem pewna, że coś nas czeka. A jeśli tak, czy jest to jedno wielkie miejsce? Czy dołączasz do ludzi, których znałaś? Umówmy się, że tak. Myślałam o moich rodzicach. Gdyby zobaczyli nas teraz, jak szykujemy się do wyjścia, co by powiedzieli?

— Powiedzieliby: „Ślicznie wyglądacie”.

— Możliwe. Przecież wiedzą więcej od nas. Zawsze gdy widzę karawan, pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to: Oni już wiedzą. Zawsze ta sama myśl, że teraz już wiedzą.

— Hmm.

— Nawet najwykleszy, najmniej znaczący człowieczek. Jakiś facet, który całe życie siedział na ulicy w Kalkucie, umiera i raptem zna odpowiedź na największe ze wszystkich pytań.

— I co mu to da, skoro nie żyje? Po co my w ogóle rozmawiamy na ten temat, Zoe? Chcesz wprowadzić nas w odpowiedni nastrój?

— Myślę na głos przy mojej najstarszej przyjaciółce. Teraz z kolei ja spojrzałam na nią.

— Masz wielu przyjaciół? No wiesz, takich, z którymi możesz pogadać od serca? Przed którymi nie masz tajemnic?

— Nie. Z wiekiem coraz trudniej o takich. Człowiek staje się niecierpliwy. Przyjaźń wymaga sporej cierpliwości.

— Okay, w końcu to ty jesteś optymistką: Co się zmienia na lepsze, kiedy przybywa nam lat? Dostajesz zmarszczek na twarzy, stajesz się niecierpliwa, wiesz niby więcej, ale to nieprawda. Przynajmniej jeśli chodzi o to, co się liczy.

Zoe nie wahała się ani chwili.

— Uznanie. O wiele bardziej doceniam różne rzeczy. To, że mam przy sobie dzieciaki. Albo że siedzę z Hectorem w starym, zatęchłym barze... I tym podobne. Wiesz, kiedy byłam młodsza, nie zdawałam sobie sprawy z otaczających mnie zapachów. Interesowało mnie, czy dobrze wyglądam albo co się zaraz stanie. Teraz cieszę się każdą chwilą, kiedy panuje spokój, a ja nie muszę nigdzie pędzić. Zawsze chciałam być gdzieś indziej, nawet jeśli pysznie się bawiłam. Byłam pewna, że gdzieś tam musi być jeszcze lepiej.

Popatrzyłyśmy na siebie i jakby na dany znak, pokręciłyśmy wolno głowami.

— Nie chciałabyś wrócić w przeszłość, żeby powiedzieć sobie to, co wiesz obecnie? „Słuchaj, Zoe, lepiej ci już nie będzie, więc na miłość boską, ciesz się tym, co masz”.

— To by nic nie zmieniło. Cały czas powtarzam to dzieciakom, a one patrzają na mnie jak na stukniętą.

Skończyłyśmy makijaż i zlustrowałyśmy się nawzajem od stóp do głów.

— Dlaczego tak się przejmujemy naszym wyglądem? Wszyscy mężczyźni będą ubrani w kraciaste spodnie i białe mokasyny.

Głosem Lauren Bacall, najniższym, jaki mogłam z siebie wydobyć, odparłam:

— „James Stillman nigdy by nie włożył białych mokasynów”. To nie ja martwię się, czy

dobrze dziś wypadnę. To moje licealne ego.

— Akurat!

Obie roześmiałśmy się.

— No, czas na nas.

Auto Zoe stało cały dzień na słońcu, więc chociaż zapadł już wieczór, miałyśmy wrażenie, że jedziemy w nagrzanym piekarniku. Nie odzywałyśmy się zbyt wiele, usiłując nastawić się psychicznie na zbliżającą się niewiadomą.

Na parkingu przed klubem country tłoczyły się samochody, nie było ich jednak zbyt wiele, więc po kręgosłupie przebiegł mi zimny dreszcz.

— A jeśli nikt oprócz nas nie przyjdzie?

— Coś ty. Popatrz na te samochody.

— Ależ, Zoe, nie ma ich znowu tak wiele! Jeżeli przyjadą tylko Bob Zartell i Stefanie Olinka?

Na dźwięk nazwisk dwojga najkoszarniejszych ludzi z naszej klasy parsknęłam śmiechem. To okropne, ale nie mogłam się powstrzymać.

— Bob Zartell jest wart miliardy dolarów. — Daj spokój!

— Poważnie. Jest właścicielem gigantycznej fabryki prezerwatyw.

— Prezerwatyw? Teraz rozumiem, czemu kiedyś przezywano go „Kutafon”.

Zatrzymałyśmy się i wysiadłyśmy z samochodu. Byłam tak spocona, że mokra bluzka przylgnęła mi do ciała. Kilka plam potu znakomicie dopełni mojego wejścia w wielkim stylu. Dlaczego nie opaliłam trochę swojej bladej skóry? A może powinnam była włożyć jakąś odjazdową kreację, która emanowałaby forszą i luzem?

Zanim przyszło mi do głowy więcej radosnych myśli, Zoe wzięła mnie pod ramię.

— Idziemy.

Tylko raz, w dziesiątej klasie, byłam w klubie country Spence Hill, kiedy pewne dziewczę zaproponowało, żebyśmy spędziły tam letnie popołudnie. Miała twarz w odcieniu mokrego betonu i równie bogatą osobowość. Po paru godzinach odechciało mi się słuchania jej pretensji do całego świata, więc wykręciłam się sianem i poszłam do chaty. Pamiętam, że tamtego dnia tak się cieszyłam z powrotu do domu, że usiadłam w kuchni i gadałam z matką aż do kolacji.

— No, wchodzimy do środka, Mirando.

— Muszę iść do łazienki.

— Zoe? Zoe Holland?

Obróciłyśmy się na pięcie i ujrzałyśmy Henry’ego Ballarda, najsympatyczniejszego człowieka w naszej klasie, który wyglądał wypisz wymaluj jak piętnaście lat temu.

— O, Miranda! Jesteście obie? Cudownie!

Wieczór nie mógł się zacząć lepiej. Henry’ego, podobnie jak Zoe, lubili wszyscy. Momentalnie rozplatały nam się języki, podczas gdy omijający nas ludzie wchodzili do budynku. Jedni witali się, inni uśmiechali, niektórych udało nam się nawet rozpoznać. Po raz pierwszy tego dnia poczułam się odprężona. Może jednak wszystko pójdzie dobrze?

— Chyba lepiej już wejdźmy.

Henry skinął głową, ale obejrzał się za siebie.

— Właśnie czekam tutaj na... o, już idzie!

Niepozorny facet w pięknym błękitnym garniturze pomachał do nas ręką i przyspieszył kroku. Wymieniłyśmy z Zoe krótkie spojrzenia, ale żadna nie mogła go zlokalizować.

— Przepraszam za spóźnienie. Spadły mi kluczyki, uderzyły mnie w kolano i wleciały pod samochód... — Mężczyzna uśmiechnął się i wszystko się wyjaśniło.

Dlaczego był to dla mnie taki wstrząs? Dlatego że Henry grał w drużynie futbolowej i chodził z seksowną Ermą Bridges? Dlatego że poszłam z nim raz do kina i wciąż jeszcze pamiętam, jak delikatnie mnie całował? Czy dlatego, że moja przekorna natura nie umiała

pogodzić się z faktem, że Henry po piętnastu latach uznał, że lubi mężczyzn, i całował ich w ten sam czuły sposób?

— Zoe, Mirando, poznajcie Russella Lowry'ego. Wymieniliśmy uściski rąk, rozmawiając i dryfując wolno w stronę drzwi. Henry co chwila ocierał się o Russella, jak zawsze, kiedy związek jest nowy i sypią się iskry. Nigdy nie zdołałam rozgryźć, czy owe gesty mają człowieka uspokoić, że obiekt miłości ciągle jest tuż obok, czy po prostu wiążą się z radością, iż można obiektu dotykać, gdy ma się na to ochotę.

— Henry opowiadał mi o was. Zostałem starannie wyedukowany w kwestii „kto jest kim”, żeby nie popełnić faux pas.

— Tak? A co powiedział o mnie? — zapytałam, przystając. Russell zmrużył oczy, udając, że przegląda archiwa pamięci.

— Miranda Romanac. Bystra, raczej ładna niż piękna. Wielkie zabujanie w dziesiątej i jedenastej klasie. Kilka bliskich „sam na sam”. Ale przede wszystkim Henry wyznał, że byłąs pierwszą dziewczyną w jego życiu, z którą chciał chodzić.

— Raju! Co za komplement.

— Tak właśnie powiedział.

Nagle znalazłam się wśród znajomych twarzy, które poruszyły lawinę wspomnień. Nie dostrzegłam jednak Jamesa.

Jedni wyglądali dobrze, inni okropnie, niektórych zaś w ogóle nie można było poznać, póki nie przedstawili się bądź nie pokazano ich palcem. Nasza czwórka weszła do sali balowej i wzięła kurs na bar. Stanęliśmy z wielkimi drinkami w rękach, mając na twarzach głupawe, sztuczne uśmiešky, których używają północnokoreańscy dyplomaci.

Nie było mowy, abym ruszyła w tłum, dopóki nie zapoznam się z rzeźbą terenu. Lustrując salę, przypominałam sobie, jak ogromną rolę odegrała w moim życiu część zebranych tam ludzi. Zobaczyłam prześliczną Melinę Szep, która uratowała mnie od matematycznej zguby, dając mi ściągnąć ze swoich testów. Oto Linda Olson, która pewnej nocy tłumaczyła mi cierpliwie, co naprawdę robi się w łóżku z mężczyzną. Był to moment przełomowy, gdyż jej wyjaśnienia pozwoliły mi się zrelaksować. A oto i Steve Solomon, pierwsza osoba na ziemi, która wsadziła mi rękę pod spódnicę.

Nawet ci koledzy i koleżanki, z którymi miałam bardzo luźny kontakt, budzili we mnie ciepłe uczucia i rozrzewnienie. Przy stoliku w kącie siedzieli Terry West i Eric Maxwell, klasowi imprezowicze, przygłupawi, ale kocham jak krowy. Obaj byli teraz grubi, mieli czerwone, nalane twarze. Najwyraźniej nie posiadali się z radości, że znowu są razem. Czy podtrzymywali znajomość przez te lata? Czy byli zadowoleni z życia?

Tylko kilka par ośmieliło się zatańczyć. Ten niebezpieczny wieczór dopiero się zaczynał. Większość obecnych, tak jak my, uśmiechała się niewyraźnie lub próbowała wtopić się w tło, zanim nieco ochłonie.

— Czy to nie Mike Sesich i Kathy Aroli? — Jasne.

— Ale się postarzał. Czy my też wyglądamy tak fatalnie?

— Mam nadzieję, że nie. Za to Kathy wygląda dobrze. Zbyt dobrze.

Wysączyłam drinka i zamówiłam następnego. Czy cały wieczór zejdzie nam na obgadywaniu, kto jest kim, żeby mu pozazdrościć lub się nad nim użalić?

Henry i Russell pożegnali się i zniknęli w tłumie.

— To, że są szczęśliwi, nie znaczy, że mogą nas zostawiać na pastwę losu!

— No, i co myślisz? O Henrym i Russellu.

— Są rozkoszni, ale ciągle mam przed oczami, jak całujemy się wtedy w kinie. Dziwne wrażenie.

— Ja nie mogę ustawić kompasu. Nic mi nie jest, ale muszę iść do łazienki. Nie ruszaj się stąd. Zaraz wracam.

Skinęłam głową i obserwowałam, jak się oddala. Do baru podszedł zamówić drinka

Brandon Brind, facet, którego zawsze lubiłam. Po nieśmiałym powitaniu zagailiśmy swobodną rozmowę. Brandon radził sobie dobrze. Mówił o swoim życiu w sposób wskazujący na szczęście i zdrowe zmysły. Z niecierpliwością czekał na to, co przyniesie mu kolejny dzień.

Ucieliśmy dłuższą pogawędkę. Jak długą — uświadomiłam sobie dopiero wtedy, gdy wróciła Zoe, sprawiając wrażenie bardzo poruszonej. Była miła dla Brandona, zadała mu kilka pytań, nie ulegało jednak wątpliwości, że chce mi coś powiedzieć. Pożegnałam się z Brandonem i ruszyłam za Zoe.

— Coś podobnego... biegniemy do łazienki na pogaduszki. Co? Co się stało?

— Och, Mirando, nie uwierzysz...

— O co chodzi?

Właśnie dotarliśmy do łazienki, kiedy ni stąd, ni zowąd rozległ się jeden z najdziwniejszych ludzkich głosów, jakie kiedykolwiek słyszałam. Człowiek instynktownie wie, że jego właściciel musi być niespełna rozumu. Głos karzełka? Nie, zbyt niski. Przemknęło mi przez myśl, że to pewnie żart, dowcipne nagranie. Ponieważ dobiegło z tyłu, zanim się odwróciłam, ujrzałam minę Zoe: najpierw napięcie, potem przerażenie.

— Co jest? Znowu do łazienki? Masz kłopoty z pęcherzem? Co z tobą, Zoe? — Pytania zaczęły się żartobliwie, a zakończyły w tonie agresji. — Jak się masz, Miranda?

Obróciłam się i najpierw dostrzegłam jego włosy. Była to najgorsza fryzura na świecie. Nawet w Ulan Bator mężczyzna nie mógłby się gorzej uczesać. Gęste, zmierzwione kępy włosów sąsiadowały z placami łysiny. Całość sprawiała wrażenie, jakby fryzjer posiekał mu włosy na chybił trafił, po czym zmęczony przerwał w połowie roboty.

Dopiero wtedy poznałam jego twarz, zwłaszcza oczy, płonące tymi samymi wesołymi ognikami, co kiedyś. Ale teraz wyzierały z nich nowe emocje: złość, szaleństwo, pomieszanie. Nie można było długo w nie patrzeć. W jego twarzy wszystko było na opak. Włosy, mina, oczy, które nie zatrzymywały się na tobie dłużej niż na sekundę, po czym uciekały w bok, i z powrotem, i znów na bok...

— Kevin?

Uśmiechnął się i przekrzywił głowę jak zdezorientowany pies. Kevin Hamilton, ukochany Zoe. Kevin, kapitan drużyny futbolowej w Dartmouth College, chłop na schwał. Teraz natomiast wyglądał tak cudacznie, że poczułam, jak przepalają mi się w głowie wszystkie bezpieczniki.

— Ah-ha! Wiedziałem, że przyjdiesz! Kiedy zobaczyłem Zoe, powiedziałem sobie: Założę się, że jest tu Miranda Romanac. I miałem rację. Miałem rację.

Zamurowało mnie. Spojrzałam na Zoe. Gapiła się w niego przerażonym, zaciekawionym wzrokiem.

— Wróciłem do miasta specjalnie na ten zjazd. Mieszkamy teraz w Orange. Wiecie, gdzie to jest? W New Jersey. Przeprowadziliśmy się tam po śmierci taty. Zapomniałem twój numer telefonu, Zoe, i nie mogłem cię powiadomić, że przyjadę. Moja siostra nie kazała mi dzwonić, a ja jej na to: „Słuchaj, Zoe i ja chodziliśmy ze sobą tyle lat...”

Trajkotał jak nakręcony tym swoim melodyjnym, piskliwym, urywanym głosem, opowiadając nam o sobie, o zjeździe, Zoe i o swoich „badaniach”. Cieszyłam się, bo pozwoliło mi to dojść do siebie. Mogłam go obserwować, nie uchodząc za niegrzeczną.

W trzy sekundy wiedziało się, że jest szalony, ale rodzaj jego szaleństwa trudno było określić. Mimo dziwnej intonacji jego opowieść w zasadzie trzymała się kupy, a nawet była inteligentna. Musiałam co chwila powtarzać sobie w duchu, że

Kevin Hamilton należał do klasowych erudyków. Byliśmy przekonani, że dojdzie do wielkich zaszczytów. Nie słyszałam o nim nic poza tym, że skończył Dartmouth i, czego należało się spodziewać, poszedł do Wharton Business School. Chociaż mieliśmy ledwie osiemnaście lat, wiedzieliśmy, że dziesięć lat później będziemy oglądać jego wywiady w



telewizji i czytać o nim w „Time”.

Reszta obecnych musiała wiedzieć o stanie zdrowia Kevina, bo nikt nie zbliżył się do nas, kiedy z nim stałyśmy. Rozpoznałam kilka osób i uśmiechnęłam się do nich. Odpowiadały mi uśmiechem, ruszając w naszą stronę, lecz ujrzawszy Kevina, natychmiast zmieniały kierunek. Kevin mówił dalej.

Stopniowo jego urywane wypowiedzi ułożyły się w całość. Kevin był najstarszym z czworga dzieci. Ojciec, który był mu bardzo bliski, umarł niespodziewanie, kiedy Kevin studiował. Chłopak musiał rzucić szkołę i wrócić do domu, żeby zaopiekować się młodszym rodzeństwem. W pewnym momencie Kevin nie wytrzymał presji wydarzeń i po prostu się załamał. Trafił do szpitala, od tamtej pory stale brał leki uspokajające. Całymi dniami ślezczał w bibliotece nad jakimiś studiami, ale kiedy go o nie zapytałam, popatrzył na mnie podejrzliwie i zmienił temat.

Mogłam sobie wyobrazić, co czuje Zoe. Wszystkie marzenia i oczekiwania, z którymi przyszła na ten zjazd, zderzyły się w drzwiach z tym oto ludzkim koszmarkiem, uosabiającym bolesne porażki i zawiedzione nadzieje. Raz jeszcze moja biedna przyjaciółka została pokarana przez los.

— Przepraszam, Kevinie, ale musimy już iść. — Miałam gdzieś to, czy ranie jego uczucia. Chwyciłam Zoe za rękę i obie pognałyśmy do damskiej ubikacji. Kevin paplał dalej, gdy drzwi zamknęły się za nami ze świstem.

Na szczęście toaleta była pusta. Patrzyłyśmy na siebie, nie mogąc wykrztusić słowa. Czułyśmy się tak, jakby precudny kryształ upadł i rozbił się w drobny mak. Można go oczywiście uprzątnąć, ale trzeba się pogodzić z tym, że przepadł już na zawsze.

Zoe podeszła do umywalki i odkręciła obydwie kurki. Pochyliła głowę, złożyła dłonie w miseczkę i chlusnęła sobie wodą w twarz. Następnie wydusiła pełną dłoń jaskrawozielonego mydła z dozownika i starannie przemyła całą twarz, usuwając wszelkie ślady po makijażu, którą zrobiła sobie godzinę wcześniej.

Byłam tak mało błyskotliwa — nie umiałam pocieszyć Zoe rozumnym słowem, które mogłoby, choć na moment, wypełnić czarną dziurę ziejącą w jej sercu. Wiedziałam, że ta dziura zostanie tam jeszcze długo.

— Gdzie ja się nauczyłam tych frazesów? — Zoe patrzyła w lustro. Miała bladą, lśniąca od wody twarz.

— Słucham?

— „Miłość trwa wiecznie”. „Życie jest piękne”. Powinnyśmy dawno się nauczyć, że serce trzeba zapiąć w pasy. Droga jeży się od niebezpieczeństw, ale my nigdy nie zapinamy tego cholernego pasa.

— Zoe...

— Powiedział mi kiedyś coś, czego nie zapomnę. „Zacniemy wspominać przeszłość dopiero wtedy, gdy stukną nam sto cztery latka, bo do tego czasu będziemy zbyt zajęci”. Zamierzałam przyjść z Hectorem. Nic nie stało na przeszkodzie. Ale wiesz, pomyślałam o Kevinie, że może istnieje szansa, aby coś się stało... Więc nie zabrałam Hectora.

Gdzie się podziała moja mądrość? Oblizywałam usta i wysilałam szare komórki, ale bez rezultatu. Zoe wciąż gapiała się otepiało w lustro, jak gdyby po raz pierwszy widziała swoją twarz.

Drzwi otworzyły się i weszła Kathy Herlth. Wyglądała jak zawsze oszałamiająco, lecz nadal wiał od niej mroźny powiew pogardy, który zamieniał nas, zwykłych śmiertelników, w sople lodu.

— Boże, widzieliście Kevina? Najwyższy czas, żeby zmienił psychiatrę! Stoi na środku sali i gada jak Klíngon. Naprawdę wygląda jak kosmita.

Była to tak okrutna i prawdziwa konstatacja, że Zoe prychnęła głośnym śmiechem. Ja również. Kathy wzruszyła ramionami.

— Wiedziałam, że nic tu po mnie. Żałosne widowisko. Ależ wy się wycierpiałyscie dziś wieczór. Kevin zwariował, a James nie żyje. Kończy się pewien rozdział, no nie?

— Co? — zapytałam powoli, wolniej, niż chciałam. Miałam właśnie strząsnąć łyż śmiechu z policzka, ale ręka zamarła mi nagle w pół gestu. Zanim Kathy ponownie się odezwała, spojrzałam na swoją dłoń. Była zaciśnięta w pięść. Nawet tego nie poczułam. W ogóle nic nie czułam. Kathy wydawała się zaskoczona.

— Nie rozumiem. Jak to co?

— Co z Jamesem?

— Z Jamesem? A co ma być? O Boże, Mirando, to ty nic nie wiesz? James nie żyje. Zginął trzy lata temu. W wypadku samochodowym.

Raptem rzeczywistość nabrała niesamowicie czystych, wyraźnych i ostrych barw: Zoe wstrzymała oddech, woda syczała w umywalce, wysokie obcasy Kathy skrzypnęły na posadzce. Ich twarze — Kathy obojętna i zaciekawiona, Zoe zaszokowana jeszcze bardziej niż przed chwilą. Wszystko to było jasne i wyraźne, mimo że istotna częśćka mojej jaźni zdążyła odpłynąć. Coś uszło ze mnie i unosząc się wysoko pod sufitem, rzuciło ostatecznie spojrzenie w dół — po czym znikło na zawsze.

Ta częśćka, która niegdyś kochała Jamesa Stillmana tak, jak kocha się tylko pierwszy raz. Która wypalała dwadzieścia pysznych papierosów dziennie, śmiała się zbyt głośno, gwizdała na niebezpieczeństwo. Która zastanawiała się, na czym polega seks i kto będzie pierwszy. Częstka, która zbyt długo spoglądała w lustro na jedyną nieskazitelną twarz, jaką kiedykolwiek tam zobaczę.

Moje nieustraszone młodociane „ja”, przekonane, że pewnego dnia znajdę partnera, z którym moje serce połączy się na wieki wieków. Mężczyznę, którym będę się smarować jak kremem. Tego nauczył mnie James, pokazał mi, że wielkie szczęście jest możliwe od samego początku. James nie żył.

— Jezu, myślałam, że wiesz, Mirando. To stało się tak dawno temu.

— Jak on... — Urwałam i przełknęłam ślinę. W gardle miałam suchy korek. — Jak to się stało?

— Nie wiem. Dowiedziałam się od Diany Wise. Ale ona jest tutaj! Możesz ją zapytać. Przed chwilą ją widziałam.

Bez słowa wyszłam z toalety. Zoe powiedziała coś do mnie, ale ja maszerowałam dalej. Musiałam jak najszybciej odszukać Dianę Wise. Dopóki nie poznam faktów, dokładnego opisu, w moim umyśle śmierć Jamesa Stillmana pozostanie płynna, a musiała się skryształizować, urzeczywistnić.

Czy zanim wyszłam do łazienki, sala taneczna nie miała aby błękitnego odcienia kredy bilardowej? Błękit z białymi obrzeżami? Mogłabym przysiąc, że tak. Teraz zaś była to słaba ochra, kolor niedojrzałych warzyw. Nawet barwy zmieniły się pod wpływem okropnej nowiny.

Kręcący się wszędzie ludzie gawędzili, śmiali się, tańczyli. Dziś mieli zarazem osiemnaście i trzydzieści trzy lata. Cudowne uczucie. W ustach błyskały zęby i lśniły języki. Kiedy tak szłam, otoczyły mnie ich słowa. Czułam się jak przybysz z obcej planety.

— Wyprowadzili się do Dobbs Ferry...

— Nie widziałam go od... Boże, szmat czasu...

— Cały dom wyłożyli tą ohydną brązową wykładziną, na której...

Kiedy mieliśmy osiemnaście lat, ludzie ciągle jeszcze słuchali płyt. Gramofony miały trzy prędkości odtwarzania: 33 1/3, 45 i 78 obrotów na minutę. „78” używało się tylko wówczas, gdy człowiek chciał się pośmiać. Włączałeś najwyższe obroty i kładłeś płytę odtwarzaną na „45”. Można było pęć ze śmiechu, słysząc, jak znajome głosy piszcza i ćwierkają dyszkantem. Kiedy coraz szybszym krokiem torowałam sobie drogę przez salę, rozglądając się za Dianą, myśląc o Jamesie, o jego śmierci, świat wokół mnie przeskoczył na 78 obrotów.

Głosy zlały się w piskliwy szum. Zapanował tak wielki chaos, że musiałam przystanąć i zamknąć oczy. Wzięłam kilka głębokich wdechów, nakazując sobie spokój. Gdy otworzyłam oczy, przede mną stała Zoe.

— Wszystko w porządku?

— Nie. Widziałas Dianę? Nigdzie jej nie ma.

— Znajdziemy ją. Chodź, musi być gdzieś tam. — Wzięła moją rękę i pociągnęła mnie za sobą.

Później, gdy przejaśniło mi się w głowie, byłam jej wdzięczna. Zaledwie parę minut wcześniej Zoe musiała stawić czoło własnemu koszmarowi. A teraz trzymała mnie za rękę i pomagała mi, choć równie dobrze mogła pograżyć się w bólu po spotkaniu z Kevinem Hamiltonem.

— O, tam jest!

W odróżnieniu od reszty koleżanek Diana Wise prawie się nie zmieniła od czasów szkolnych. Niebanalna twarz, długie czarne włosy, seksowny uśmiech włoskiej gwiazdy filmowej. W liceum niemal się przyjaźniłyśmy, ale Diana była od nas znacznie dojrzalsza, tak że traktowałyśmy ją z najwyższą czcią.

— Diana?

Rozmawiała z nie znanym mi mężczyzną. Na dźwięk swego imienia obróciła się i zauważyła mnie. Pożegnała się z facetem, dotykając jego dłoni, i wzięła mnie pod rękę.

— Mirando. Szukałam cię. — Miała mocny, zdecydowany głos. Wyraz jej twarzy mówił, że wie, po co przyszłam.

Byłam jej wdzięczna, że nie muszę zadawać żadnych pytań. Że nie muszę mówić tych słów na głos, wypuszczać ich na świat: Czy to prawda? Czy on naprawdę nie żyje?

Wróciłyśmy korytarzem i wyszłyśmy w letni wieczór. Było ciepło i pięknie. W powietrzu, ciężkim od gorąca, unosił się błogi zapach kapryfolium. Czułam lęk i pustkę. Wiedziałam, że za chwilę poznam odpowiedzi, na których mi zależy, ale wiedziałam jednocześnie, że gdy je usłyszę, nie będzie już dla mnie drogi powrotnej do życia sprzed paru godzin.

— Diano, co się stało z Jamesem? W jaki sposób... — Nie zdołałam dokończyć.

Wsunęła dłoń w długie czarne włosy i odgarnęła je wolno z twarzy.

— Kilka lat temu natknęłam się na niego przypadkiem w Filadelfii. Pracował w firmie zajmującej się dziełami sztuki, nie wiem — handel, sprzedaż, coś takiego. Nie pamiętam już. Może to był dom aukcyjny, w rodzaju Sotheby'ego. W każdym razie wpadliśmy na siebie na ulicy. Był zachwycony swoją pracą. Tryskał energią. Pamiętajcie, jak James potrafił się ekscytować, prawda?

Potakując głową, miałam ochotę powiedzieć Dianie, że widziałam to jego podniecenie, jak promieniał całym sobą, ilekroć coś go zaabsorbowało.

— Oboje się spieszyliśmy, więc wstąpiliśmy tylko na szybką kawę. Wydawał się radosny. Powiedział, że po raz pierwszy w życiu ma poczucie, że jest na dobrej drodze. Wszystko układało się po jego myśli. Miał dziewczynę. No, pełnia s z c z ę s c i a , rozumiesz?

— Jak wyglądał? — Chciałam obrazu, wizerunku dorosłego Jamesa, który mogłabym zachować.

— Oczywiście postarzał się i wyszczuplał, ale nadal miał te swoje wspaniałe oczy i uśmiech. — Diana umilkła na moment. — Wyglądał jak James.

Rozplakałam się. W jej słowach było wszystko to, co chciałam i czego nie chciałam usłyszeć. Zoe wzięła mnie w ramiona. Stałyśmy we trzy na trawniku, oddalone o parę stóp i całe lata świetlne od nastroju szczęścia i wesołości panującego w klubie.

Kiedy burza we mnie nieco się uciszyła, poprosiłam Dianę, aby mówiła dalej.

— Wymieniliśmy numery telefonów i obiecaliśmy sobie, że będziemy w kontakcie. Parę razy dzwoniliśmy do siebie, ale ja nie pojechałam więcej do Filadelfii, a do Kalamazoo nikt nie przyjeżdża. Trzy lata temu, późną nocą, odebrałam telefon. Jakaś kobieta prosiła mnie

dwa razy do aparatu. Była tak zdenerwowana, że musiałam ją przekonywać, że ja to ja. Powiedziała, że słyszała, iż jestem dobrą przyjaciółką Jamesa, i chce mnie poinformować, że James zginął w wypadku samochodowym. Był akurat w Nowym Jorku, kiedy zadzwoniła do niego dziewczyna z Filadelfii. Chciała z nim zerwać, bo poznała kogoś innego. Najwyraźniej oznajmiła mu to bez ceregieli — chciała to skończyć i już. Po jej telefonie James wskoczył do samochodu i pognał do Filadelfii. Mżyło i drogi były oblodzone. James dotarł do Filadelfii, ale jechał za szybko. Kiedy chciał zjechać z autostrady, jego wóz wpadł w poślizg i wyleciał z drogi. Ta kobieta stwierdziła, że umarł natychmiast.

— Natychmiast?

— Tak powiedziała.

— Kim ona była?

— Nie wiem. Nie chciała się przedstawić, chociaż ją spytałam. Ale założę się, że to ona: dziewczyna Jamesa. Pytał o ciebie, Mirando. Kiedy piliśmy kawę, zapytał, czy mam jakieś wiadomości o tobie.

Serce mi drgnęło.

— Naprawdę?

— Tak. Był rozczarowany, kiedy odparłam, że nic nie wiem.

Milczałyśmy przez jakiś czas, podczas gdy powietrze wokół nas wypełniało się dobiegającą z klubu muzyką.

— Czy coś jeszcze?

— To wszystko. Tak jak mówiłam, spytałam tę kobietę, jak się nazywa, ale nie chciała powiedzieć. Zaraz potem odwiesiła słuchawkę.

Zoe westchnęła i wbiła wzrok w ziemię. Było to ostateczne, pożegnalne westchnienie.

— Dziękuję ci, Diano. Jestem wdzięczna za wyjaśnienia. Uściskałyśmy się. Diana dała krok w tył, trzymając ręce na moich biodrach, i przyglądała mi się przez chwilę. Potem odwróciła się i ruszyła z powrotem do wejścia.

— Diano?

— Proszę.

— Czy naprawdę był szczęśliwy?

Skinęła tylko głową. Żadne słowa nie mogły lepiej wyrazić potwierdzenia. Jej gest pozwolił mi samej poszukać określeń na jego szczęście.

— Dziękuję.

Otworzyła torebkę, wyjęła swoją wizytówkę i wręczyła mi ją.

— Zadzwoń, jak będziesz chciała pogadać. Albo jeśli zabłądzisz kiedyś do Kalamazoo w Michigan.

Zoe i ja stałyśmy w milczeniu pośrodku trawnika. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwałam:

— Jedźmy się czegoś napić.

W rezultacie objechałyśmy miasteczko po raz drugi. Minęłyśmy te same miejsca, które obejrzałyśmy po południu, ale teraz zdawało nam się, iż od tamtej pory upłynęło milion lat. Włączyłam radio i zupełnie jakby wszystkie stacje wiedziały o naszym nastroju, puszczano wyłącznie utwory, które uwielbiałyśmy za młodu. I bardzo dobrze, bo tamtego wieczoru nasza młodość dobiegła końca, miałyśmy prawo zatopić się w niej po raz ostatni.

Nie zwracałam uwagi, dokąd jedziemy, póki nie uświadomiłam sobie, że Zoe zwolniła i skręciła na parking przed sklepikiem z lodami „Karawela”.

— Dobry pomysł!

— Jeśli nie możemy się upić, to przynajmniej przytyjmy. Zamówiłyśmy to, co zwykle: rożki waniliowe w gorącej czekoladzie, i wróciłyśmy do auta. Siedziałyśmy na masce w naszych wieczorowych kreacjach i lizałyśmy lody.

— Pycha.

— Nie jadłam ich od lat. Kiedyś przychodziłam tu z dziećmi, ale dzisiaj za żadne skarby nie chcą się ze mną pokazać.

Przyglądałyśmy się ludziom podchodzącym do sklepiku i oddalającym się z lodami. Tymczasem w klubie nasza klasa tańczyła i na nowo przeżywała szczęśliwe chwile. Ale był tam również Kevin. I James.

— Co teraz zrobimy, Zoe?

— Będziemy żyć nadzieją. Jak zawsze.

— Dziś wieczór w Mudville nadziei jak na lekarstwo.

— Czy opowiadałam ci kiedyś, jak znalazłam rewolwer Andy'ego?

Znieruchomiałam.

— Żartujesz! Andy, twój obmierzły eksmężulo, miał rewolwer?

— A jakże. Byliśmy rok po ślubie. Wkładałam czystą bieliznę do szafy, a tu leży sobie spluwa.

— Po co mu to?

— Dziwne, ale kiedy ją znalazłam, nie pomyślałam wcale: O Boże, Andy ma broń! Zamiast tego przyszło mi do głowy: Zdumiewający jest ten świat. Wiesz, jak to jest, kiedy jesteś zakochana w mężczyźnie. Wydaje ci się, że znasz go na wylot. Aż tu pewnego dnia otwierasz szufladę... i niespodzianka: stary list miłosny, pamiętnik, rewolwer. Okazuje się, że nic nie wiesz o człowieku. Prawdę mówiąc, to było cudowne odkrycie, Mirando. Wiedziałam, że cokolwiek się stanie, życie zawsze będzie interesujące.

— Ponieważ znalazłaś broń?

— Nie! Ponieważ odkryłam Andy'ego, jakiego dotąd nie znałam. Doszłam do wniosku, że to podniecające. Później wzięliśmy rozwód, ale w tamtym czasie życie nadal oferowało nam wiele możliwości. Było ekscytujące. W dalszym ciągu jest ekscytujące. Pozwól mu działać. Niech się stanie, co ma się stać.

## JOGURTOWA TRYLOGIA

— Jesteś złodziejką, Mirando. Przewróciłam oczami.

— Masz rację, Jaco.

Pociągnął nosem, jakby w powietrzu unosił się smród, po czym kontynuował, jak gdyby mnie w ogóle nie słyszał.

— ...najbardziej pozbawioną skrupułów złodziejką, z jaką kiedykolwiek prowadziłem interesy.

Pstryknęłam paznokciem w przednie zęby.

— Jaco, nie rozmawiamy z sobą po raz pierwszy. Zawsze słyszę to samo: jestem oszustką, dziwką i co tam jeszcze. Ale to ja odnajduję książki, których szukasz. Chciałeś mieć pierwsze wydanie Galerii z podpisem autora, załatwiłam ci je. Chciałeś listu napisanego przez T. S. Eliota, wydebiłam go dla ciebie...

— Zgoda, ale potem zażądałaś takiej sumy, że zostałem bez grosza przy duszy!

— Musiałbyś żyć jeszcze czterysta lat, żeby roztrwonić swój majątek, Jaco. Nie kupuj i tyle! Wiesz, że Dagmar tylko na to czeka. — Był to chwyt poniżej pasa, ale miałam Jaco tak serdecznie dosyć, że nie mogłam się opanować.

Jak zwykle, gdy padło jej znienawidzone imię, Jaco wyprostował się i zmrużył chciwie oczy.

Dagmar Breece. Nemezis Jaco Breece'a. Wystarczyło, bym o niej napomknęła, a stary sknera zaczął rozdymać chrapy jak byczek Fernando.

Dagmar i Jaco Breece'ów połączyły dwie pasje: kaszmir i dwudziestowieczni pisarze. Dzięki temu przez czterdzieści lat byli szczęśliwym małżeństwem i wyrabiali swetry. Interes przynosił dochód, mieli dwójkę odchowanych dzieci i dzielili kolekcjonerską namiętność. Kiedy Dagmar skończyła sześćdziesiąt lat, zakochała się w innym mężczyźnie i — ni stąd, ni zowąd — wyprowadziła się od męża. Należało mu się.

Jednak najbardziej, bardziej niż nad utratą żony, Jaco bolał nad tym, że Dagmar oświadczyła mu, iż może sobie zatrzymać ich zbiór cymeliów i rękopisów, który gromadzili wspólnie od wielu lat. Zamierzała, przy wsparciu swego nowego towarzysza, stworzyć własną kolekcję.

Poznałam ich kilka lat temu, kiedy jeszcze byli razem. Dagmar przyszła do antykwariatu kupić manuskrypt Edwarda Dahlberga, który umieściłam w katalogu. Później dodałam jeszcze kilka nabytków do ich kolekcji, zarówno w okresie ich małżeństwa, jak i po jej odejściu. Lubiłam Dagmar, natomiast Jaco nie trawiłam kompletnie. Nic a nic.

Patrząc na jego naburmuszoną minę, zastanawiałam się, jak by zareagował na wieść, że Dagmar zaprosiła mnie na kolację wieczorem.

— Masz coś jeszcze z nowości? — Listy Rilkego...

— Wszyscy mają listy Rilkego. Napisał ich stanowczo za dużo.

— Pytałeś o nowości, Jaco. No, więc mam trochę listów... Zaraz, zaraz. Mam tu coś, co na pewno cię zainteresuje!

Mój sklep jest bardzo mały, więc przy kredensiku znalazłam się w trzy kroki. Mroczne, pompatyczne, skórzano-dębowe wnętrza większości antykwariatów nie były w moim guście. Miałam brzoszowe meble od Heywooda-Wakefielda z lat pięćdziesiątych oraz ciepły, czerwono—biały dywan chiński. Całość wyglądała jasno, nieco ekscentrycznie i — mam nadzieję — gościnnie. Kochałam książki i wszystko, co się z nimi wiąże. Chciałam, aby klienci odczuli to, kiedy przekroczą próg mojego sklepu.

Od innych handlarzy książkami różniłam się także tym, że sprzedawałam wszystko to, co mi się podobało. Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam podłużny futerał z krokodylej skóry. Na pierwszy rzut oka przypominał cygarnicę, z którą paradował wiktoriański dżentelmen.

Wnętrze zawierało jednak coś o wiele cenniejszego. Po otwarciu futerału położyłam to na ladzie, wiedząc, że Jaco dostanie apopleksji, gdy tylko uprzytomni sobie, co to jest.

— Nie kolekcjonuję wiecznych piór, Mirando.

— To nie jest pióro. To Mabie Todd.

— Więc oddaj je panu Toddowi.

— Bardzo śmieszne. Popatrz na zbiorniczek.

Spojrzał na mnie, jak gdybym robiła z niego idiotę, ale w końcu podniósł największe wieczne pióro, jakie w życiu widziałam.

— No i? Pióro jak pióro.

— Obróć je, Jaco. Przyjrzyj się dokładnie.

Obracał je w palcach, aż dostrzegł nazwę wygrawerowaną złotymi literami na czarnym zbiorniczku.

— Niemożliwe! Naprawdę? — odezwał się szeptem, jakby język nie mieścił mu się naraz w ustach.

Przytaknęłam.

— Mam certyfikat autentyczności. — Jak weszłaś w jego...

— Na aukcji Sotheby w zeszłym tygodniu. Znalazłam je w katalogu. Zdaje się, że stanowiło własność lorda Eshera.

— „Rolfe” — odczytał nazwę z szacunkiem. — Pamiętam z biografii Symonsa, że podobno zawsze pisywał ogromnym wiecznym piórem.

— Zgadza się.

Zirytowany, ale i po raz pierwszy uśmiechnięty, Jaco pokręcił głową.

— Mirando, jak ty wynajdujesz te wszystkie skarby! Jakim cudem zdołałaś odnaleźć pióro Fredericka Rolfe'go?

— Ponieważ kocham to, co robię. Uwielbiam szperać w poszukiwaniu różnych rzeczy, przez chwilę trzymać je w dłoni. Lubię też sprzedawać je ludziom takim jak ty, którzy umieją się na nich poznać.

— Nie zachowujesz ich na własność?

— Nigdy. Trzeba się zdecydować: albo zbieractwo, albo handel. Prędzej czy później kolekcjonowanie by mnie znużyło. Nigdy nie byłabym zadowolona z mojego stanu posiadania. Zawsze chciałabym mieć więcej. A tak mogę nacieszyć się cennymi przedmiotami, zanim odsprzedam je właściwym ludziom.

— Na przykład Dagmar?

— Dagmar lub tobie. To co, Jaco, bierzesz?

— Jasne, że biorę!

Odczekałam dobre pół godziny, nim złapałam za słuchawkę. Jaco miał karygodny zwyczaj wracać i uniesiony gniewem domagać się niższej ceny za coś, co przed chwilą nabył. Na początku dałam mu się parokrotnie zastraszyć, ale teraz już nie.

— Halo? — Miała miękki, przyjemny głos, który przywodził na myśl seksowną kobietę.

— Dagmar? Tu Miranda. Właśnie był u mnie Jaco. Kupił pióro.

— Ma się rozumieć, słoneczko. W sam raz do jego zbiorów. Dlatego ja też je kupiłam. To znakomity egzemplarz.

— Więc czemu mu je sprzedałaś? Nie chciałabyś go mieć w swojej kolekcji?

— Owszem, ale nie tak bardzo jak on. Baron Corvo to jeden z nielicznych bohaterów Jaco.

— Nie rozumiem. Po latach zgryzoty odeszłaś wreszcie od niego, a teraz dajesz mu prezenty?

— Nie daję, sprzedaję. Miłość do Jaco jest jak siedzenie na zimnym głazie: oddajesz mu całe swoje ciepło, nie dostając nic w zamian.— No i w końcu przeziębiasz sobie tyłek. Nie mogłam tego dłużej znieść. Ale rozwód nie oznacza, że większość mojego dorosłego życia znikła jakby nigdy nic. Ciągle kocham Jaco za parę rzeczy i myślę, że będę go kochać.

Nie, żebym chciała. Czasem nie potrafimy kontrolować naszej miłości.

— Ale nie żałujesz, że odeszłaś?

— Jestem wniebowzięta. Nie oglądam się za siebie, chyba że po to, aby sprawdzić, czy zamknęłam drzwi na klucz. Powiedz, jak Jaco zareagował na widok pióra? — Niemal widziałam, jak Dagmar uśmiecha się przez telefon.

— Kompletnie zbzikował. Istny szal.

— Wierzę. Do jego ulubionych ksiązek należy Hadrian Siódmy. Nic dziwnego: historia nędznego bubka, którego wybierają na papieża. Jaco utożsamia się z nim bez reszty.

— Przyniosę wieczorem czek.

— Nie ma pośpiechu. Dziś nie grozi mi żadne szaleństwo. Dzwonił kuchmistrz z wiadomością, że nie da rady przyrządzić jogurtowej trylogii na deser, co w zasadzie rozwała mi całą kolację. Ale musimy być dobrej myśli.

— Jogurtowa trylogia?

— Daruj sobie cynizm, Mirando. Jeden kęs i nawrócisz się na nią. Nasze mieszkanie cuchnie jak stara ścierka, a ja muszę iść do fryzjera. Czasami dobrze jest być mężczyzną. Płacisz dziewięć dolarów za strzyżenie i kłopot z głowy. Dla kobiety zaś wizyta u fryzjera to ceremonia religijna. Dlatego muszę już kończyć, skarbie. Jeśli przeżyję dzisiejszy dzień, będę nieśmiertelna. Przyjdź o siódmej. Zaprosiłam trzy pociski dalekiego zasięgu i wytłumaczyłam im — każdemu z osobna — że jesteś najlepszą partią do wzięcia pod koniec dwudziestego wieku.

— Nie wiem, czy sprostam temu wyzwaniu.

— Ależ to prawda!

Mało kto przychodził bobrować po moim sklepie. Zazwyczaj klienci dobrze wiedzieli, czego szukają. Dlatego często wyruszałam w trasę, by tropić konkretne zamówienia i spełniać czasem drogie zachcianki. Można było się ze mną skontaktować przez pager, który miałam w zegarku, albo też zadzwonić na najmniejszy telefon komórkowy, jaki zdołałam znaleźć. Cieszyłam się, kiedy parę tygodni z rzędu mogłam posiedzieć w sklepie — zapłacić rachunki, poczytać katalogi, odpowiedzieć na faksy. Równie dobrze jednak czułam się na lotnisku, w pokoju hotelowym czy w restauracji podającej regionalne potrawy, których nazwy nic mi nie mówiły. Nie miałam mężczyzny. Byłam wolna: przychodziłam i odchodziłam, kiedy chciałam.

W college'u specjalizowałam się w socjologii, ale już na pierwszym roku uświadomiłam sobie, że wykresy demograficzne i terminy w rodzaju *Gemeinschaft* i *Gesellschaft* nie bardzo mnie fascynują. Żeby dorobić do stypendium, zatrudniłam się w antykwariacie i miałam szczęście znaleźć się tam w dniu, kiedy jakiś mężczyzna przytargał dwa kartony książek na sprzedaż. Wśród nich było limitowane wydanie *Zaścianka* z autografem Faulknera, powieści, którą akurat przerabiałam w szkole. Znając wartość książki, pokazałam ją właścicielowi antykwariatu. Powiedział, że mogę ją sobie zatrzymać, bo jestem uczciwa i przykładam się do pracy. Wzięłam książkę na zajęcia, aby pokazać ją profesorowi. Najpierw oczy wyszły mu z orbit, a potem zapytał, czy nie sprzedałabym mu jej za sto dolarów. Coś w tonie jego głosu obudziło moją podejrzliwość. Obdzwoniłam kilkunastu handlarzy rzadkimi książkami i dowiedziałam się, jaką wartość przedstawia ta edycja. Nic nie jest stałe na tym świecie, ale książki zbliżają się do tego ideału. Usłyszawszy, jak bezcenny jest mój Faulkner, zdałam sobie sprawę, że oto przeniknęłam jedną z małych tajemnic życia: że istnieją takie przedmioty, które dla jednych ludzi nie znaczą nic, a dla innych wszystko. Wkrótce odkryłam, że zbieracze książek to ostatni prawdziwi poszukiwacze skarbów, jacy zachowali się do naszych czasów. Stare książki można znaleźć wszędzie, większość ludzi nie zwraca na nie uwagi. Za to pasjonaci wyjdą ze skóry, żeby zdobyć upragniony egzemplarz.

Z czasem zorientowałam się, że mam żyłkę do handlu książkami, co samo w sobie jest wielkim dobrodziejstwem. Uwielbiałam patrzeć na radość i podniecenie moich klientów,



kiedy przedstawiałam im plony swoich poszukiwań. Uwielbiałam ów łut szczęścia towarzyszący mojej pracy. Serce waliło mi w piersi, gdy dostrzegłam białego kruka leżącego na półce sklepu ze starzyzną, w antykwariacie, w kramie Armii Zbawienia, gdzieś w podejrzanej dzielnicy. Powoli wyciągałam ku niemu rękę i podnosiłam go, rozkoszując się chwilą. Otwierałam książkę i przeglądałam pierwsze strony, aby się upewnić, że mam rację. Tak, oto i dowód, trzeba go tylko znać: literka „A” lub napis „Wydanie pierwsze”. Były też inne znaki, emblematy, symbole — tajemny alfabet i język kolekcjonerów książek. Na wewnętrznej stronie okładki widniała nagryzmołona cena: dolar pięćdziesiąt. W Louisville zapłaciłam dziesięć centów za pierwsze wydanie *Wielkiego Gatsby’ego*, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziałam. Pięć dolarów za *Ogromny pokój*. Nie pojmowałam, dlaczego tak mało ludzi zajmuje się handlem rzadkimi książkami. Wystarczy liźnąć trochę wiedzy na ten temat, żeby na każdym kroku czuć się jak poszukiwacz złota.

Po przeczytaniu pamiętników Edwarda Westona i Paula Stranda zainteresowałam się fotografią. Wkroczyłam w całkiem nowy świat, nie mówiąc już o interesach. Bawiąc przejazdem w Los Angeles, odkryłam na pchlim targu wielkie pudło zdjęć. Większość przedstawiała nieznanne osoby, ale na kilku były sławne gwiazdy kina lat trzydziestych i czterdziestych. Uderzyła mnie naturalność i piękne oświetlenie pozujących. Na odwrocie był stempel z adresem i nazwiskiem fotografa: Hurrell. Kupiłam całe pudło — nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy kobiety, której wręczałam pieniądze. Jej mina mówiła: „Ale z ciebie ciężki frajer”. Ale już wówczas, zanim usłyszałam o wielkim fotografiku George’u Hurrellu, wiedziałam, że ta kobieta się myli.

— Miranda?

Otrząsnęłam się z otępienia i zobaczyłam przesympatycznego człowieka stojącego w drzwiach.

— Clayton! Przepraszam, bujałam w obłokach.

— Jak wszystkie wielkie umysły. No już, przytul swojego starego szefa.

Jak zwykle uściskaliśmy się serdecznie. Owionął mnie tajemniczy zapach wody kolońskiej Clayтона, od której zmiękły mi kolana.

— Czym się pokropiłeś dzisiaj?

— Francuska. Nazywa się „Dyptyk”. Wydaje mi się, że pasuje do księgarza, nie sądzisz?

— Bezwzględnie. Gdzieś ty się podziewał, Clayton? Od miesiący nie dawałeś znaku życia.

Wzięłam go za rękę i posadziłam na krześle. Zanim udzielił mi odpowiedzi, rozejrzał się wolno dokoła. Dobiegał pewnie sześćdziesiątki, ale wyglądał znacznie młodziej. Wielka czupryna na głowie i zmarszczki na twarzy, które wyrzeźbił uśmiech. Po skończeniu college’u pracowałam u Clayтона w Nowym Jorku. Wspaniałomyślnie dzielił się ze mną swoją wiedzą o handlu rzadkimi książkami. Entuzjazm i hojność stanowiły rdzeń jego osobowości. Kiedy otwierałam własny sklep, pożyczył mi dziesięć tysięcy dolarów, żebym rozkręciła interes.

— Masz jeszcze tego Stevensa? Znalazłem kupca. Scjentolog z Utah.

— Scjentolog czytający Wallace’a Stevensa?

— Właśnie. Byłem na Zachodzie, szukałem zamówień. Natknąłem się na paru interesujących ludzi. Jeden taki żył na marchewkowej diecie i zbierał wyłącznie dzieła Wyndhama Lewisa. Dlatego nie zjawiałem się ostatnio. Nie wiem, jak u ciebie, ale u mnie książki nie schodzą z półek. Musiałem trochę pojeździć po kraju. A jak idzie tobie?

— Znośnie. Raz lepiej, raz gorzej. Parę miesięcy temu upchnęłam w Los Angeles większą partię Roberta Duncana. To postawiło mnie z powrotem na nogi. Wiesz, kogo spotkałam w LA? Douga Auerbacha.

— Aa, Psa. No, co porabia?

— Kręci reklamówki. Zgarnia kupę forsy.

— Przecież sama mówiłaś, że chce zostać Ingmarem Bergmanem. Nie przypuszczam, aby

reklama karmy dla psów mogła spełnić to marzenie. Czy ciągle za tobą tęskni?

— Chyba tak. Zdaje się, że tęskni za czasami, kiedy miał w życiu więcej możliwości.

— Tak jak my wszyscy, nieprawdaż? Okay, Mirando, wpadłem cię odwiedzić, ale przyszedłem również w pewnym celu. Czy słyszałaś o Frances Hatch?

— Czy będzie wielki wstyd, jeśli odpowiem, że nie?

— Skądże. Frances Hatch to pilnie strzeżony sekret, który znają tylko nieliczni. W latach dwudziestych i trzydziestych miała się różnych zajęć. Była kochanką bardzo wielu słynnych artystów, z żadnym jednak nie związała się na trwałe. Hatch łączyła w sobie wariackie cechy Almy Mahler, Caresse Crosby i Lee Miller. Urodziła się w zamożnej rodzinie w Saint Louis, ale zbuntowała się i uciekła do Pragi. Wybrała właściwy czas, ale niewłaściwe miasto. W Pradze, jak zresztą w całej Europie lat dwudziestych, działy się różne rzeczy, lecz nie tak ciekawe jak w Berlinie czy Paryżu. Hatch siedziała tam rok, studiując fotografię, po czym przeniosła się do Bukaresztu wraz z rumuńskim brzuchomówcą, który nosił przydomek „Niesamowity Shumda”.

— Pojechała do Bukaresztu z Niesamowitym Shumdą? Ja już kocham tę kobietę.

— Wiem... dziwny kierunek podróży, ale mężczyźni zawsze ciągnęli ją raz tu, raz tam, ona zaś radośnie załapywała się na kolejną okazję. W każdym razie wkrótce potem wyjechała z Bukaresztu i wylądowała w Paryżu, sama jak palec.

— Nie na długo jednak, zgadza się?

— Zgadza. Kobiety takie jak Frances nigdy nie pozostają długo samotne. — Clayton otworzył neseser i wyciągnął zdjęcie. — To jej autoportret, który zrobiła mniej więcej w tamtym okresie.

Spojrzałam na fotografię. Była to piękna czarno-biała odbitka, przywodząca na myśl prace Waltera Peterhansa i Lionela Feiningera — kanciaste, czyste, bardzo niemieckie.

— Żartujesz. — Roześmiałam się. — Żarty sobie ze mnie stroisz, prawda, Clayton? — Spojrzałam ponownie. — To naprawdę autoportret? Jest cudowny. Po twoim wstępie myślałam, że ta Hatch to jakaś fleja. Nie przyszło mi do głowy, że miała taki talent.

— A poza tym? — Z błyskiem w oku wskazał na zdjęcie i uśmiechnął się.

— Poza tym wygląda jak sznaucer.

— Na moje oko to raczej emu.

— Emu?

— Przypomina trochę strusia.

— Chcesz mi powiedzieć, że to emu było kochanką słynnych artystów? Popatrz na jej nos, Clayton! Okropna brzydula.

— Słyszałaś kiedyś francuskie powiedzonko *belle laide*?

— Nie.

— Znaczy ono: „tak brzydki, że aż pociągający”. Brzydota dodaje jej seksapilu.

— Ta kobieta nie jest ani trochę *belle* coś tam.

— Może była świetna w łóżku?

— Chyba że tak. Nie wierzę ci, Clayton. Coś mi mówi, że wciskasz mi lipę. Czyją niby była kochanką?

— Kazandzakisa, Giacomettiego. Jej najlepszą przyjaciółką była Charlotte Perriand. Byli i inni. Frances Hatch miała fascynujące życie. — Wyjął mi fotografię z rąk. Raz jeszcze na nią zerknął, a potem schował ją do neseseru. — I nadal żyje! Mieszka przy Sto Dwunastej Ulicy.

— Ile ma lat?

— Pewnie jest dobrze po dziewięćdziesiątce.

— Jak się o niej dowiedziałeś?

— Wieść gminna niesie, że Frances Hatch posiada listy, rysunki i książki od różnych ludzi. Sam dźwięk ich imienia doprowadza każdego handlarza do płaczu rzewnymi łzami. Bardzo ważne materiały, Mirando, które zółkną beztróska w szufladach. Od kilku lat Frances trąbi, że

chce je sprzedać, ale do tej pory nic nie zrobiła w tym celu. Dwa miesiące temu umarła jej towarzyszka życia i Frances boi się samotności. Zamierza się przenieść do komfortowego domu opieki w Briarcliff, ale brak jej funduszy.

— Byłoby wspaniale, gdybyś ją skłonił do odsprzedania ci tych pamiątek. Ale jaka w tym moja rola?

— Taka, że z dziewięćdziesiątką na karku Frances przestała lubić mężczyzn. Doznała czegoś w rodzaju późnego objawienia i stała się lesbijką. Wyjąwszy jej prawnika, chce mieć do czynienia jedynie z kobietami. Znam ją od lat i wiem, że poważnie myśli o sprzedaży, ale pod warunkiem, że w transakcji będzie pośredniczyć kobieta. Jeśli odsprzedasz ci swoje zbiory, proponuję podział: pół na pół. — Clayton nie starał się nawet kryć tonu rozpaczy.

— Nie trzeba, Clayton. Cieszę się, że mogę ci pomóc. A poza tym zawsze chciałam poznać emu. Kiedy mielibyśmy do niej pójść?

Spojrzał na zegarek. — Zaraz. Jeśli możesz.

— Ruszajmy.

Zanim złapaliśmy taksówkę, Clayton oznajmił, że musi wpaść do najbliższego supersamu, ale nie wyjaśnił dlaczego. Poczekalam na niego przed sklepem. Po kilku minutach wyłonił się z torbą pełną pustych kalorii: cukierki, dropsy, fluorescencyjnie pomarańczowe chrupki, czekoladki i batoniki...

— Chyba nie dla ciebie?

— To jedyny pokarm, jaki przyjmuje Frances. Każdy gość musi jej przynieść torbę wypchaną tym *merde*.

— Nic dziwnego, że dożyła dziewięćdziesiątki! Jeżeli jadła to przez całe życie, w osiemdziesięciu procentach składa się ze środków chemicznych. Kiedy umrze, jej ciało przejdzie proces rozpadu promieniotwórczego.

Clayton wyjął jedną z paczek i przyjrzał się jej.

— Kiedy po raz ostatni jadłaś Ding Dongi? Paluszki, lizaczki, kuleczki — same obsceniczne kształty... — Rozerwał opakowanie i oboje, jadąc do centrum, spałaszowaliśmy paczkę Ding Dongów.

Panna Hatch mieszkała w jednej z tych uroczych kamienic z przełomu wieków, które żywcem przypominały fortece. Mimo że dom przeżył sąsiednie budynki, szybko popadał w ruinę. Fasadę zdobiły rzygacze, a przed bramą rozciągał się długi dziedziniec, pośrodku którego sterczała nieczynna fontanna. Budowla ta zasługiwała na ciszę i spokój, kiedy jednak szliśmy przez podwórze, z otwartych okien wypłynęły dźwięki salsy i rapu, tłukąc nas po głowach. Gdzieś daleko mężczyzna i kobieta wrzeszczeli na siebie, obrzucając się wyzwiskami. Jak zwykle w takich sytuacjach przyszło mi do głowy, że ludzie kompletnie przestali się krępować publicznym praniem domowych brudów. Nie tak dawno, jadąc metrem, siedziałam obok dwóch kobiet, które rozprawiwały głośno o swoich miesiączkach. Żadnej jakoś nie przyszło do głowy sprawdzić, czy ktoś je słyszy. Oczywiście, słyszeli wszyscy.

— Dzisiaj ludzie nie dbają o własną godność — stwierdził Clayton, gdy mu o tym wspomniałam. — Chcą albo wygrać, albo się urządzać. — Pokazał okna nad naszymi głowami. — Mają gdzieś, czy ich słyszysz, czy nie. Jak ci idioci, co występują w telewizji: opowiadają, że przespali się ze swoją matką albo psem. Uważają, że są przez to interesujący. To tutaj, Mirando. Tędy.

Hol cuchnął zepsutym jedzeniem i mokrymi gazetami. Skrzynki na listy były pobazgrane wielkimi, czarnymi literami niecenzuralnego graffiti. Pod ścianą tkwił żółty wózek dziecięcy bez kół. Winda nie działała.

— Na którym piętrze mieszka panna Hatch?

— Na drugim, ale i tak nie opuszcza domu. Czasem zastanawiam się, ilu starych ludzi w

tym mieście staje się więźniami własnych mieszkań. Boją się wyjść lub nie są w stanie wejść po schodach. Z pewnością jest ich wielu.

Wspinaliśmy się w milczeniu. Tu i ówdzie zauważyłam oznaki dawnej świetności budynku. Poręcz wykonana była z drewna klonowego, kute żelazo odznaczało się pięknymi ozdobnikami. Schody zrobiono z ciemnozielonego kamienia z czarnymi mazajami, przypominającymi nieruchomą trąbę powietrzną.

Wszędzie panował się hałas. Muzyka, krzyki, biały szum dobiegający z odkręconych na cały regulator telewizorów. Z uznaniem pomyślałam o moich sąsiadach z bloku — nie byli zbyt przyjaźni, ale przynajmniej cisi.

Doszliśmy do drugiego piętra i ruszyliśmy długim korytarzem. Drzwi, które mijaliśmy, wyglądały tak, jakby regularnie pałowała je policja, jednak dębowe drzwi mieszkania Frances Hatch prezentowały się nienagannie. Widniała na nich mała mosiężna tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem; niedawno ją wypolerowano. Clayton nadusił dzwonek. Czekaliśmy dłuższy czas.

Kiedy drzwi się otworzyły, przypuszczam, że nie tylko ja cofnęłam się ze zdumienia. Przed nami stał niski, łysy człowieczek o księżycowej twarzy bez podbródka, ubrany w ciemny garnitur, czarny krawat i białą koszulę. Jego oblicze wskazywało na siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat, ale trzymał się tak prosto, że mógł być dużo młodszy.

— Tak?

— Nazywam się Clayton Blanchard. Panna Hatch się mnie spodziewa.

— Proszę za mną.

Mężczyzna odwrócił się i wmaszerował sztywno do mieszkania, jak gdyby ćwiczył krok ołowianych żołnierzyków. Zerknęłam na Clayтона.

— Mówiłeś, zdaje się, że ona rozmawia tylko z kobietami.

Clayton nie zdążył mi odpowiedzieć, bo żołnierz pogonił nas pytaniem:

— Idziecie?

Wbiegliśmy do środka.

Nie miałam czasu zlustrować wnętrza mieszkania, za to mój nos zarejestrował przyjemną woń unoszącą się w powietrzu.

— Co to za zapach?

— Nie wiem, jabłka?

— Proszę dalej.

Głos mężczyzny był tak władczy, że odniosłam wrażenie, iż ponownie znalazłam się w liceum — wezwana na dywanik do dyrektora.

Zanim weszliśmy do salonu, zobaczyłam światło wypływające przez drzwi oślepiająco białym strumieniem. Kiedy tam wkroczyliśmy, zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Na podłodze salonu leżały perskie dywany, rzadkie bauhausowskie meble i największy kot, jakiego kiedykolwiek widziałam. Dywany były w różnych odcieniach czerwieni — rudawy, wiśnia, rubin — i cudownie harmonizowały z żółcienią chromową mebli. Nie tylko tonowały jaskrawość, ale też akcentowały prostotę każdego ze sprzętów; w efekcie meble zdawały się unosić nad czerwienią w dole. Wysokie okna, ciągnące się przez cały salon, zbierały światło dnia. Na ścianach wisały niezliczone fotografie i obrazy. Nie zdążyłam im się dobrze przyjrzeć, rozległ się bowiem następny apodyktyczny głos:

— Tutaj, tu jestem!

Kot, jakby rozumiejąc, podniósł się z podłogi, przeciągnął leniwie i podszedł do krzesła, na którym siedziała Frances Hatch. Stał, patrząc na nią i majtając ogonem.

— Jak się masz, Clayton? Zbliź no się do mnie, żebym cię mogła zobaczyć.

Clayton podreptał do krzesła i ujął wielką kościstą dłoń, która wyciągnęła się na powitanie.

— Zimne. Zawsze masz zimne ręce, Clayton. — To dziedziczne.

— No cóż, zimne ręce, ciepłe serce. Kogo tu przyprowadziłeś?

Clayton pokazał mi gestem, abym się zbliżyła.

— Frances, to moja przyjaciółka, Miranda Romanac.

— Witaj, Mirando. Będziesz musiała podejść blisko, bo mam słabe oczy. Czy jesteś śliczna?

— Dzień dobry. Jestem niebrzydka.

— Ja zawsze byłam szpetna, więc nie było kwestii. Szpetni muszą pracować dwa razy ciężiej, aby zwrócić na siebie uwagę otoczenia. Człowiek musi udowodnić, że warto go posłuchać. Czy poznałaś już Irvina?

Spojrzałam na mężczyznę o silnym głosie.

— Irvin Edelstein, moi przyjaciele Clayton i Miranda. Usiądźcie. Teraz widzę was lepiej. O tak. Rzeczywiście macz rude włosy! Tak myślałam. Są bardzo ładne. Ubóstwiam czerwień. Czy zauważyłaś moje dywany?

— Tak. Uważam, że urządziła pani ten pokój bardzo gustownie.

— Dziękuję. To mój latający dywan. Tutaj czuję się odrobinę uniesiona. A więc jesteś przyjaciółką Clayтона. To dobry znak. Czym się zajmujesz?

— Również jestem antykwariuszką.

— Świetnie! O tym właśnie chcę dziś porozmawiać. Irvin będzie mi doradzał, co powinnam uczynić. Mam bardzo cenne przedmioty, Mirando. Czy wiesz, czemu zdecydowałam się je sprzedać? Ponieważ całe życie marzyłam o bogactwie. Za miesiąc skończę sto lat, uznałam, że będzie miło osiągnąć bogactwo, zaczynając jedenasty krzyżyk.

— Co pani robi z taką sumą pieniędzy? — To nie było grzeczne pytanie, zwłaszcza że dopiero co zostałyśmy sobie przedstawione, ale od razu polubiłam Frances i czułam, że ma spore poczucie humoru.

— Co zrobię? Kupię sobie czerwonego cadillaca i będę jeździła po mieście, podrywając mężczyzn. Boże, kiedy ja ostatnio byłam z mężczyzną? Wiecie, w moim wieku człowiek rozmyśla o tym, z kim był przez te wszystkie lata. Mężczyźni przeważnie robili głupstwa, ale mieli przy tym nie lada tupet. Czasami dawali dowody zimnej krwi, o której można tylko pomarzyć. Zimna krew jest najważniejsza, Mirando. Tego nauczył mnie Kazandzakis. Bóg dał nam odwagę, ale to niebezpieczna muzyka, lepiej jej nie słuchać. Ten człowiek nie znał strachu. Wiecie, kto był jego bohaterem? Blondin. Największy akrobata wszech czasów. Przeszedł po linie nad Niagarą, a w połowie drogi zatrzymał się, żeby usmażyć sobie omlet.

— Clayton powiedział, że pani życiem można by obdzielić troje ludzi.

— Istotnie. To dlatego, że byłam brzydka i musiałam walczyć o swoje. Kochałam namiętnie i czasem zdobywałam się na odwagę. W ważnych chwilach starałam się mówić prawdę. Ciągłe jestem z tego dumna. Ktoś zaproponował mi kiedyś, żebym napisała autobiografię, ale tu idzie o moje życie. Nie chcę się dzielić nim z ludźmi, którym nie zależy na nim tak, jak mnie. Potem za bardzo się już zestarzałam, aby pamiętać, czy mówię prawdę o sobie, a to bardzo ważne. Dopiero Irvin dał mi ten mały gadżet. — Frances podniosła mały magnetofon leżący na jej kolanach. — Siedzę tutaj i czuję, jak latający dywan unosi się pod moimi stopami, ciepłe światło wlewa się przez okno, a kiedy nachodzi mnie szczególnie miłe wspomnienie, muszę tylko wcisnąć ten guzik. Opowiadam do tej maszyny dawno nie przypominane historie. Na przykład dzisiaj rano, przed waszym przyjściem, myślałam o pikniku w Autueil, na który wybrałam się z Hemingwayami. Lewis Gallantiere, Hemingway i szalony Harry Crosby. Zawsze mnie zastanawiało, jak ci dwaj się dogadywali, ale dzień był piękny. Zjedliśmy szynkę westfalską, a Harry przepuścił trzy tysiące franków na wyścigach.

Zdumiona spojrzałam na Clayтона i wymówiłam bezgłośnie: „Hemingway?”

— Często myślę o Hemingwayu. Wiecie, tyle się mówi o nim i o Giacomettim, ale zawsze przedstawia się ich w krzywym zwierciadle. Ludzie łatwo wierzą, że byli dzicy i rozpustni, bo to pasuje im do wizerunku romantycznego artysty. Jednak Gallantiere powiedział przed śmiercią zdanie, które warto zapamiętać: „Kiedy mieszkaliśmy w Paryżu, wszyscy wielcy

artyści każdy dzień swego życia poświęcali na pracę”. Ludziom się wydaje, że te książki i obrazy wzięły się z powietrza, szast-prast i gotowe. Ale ja pamiętam ich codzienną harówkę. Giacometti by was zabił, gdybyście mu weszli do pracowni, kiedy malował.

Clayton ofiarował mi wiele cudownych prezentów, ale najważniejszym z nich była znajomość z Frances Hatch. Do końca życia zapamiętam ten pierwszy dzień, kiedy się poznałyśmy. Później widywałyśmy się dość często — zarówno po to, by dopiąć na ostatni guzik sprawę sprzedaży jej zbiorów, jak i dlatego, że uwielbiałam być sam na sam z nią i jej wspomnieniami. Kiedyś w college’u przeczytałam wiersz Walta Whitmana o starym człowieku w łódce łowiącym ryby. Żył pełnią życia, ale teraz, znużony, czekał spokojnie na śmierć. Tymczasem siedział, łowił ryby i wspominał. Był zadowolony.

Jeszcze jako smarkula — pyskata i bezczelna — zachwyciłam się pomysłem, że można przeżyć życie w sposób tak pełny, iż pod koniec jesteś gotów na śmierć, gdyż nie zostaje ci nic innego do roboty.

Tamtego dnia, gdy Clayton i ja wychodziliśmy z mieszkania Frances Hatch, miałam wrażenie, że przed chwilą stałam w obliczu absolutnego zrozumienia i czystości. Jakby to były ciała stałe, które mogłam potrzymać w ręku, badając ich ciężar i fakturę. Czułam się szalenie podniesiona na duchu.

Wróciłam do antykwariatu z naładowanym akumulatorem. Reszta dnia zleciała mi w okamgnieniu, żałowałam jedynie, że nie mam z kim podzielić się swymi przeżyciami. Cieszyłam się na kolację u Dagmar. Chciałam poznać nowych ludzi, pogadać, odnaleźć tę codzienną magię, którą Frances znajdowała przez całe swoje życie.

Wcześniej parokrotnie byłam u Dagmar Breece na kolacji. Z reguły schodziły się tam tłumy ludzi tyleż ciekawych, co dziwacznych. W przeciwieństwie do Jaco, który lubił brylować w towarzystwie, Dagmar i jej przyjaciel Stanley odznaczali się skromnością i dobrym smakiem, zapraszając frapujących ludzi i powierzając im wieczór. Inny miły akcent stanowiło to, że nie trzeba się było stroić w wieczorowe ciuchy ani odgrywać ról. Szpan spotykał się z niechęcią zebranych, tylko nietuzinkowym postaciom pozwalano na efekciarski błysk.

O piątej poszłam do domu, aby się przebrać. Kiedy wkładałam sukienkę, zabrzączał telefon. Dzwoniła Zoe. Ucięłyśmy sobie dłuższą pogawędkę, tak iż ledwo zdążyłam się przygotować. Na szczęście dom Dagmar i Stanley a znajdował się o parę przecznic od mojego, tyle że w zdecydowanie lepszej dzielnicy.

Jedną z przyczyn, dla których lubiłam życie na Manhattanie, było to, że kiedy wychodziłeś z domu, miasto natychmiast dopasowywało się do twojego nastroju. Jeżeli się spieszyłeś, wszystko — nawet gołębie — spieszyło się razem z tobą. Ten sam pośpiech i gwałtowność udzielały ci się, ilekroć chciałeś się gdzieś dostać. Jeśli zaś miałeś dużo wolnego czasu, miasto z radością pokazywało ci zakątki, których obejrzenie zajęłoby ci wiele dni albo tygodni.

Nie zgadzałam się z opiniami, że Manhattan jest zimny i obojętny. Pewnie, że był szorstki, ale także zabawny i wesoły. Kiedy szłam do Dagmar, przez całą drogę na przejściach zapalało się zielone światło. Dotarłszy pod jej dom, mruknęłam pod nosem „dziękuję”. W tej samej sekundzie obok mnie przeszedł jakiś wariat, popychając dziecinny wózek obładowany szmelcem. Mężczyzna bez słowa uśmiechnął się do mnie i uchylił nie istniejącego kapelusza, jak gdyby odbierał podziękowanie w imieniu Nowego Jorku.

Tylną ścianę windy zajmowało lustro. Patrzyłam na siebie, pokonując kolejne piętra. Miałam teraz krótsze włosy niż miesiąc temu. Dlaczego kobiety, w miarę jak przybywa im lat, strzygą się coraz krócej? Dlatego że nie chcą sobie robić kłopotu? Dlatego, że niewiele twarzy dobrze znosi luksus długich włosów po przekroczeniu pewnego wieku? Gdy przyjrzałam się sobie uważniej, dostrzegłam znacznie więcej siwych włosów niż spodziewałam się ich po trzydziestej czwartej wiosnie życia. Zmarszczki okalające usta

wyglądały nie najgorzej, jednak kremy odmładzające kosztowały mnie coraz więcej, bo oczekiwałam od nich większej skuteczności. Wyciągnęłam dłonie i obejrzałam je z obu stron, aby sprawdzić, jak one radzą sobie ze starością. Winda wyhamowała. Opuściłam ręce i prędko odwróciłam się od lustra.

Drzwi rozsunęły się i wyszłam na korytarz. Ku mojemu zdziwieniu Dagmar stała przed wejściem do mieszkania, trzymając w każdej ręce kieliszek z szampanem.

— Miranda! Jesteś nareszcie.

— Co ty tu robisz?

— Ukrywam się przed mężczyznami. Siedzą tam i rozmawiają o boksie.

— Pań jeszcze nie ma?

— Na razie nie. Mężczyźni zawsze pierwsi przychodzą na przyjęcia, jeśli wiedzą, że będą tam szalone kobiety.

— Mam nadzieję, że zaprosiłaś inne panie, Dagmar?

— Oczywiście, a także pary. Jakże mogłabym cię tak rzucić lwom na pożarcie?

— Denerwuję się.

— Niepotrzebnie. Po prostu zdejmij płaszcz i wejdź do środka. No, śmiało. — Dagmar podała mi kieliszek i weszliśmy do jej mieszkania.

Inaczej niż Frances Hatch, Dagmar i Stan mieli mało mebli. Był u nich kiedyś Jaco i zauważył złośliwie, że cały dom można by wysprzątać za pomocą węża ogrodowego i trzech bibulek. Choć mijało się to z prawdą, ich mieszkanie rzeczywiście nie było przytulne; nigdy nie pojmowałam, dlaczego tak serdeczni ludzie gnieźdzą się w tak supernowoczesnym igloo. Kiedy szłam korytarzem do pokoju gościnnego, dobiegły mnie salwy męskiego śmiechu.

Pokój roił się od ludzi, z których znana mi była mniej więcej połowa. Omiatając spojrzeniem ich twarze, rozpoznałam niektórych i pomachałam do kilku. Mężczyźni, których widziałam po raz pierwszy, wywarli na mnie dobre wrażenie, ale nie wyglądali interesująco. Wszyscy mieli włosy ulizane żelam, w stylu gangsterskim, albo opadające na ramiona — ostatni krzyk mody. Zdawałam sobie sprawę z pochopności swego osądu, ale taka już byłam: rozgrzeszałam jedynie tych, którzy udowodnili mi, że są ciekawi.

Dagmar uściśnęła mi ramię i oddaliła się, by zamienić parę słów z kucharzem. Natychmiast podszedł do mnie mężczyzna, którego poznałam na kolacji parę miesięcy wcześniej, i przedstawił mi się. Był maklerem, specjalizował się w akcjach kolei. Przez kilka minut paplaliśmy o naszych ulubionych trasach kolejowych. Właściwie to on mówił, dzięki czemu ja mogłam dalej obserwować towarzystwo.

Zjawił się kelner z tacą pełną zakąsek. Smakowita woń przypomniła mi, że od rana biegam o pustym żołądku, nie licząc filiżanki kawy i Ding Donga, którego zjadłam z Claytonem w taksówce. Makler i ja wzięliśmy po krakersie z kawiosem i jajkiem, po czym bez namysłu wrzuciliśmy je do otwartych ust.

Zakąski okazały się śmiertelnie pikantne — eksplodowały przy najlżejszym kontakcie z podniebieniem. Dobrze, że zachowałam resztki przytomności umysłu i zakryłam usta ręką, nim zaczęłam piszczeć jak trafiony śrutem zając. Mój rozmówca uczynił dokładnie to samo. Wstrząśnięci i zaskoczeni gapiliśmy się na siebie. Dzięki Bogu, że zdołał wydobyć z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i wręczył mi jedną. Bez zastanowienia wypluliśmy bomby do chusteczek i otarliśmy usta. Myślę, że niewiele brakowało, aby cały ten incydent uszedł nam na sucho, lecz kilku mężczyzn zauważyło nas i przyglądało się nam dziwnie. Wtedy makler spojrzał na mnie, po czym zagwizdał jak pociąg spuszczający parę: „Huuu–hu–uuu!” Roześmiałam się i popchnęłam go. Oczy zaszczyły mi łzami, paliło mnie w ustach, było mi strasznie głupio, ale zarazem nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

— Wszyscy się na nas gapią!

— Co z tego? Całe życie przewinęło mi się przed oczami.

Istotnie, wszyscy wlepili w nas wzrok, przez co zaczęliśmy się śmiać jeszcze głośniejsze. Stan

podszedł do nas zapytać, co się stało. Gdy wytłumaczyliśmy mu swój kłopot, biedaczyna rzucił się w pogoń za kelnerem, aby wstrzymać częstowanie pozostałych gości.

Kto by przypuszczał, że ta ognista chwila będzie miała tak doniosłe następstwa?

Pół godziny później poproszono do stołu. Kiedy zmierzaliśmy do jadalni, podszedł do mnie nieznajomy mężczyzna i zapytał, czy dobrze się czuję. Czterdziestoparoletni, z czupryną zwichrzonych brązowych włosów a la John Kennedy, uśmiechał się ciepło i szeroko, w sposób, który natychmiast budził sympatię. Spytał, czy coś mi dolega.

— Nie, nic mi nie jest. Przed chwilą zjadłam diabelską przystawkę i jestem lekko sparaliżowana.

— Miała pani taką minę, jakby zobaczyła pani osła. Przystanęłam.

— Posła?

Uśmiechnął się po swojemu.

— Nie, jakby pani zobaczyła wchodzącego do pokoju osła! O taką. — Momentalnie przybrał tak głupawy wyraz twarzy, że zachichotałam.

— Aż tak okropną?

— Przeciwnie, niezwykle! Nazywam się Hugh Oakley.

— Miranda Romanac.

— To jest moja żona, Charlotte.

Była olśniewająco piękną kobietą, z gatunku tych, których uroda z wiekiem wyostrza się i szlachetnieje. Jej oczy miały kolor błękitu pruskiego, jasno blond włosy ułożone były faliście niczym beza z kremem. Charlotte Oakley wydała mi się bardzo nordycka i... biała. Jedynie usta były pełne i zmysłowe. W ilu męskich fantazjach pojawiały się te usta?

— Miło mi. Martwiliśmy się o panią.

— Myślałam, że połknęłam racę.

— Proszę koniecznie zmówić krótką modlitwę do świętego Bonawentury z Potenzy, zanim uda się pani na nocny spoczynek.

— Słucham?

— To święty od dolegliwości żołądkowych.

— Hugh! — Charlotte pociągnęła go za ucho. Uśmiechała się jednak przy tym, i to jak! Gdybym była królem, za jeden jej uśmiech oddałabym całe królestwo. — Studiowanie żywotów świętych to jeden z koników mojego męża.

— Do moich nowych ulubieńców należy Godelewa, strzegąca przed bólem gardła, i Homobon, patron krawców.

— Chodź, Hugh. Idziemy jeść.

— Proszę pamiętać: święty Bonawentura z Potenzy.

— Już się modłę.

Dotknął mojego rękawa i oddalił się wraz z żoną. Skierowaliśmy się do naszych miejsc. Tak się złożyło, że Hugh i ja zostaliśmy usadowieni przy tym samym stole, choć rozdzielało nas paru ludzi.

Pech chciał, że wpadłam w oko siedzącemu obok mnie mężczyźnie, który podczas pierwszych dwóch dań zameczał mnie osobistymi pytaniami. Od czasu do czasu omijałam go wzrokiem i spoglądałam na Hugh Oakleya pogrążonego w rozmowie ze znanym właścicielem galerii w Soho. Najwyraźniej wybornie się bawili. Żałowałam, że nie uczestniczę w ich dyskusji.

Ponieważ nie zwracałam uwagi na siedzącego po mojej prawej stronie faceta, nie od razu spostrzegłam, że w trakcie swojej perory zaczął mnie dotykać. Nic strasznego — najpierw ręka na ramieniu, po kilku zdaniach palce na moim łokciu, dla podkreślenia wagi słów. A jednak mnie się to nie podobało. Gdy jego dłoń zatrzymała się zbyt długo na mojej, wbiłam w nią wzrok, aż cofnął wolno rękę.

— O, bardzo przepraszam.



— W porządku. Jestem głodna. Możemy zacząć jeść?

Z ulgą przyjął ciszę, która potem nastąpiła. Jedzenie było pierwszorzędne i głód odezwał się we mnie ze zdwojoną siłą. Zaatakowałam potrawę z kurczaka, nie przejmując się, że prowadzone wokół mnie rozmowy wpadają mi jednym uchem, a wypadają drugim. Gdyby było inaczej, nie usłyszałabym tego, co powiedział Hugh.

— James Stillman byłby znakomity! Jego śmierć to wielka strata.

— Bez przesady, Hugh. Facet nie panował nad sobą. Nie zapomnij o tej wpadce z obrazami Adcock.

Rozzłoszczony Hugh podniósł głos.

— To nie była jego wina, Dennis. Mąż Adcock wszystkich wystrychnął na dudka.

— Tak, ale najbardziej twojego przyjaciela Stillmana. Pochyliłam się nad stołem, aż piersią dotknęłam blatu.

— Znaliście Jamesa Stillmana?

Spojrzeli na mnie. Hugh skinął głową. Drugi mężczyzna prychnął wzgardliwie.

— Ba, wszyscy go znali. Po tej hecy z Adcock znała go połowa Nowego Jorku.

— Jakiej hecy?

— Powiedz jej, Hugh. To ty jesteś jego wielkim adwokatem. — Jestem, do cholery! — Nasrożył się, ale zwracając się do mnie, mówił znów normalnym tonem. — Czy słyszałaś o malarce Lolly Adcock?

— Jasne.

— Dobrze. No więc parę lat temu jej mąż oświadczył, że posiada dziesięć jej obrazów, o których istnieniu nikt dotąd nie wiedział. Miał zamiar je sprzedać, więc skontaktował się z Bartholomew...

— Tym domem aukcyjnym?

— Tak. Adcock chciał, żeby zorganizowali aukcję. James pracował wtedy w Bartholomew. Byli o nim bardzo dobrego zdania, więc wysłali go do Kansas City, żeby zweryfikował autentyczność obrazów.

Właściciel galerii pokręcił głową.

— I rozentuzjasmowany pan Stillman zawarł kontrakt ze sprytnym panem Adcockiem, po czym okazało się, że obrazy są fałszywe.

— Pomylił się w dobrej wierze!

— Popelnił grubą błąd i dobrze o tym wiesz, Hugh. Sam nigdy nie dałbyś się tak nabrać. Wszyscy wiedzieli, że Stillman jest w gorącej wodzie kapany. Adcock go wykorzystał.

— Jak więc wyjaśnisz to, że odnalazł popiersie Messerschmidta, które uważano za zaginione od stu lat?

— Uśmiech losu. Muszę się napić. — Mężczyzna kiwnął na kelnera. Kiedy zamawiał drinka, wykorzystałam szansę włączenia się do rozmowy.

— Czy dobrze go znałaś?

— Jamesa? Tak, bardzo dobrze.

— Czy możemy... Uhm, przepraszam pana, czy moglibyśmy się przesiąść? Chciałabym zadać Hugh kilka ważnych pytań.

Właściciel galerii podniósł swój talerz ze stołu. Kiedy zamienialiśmy się miejscami, zapytał:

— Pani też była wielbicieleką Stillmana?

— Chodziliśmy z sobą w liceum.

— Coś takiego. Nie sądziłem, że Stillman miał jakąś przeszłość.

Poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku.

— To był porządny człowiek.

— Być może. Niespecjalnie zależało mi, aby go poznać. Siadając, byłam tak zła, że nie mogłam wydobyć głosu.

Hugh poklepał mnie w kolano.

— Nie przejmuj się Dennisem. Jemu potrzebny jest święty Ubald.

— Kto to?

— Patron chroniący przed wścieklizną. Opowiedz mi o sobie i Jamesie.

Rozmawialiśmy przez resztę kolacji i cały podwieczorek. Nie uszczknęłam już ani kęsa.

Hugh Oakley był ekspertem od dzieł sztuki. Podróżował po świecie i informował ludzi, co posiadają lub co powinni zakupić. Przysłuchując mu się, prędko zrozumiałam, dlaczego wygląda tak młodo. Jego entuzjazm nie miał sobie równych. Historie o odkrywaniu bezcennych, pięknych skarbów przypominały opowieści małego chłopca, który znalazłszy tajemniczą mapę, ma serce pełne nadziei. Hugh kochał swoją pracę. Ja z uwielbieniem słuchałam, jak o niej opowiada.

Wiele lat temu prowadził serię wykładów w Tyler School of Art w Filadelfii i wówczas poznał Jamesa Stillmana. Opisał go jako zagubionego młodzieńca, który nie miał wątpliwości, że pewnego dnia spotka go coś wielkiego. Coś spadnie z nieba i wskaże mu drogę.

— Podeszedł do mnie po ostatnim wykładzie. Był całkiem osłupiały, spytałem, czy dobrze się czuje. W odpowiedzi wyjąkał: „Chcę wiedzieć więcej. Muszę dowiedzieć się o tym więcej”. To samo podniecenie ogarnęło mnie na Columbi, kiedy słuchałem wykładu Federica Zeriego. Czytałaś jego książkę *Poza obrazem*? Zrób to przy najbliższej okazji. Czekał, zapiszę ci tytuł.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął oprawiony w skórę notatnik i srebrny ołówek automatyczny. Charakterystycznymi drukowanymi literami napisał tytuł książki i nazwisko autora. Później dowiedziałam się, że ten krój pisma nazywa się Bremen. Hugh Oakley kopiował pedantycznie — różnymi krojami pisma — swoje ulubione wiersze i opowiadania, a następnie niczym średniowieczny mnich, iluminował je farbami, które sam wyrabiał. Kolejna z jego licznych pasji.

To co mówił, pochłonęło mnie tak dalece, że dopiero po dłuższej chwili doszło do mnie, że odgrodziłam go od reszty towarzystwa. Przestraszyłam się, co pomyśli sobie jego żona. Rozglądając się, zauważyłam jednak z ulgą, że Charlotte dyskutuje o czymś żywo z Dagmar Breece.

Po trochu odeszliśmy od tematu Jamesa. Musiałam się o nim dowiedzieć jak najwięcej — tyle, ile Hugh gotów był mi zdradzić.

— Co tak naprawdę przytrafiło się Jamesowi?

— Serce durnia.

— Co takiego?

— „Nadzieja błyszczy w sercu durnia”. To linijka z wiersza Majakowskiego. Dziewczyna Jamesa nosiła te słowa — „serce durnia” — wytatuowane na nadgarstku jak bransoletkę. Wyobrazasz to sobie? Ale ostatecznie żyjemy w dobie tatuaży, no nie? Nazywała się Kiera Stewart. Studiowała na Tempie University. Piękna Szkotka z Aberdeen. James miał fioła na jej punkcie, ale starczyło ją raz zobaczyć, żeby zrozumieć, że ta dziewczyna to ocean złych wieści. Takie kobiety sprawiają, że przez pierwsze miesiące czujesz się cudownie, a potem odbierają ci to kawałek po kawałku. Po jakimś czasie zaczynasz powątpiewać, czy te wspaniałości naprawdę się zdarzyły. Ale wtedy jesteś już uzależniony od tych smacznych kąsków, które czasem ci podrzucą, zamieniasz się w ćpuna. James miał pecha, bo poznał Kierę w momencie, gdy stawał na własnych nogach. Odnalazł to, co chciał robić w życiu. I był w tym tak dobry, że pilnie obserwowano jego poczynania. Dobrze jest zawsze wrogiem lepszego. James miał rzadką zdolność odróżniania jednego od drugiego. Niestety, w tym interesie intuicja działa powoli i wymaga mozolnej pracy. James chciał osiągnąć wszystko naraz, już w tej sekundzie! — Hugh potrząsnął głową. — Kiedyś powiedział, że chce pokazać, co jest wart, tylko nie wie komu. Wydarzenia spadły na niego lawinowo. Niewielu

potrafi sobie z tym poradzić. Jego gwiazda błyszczała, poznał śliczną dzikuskę, która zamieszkała mu w głowie, a potem przełożeni wysłali go do Kansas City, żeby obejrzał obrazy Lolly Adcock. James uznał, że jest niezniszczalny. Przez moment mogło się tak wydawać. Potem przyszedł krach. James popełnił poważny błąd. Mąż Adcock okazał się sprytnym łotrem i prawie mu się udało. Rykoszet trafił w Jamesa, a na domiar złego Kiera dostała cynk o tym, co się stało. Oznajmiła mu przez telefon, że z nimi koniec. Przez telefon. Dziewczyna z klasą, no nie? Platynowa suka. W środku nocy James wskoczył do wozu i ruszył do Filadelfii, ale nie dotarł na spotkanie. Ot i cała historia, Mirando. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Bardzo lubiłem Jamesa.

— Nawet nie tknęliście deseru!

Wzdrygnęłam się, czując nagle czyjś uścisk na moim ramieniu. Ujrzałam patrzącą na nas cierpko Dagmar.

— Przepraszam. Mówiliśmy właśnie...

— Żadnych wykrętów! To jogurtowa trylogia, którą wymusiłam na człowieku torturą. Więc jedzcie bez gadania!

Wisiała nam nad głowami, aż wzięliśmy łyżeczki i zabraliśmy się do wiosłowania. Deser smakował jak zwykły jogurt. Biesiadnicy skończyli już i wstawali od stołów. Zjawiała się Charlotte Oakley.

— O czym tak tutaj szepczecie? Wyglądacie, jakbyście wymieniali tajemnice budowy bomby atomowej. — Uśmiechnęła się przyjaźnie. Piękna, sympatyczna kobieta. Czym zresztą miałyby się martwić? Każdy konkurs w tym domu wygrałaby w cuglach. Ilekroć spoglądałam w jej stronę, dostrzegałam co najmniej dwóch wpatrzonych w nią jak w obrazek mężczyzn. Nic dziwnego.

— Nie uwierzysz, Charlotte. James Stillman był chłopcem Mirandy, kiedy chodzili do ogólniaka.

— Naprawdę? Uwielbiałam Jamesa. Przypominał mi młodego Hugh.

No przecież! Nie mogłam dociec przyczyny, dla której tak bardzo polubiłam Hugh Oakleya. Dopiero po słowach Charlotte uświadomiłam sobie, że jej mąż podoba mi się między innymi dlatego, że ma w sobie coś z przekory i ciekawości Jamesa.

— Nie widziałam go od czasu szkoły. Niedawno pojechałam na zjazd klasowy i dowiedziałam się, że James nie żyje.

Charlotte zmarszczyła czoło.

— Fatalne okoliczności. James był cudownym dzieckiem, które wychodziło frontowymi drzwiami, żeby wczłogać się z powrotem przez dziurę dla psa. Autentyczny urwis, o wielkim uroku osobistym. Kiedy byliśmy razem, czułam, jak opada ze mnie bielizna. Mogłabym uciec z nim na koniec świata. Ale ta jego dziewczyna, Kiera? W dwie sekundy zamieniała się z miernoty w heterę!

— Co się z nią stało?

— Chwileczkę, przecież mam ich zdjęcie!

— Serio? — Hugh wydawał się nie mniej zdziwiony niż ja.

— Jasne. Pamiętasz, jak popłynęliśmy na Block Island? — Charlotte miała małą torebkę, w której tkwił całkiem obszerny portfel. Otworzyła go i zaczęła przetrząsać zawartość. — Proszę uprzejmie.

Podawała mi fotografię. Choć ją wzięłam, w pierwszej chwili nie mogłam na nią spojrzeć.

— Coś nie tak?

— To trudne... Na tym obrazku jest życie, którego nie przeżyłam. Na tym kawałku papieru.

— No nie. Odwagi, Mirando. Przestanieś się zadreć. Odetchnęłam głęboko i spjrzałam. James, Charlotte i Kiera uśmiechali się do aparatu. James miał krótkie włosy, co było dla mnie sporym szokiem, gdyż w liceum nosił je rozpuszczone do ramion. Postarzał się.

Jego pociągła twarz zmarszczyła się i zaokrągliła, ale bił z niej ten sam uśmiech. Białe zęby. Długie artystyczne dłonie.

Łzy napływały mi do oczu.

— Nie mogę.

— Był wspaniały. Pokochałabyś go.

— Wiem. — Popatrzyłam na Charlotte i spróbowałam się uśmiechnąć.

## MAŁA GŁOWA BABE RUTHA

W następnym miesiącu Oakleyowie nie bardzo zaprzęтали moją uwagę. Nasilił się ruch w interesach, a ponadto poznałam mężczyznę, który na pierwszej randce wydał mi się „obiecujący”, a już na czwartej okazał się „beznadziejny”! Pies Auerbach przybył do Nowego Jorku na weekend, toteż przez trzy dni pożeraliśmy się wzajemnie. Frances Hatch dwukrotnie zaprosiła mnie na podwieczorek. Po drugiej wizycie stwierdziła, że mam dobrze poukładane w głowie i że mnie lubi. Komplement sprawił mi przyjemność. Odparłam, że także bardzo ją lubię. Wówczas zapytała filuternie: „Ale czy chcesz kochać, czy być kochana?” Przez jakiś czas jej pytanie plątało mi się po głowie jak ptak, który przypadkiem wleciał do budynku i nie może się wydostać.

Doug powiedział, że widział w Niemczech film dokumentalny o ludziach, których podniecały osoby bez kończyn. Program miał bardzo rzeczowy charakter, bez żadnych podtekstów. Pokazano fragmenty filmów pornograficznych z udziałem kalek, czasopisma na ich temat, kluby towarzyskie, nawet komiksy.

— Wiesz, że jestem gość na luzie, Mirando. Staram się mieć otwartą głowę, nie osądzam innych. Ale kiedy zobaczyłem ten program, to szczeka opadła mi do kolan. Zważyłem, czy żyję na tej samej planecie co ci ludzie.

Frances lubiła rozmawiać o seksie, więc powtórzyłam jej opowieść Douga.

— Co z tobą, Mirando?

— Słucham?

— Po co ten świętoszkowaty ton? Nie poszłabyś do łóżka z mężczyzną bez ręki albo nogi, gdybyś go kochała?

— Oczywiście, że tak.

— A z kobietą?

— Nie wyobrażam sobie, abym mogła się w ten sposób kochać z kobietą.

— Z dzieckiem?

— Frances, usiłujesz mnie sprowokować.

— Ile lat według ciebie liczy dziecko? Ile musiałyby mieć lat, żebyś poszła z nim do łóżka?

— Nie wiem, siedemnaście?

— Ha! Tabuny mężczyzn kochały się ze mną, zanim skończyłam siedemnaście lat. W dodatku działo się to ponad osiemdziesiąt lat temu.

— Owszem, ale przyznasz, że twoje życie było dość nietypowe.

— Co z tego? Chcesz wiedzieć, kiedy moim zdaniem człowiek osiąga odpowiedni wiek na miłość? Kiedy staje się ciekawy. — Trzymała w ręku laskę, którą postukiwała w podłogę.

— Uważam, Frances, że nie powinnaś startować z tym programem w wyborach prezydenckich. Mogliby cię spalić na stosie.

— Wiem. Jestem za stara. Moje serce już tu nie mieszka. Dlatego wspomnienia tak dobrze mi służą: budzisz się rano i smarujesz się nimi jak kremem do rąk. Dzięki temu dni nie wysuszają cię na wiór. Posłuchaj, Mirando, chciałabym cię prosić o pewną przysługę. Czy znasz malarkę nazwiskiem Lolly Adcock?

Przed oczami stanęła mi natychmiast twarz Hugh Oakleya.

— To zabawne. Ktoś mówił mi o niej parę dni temu.

— Godna p o z a ł o w a n i a kobieta, ale całkiem niezła malarka. Mam jej małą akwarelkę, którą chcę sprzedać. Mogłabyś wybadać, jak najlepiej się do tego zabrać?

Wtedy opowiedziałam Frances o mnie i Jamesie Stillmanie, o jego kontaktach ze spadkobiercami Lolly Adcock oraz o tym, co się z nim stało.

— Szkoda, że nie spotkaliście się, kiedy byliście trochę starsi. Pewnie zostalibyście

szczęśliwym małżeństwem i mieli całą furę dzieciaków. No cóż, zdarza się: poznajemy ludzi albo zdobywamy doświadczenia w złym momencie. Mężczyzna mojego życia nazywał się Shumda, ale dopiero po dziesięciu latach zmądrzałam na tyle, żeby to zrozumieć. Kiedy żyliśmy z sobą, byłam zwykłą gówniarą, zmieniającą mężczyzn jak rękawiczki. Nie szukałam światła, lecz żaru. Często patrzymy wstecz i mówimy: „Ojejku, ale byłam głupia, kiedy miałam siedemnaście lat!” Ale spójrzmy na to z odwrotnej perspektywy: siedemnastoletnia Miranda patrzy na ciebie w tej chwili. Jak by skomentowała to, kim się stałaś?

— Co jako siedemnastolatka pomyślałabym o sobie dzisiaj? — Roześmiałam się.

— Właśnie. Pewnie byś była wściekła, że nie wyszłaś za tego Jamesa i nie uratowałaś mu życia.

Na przyjęciu u Dagmar i Stanleya Hugh zostawił mi swoją wizytówkę. Zadzwoiłam do niego i ustaliliśmy termin spotkania. Frances dała mi obraz Adcock, żebym miała mu co pokazać. Zdziwiłam się, że jest skłonna powierzyć mi tak cenny przedmiot.

— Najwyżej go zwędzisz. Ale wtedy nie będziesz mogła mnie więcej odwiedzać. Osobiście wolałabym znać mnie, niż okradać.

W przeddzień umówionego spotkania Hugh zadzwonił z wiadomością, że musi natychmiast wyjechać do Dublina. Możemy albo odłożyć spotkanie na później, albo umówi mnie z jednym ze swoich asystentów. Odparłam, że może być jego asystent. Jeśli zajdzie taka potrzeba, spotkamy się osobiście, gdy wróci z Dublina. Odłożywszy słuchawkę, czułam lekki zawód, ale nic ponadto.

Na godzinę przed wizytą doszło do spięcia między mną a mężczyzną, z którym chodziłam. Wpadł do mojego sklepu cały podekscytowany nową kamerą wideo, którą właśnie sobie kupił. Po piętnastu minutach zaczął mi ubliżać. Zarzucał mi, że jestem zimna i wyrachowana. Że wydusiłam go jak tubkę pasty do zębów, a potem wrzuciłam do kosza na śmieci. Nie przerywałam mu, dopóki nie popadł w beładny bełkot.

— Mam zaraz ważne spotkanie. Muszę iść.

— Ach tak? I tylko tyle masz mi do powiedzenia?

— Czy ty nie powiedziałaś już wszystkiego? — Podniosłam się z krzesła.

Nie wiem, jaki wyraz twarzy miałam w tamtej chwili. Moje serce i żołądek były spokojne. Prawdę mówiąc, cieszyłam się, że do tego doszło. Przynajmniej nie będę musiała robić dyplomatycznych podchodów. Sądziłam, że na mojej twarzy maluje się pustka. Kto to zresztą wie? Cokolwiek na niej było, mężczyzna wytrzeszczył oczy i spoliczkował mnie.

Zatoczyłam się do tyłu i wpadłam na metalowy segregator. Krawędź szuflady boleśnie wbiła mi się w kręgosłup. Krzyknęłam i upadłam na kolana. Zobaczyłam jego nogi nadchodzące w moją stronę. Zwinęłam się jak embrion, czekając, aż posypią się dalsze razy.

Wybuchnął śmiechem.

— Kurwa, popatrz na siebie! Zajęłaś jak najstuszniejszą pozycję — na kolanach. Czekaj, zrobię ci zdjęcie. Chcę to zapamiętać.

Usłyszałam bzyczenie i podniósłszy zalęknione oczy, ujrzałam wycelowane w siebie oko kamery.

— Muszę to nagrać. Co za pamiątka!

Trwało to całą wieczność, jednak nie poruszyłam się, aby nie rozzłościć go jeszcze bardziej.

— Mirando, skarbie, wstań już z tych klęczek. Nie musisz mnie o nic błagać. Jesteś teraz wolną kobietą. — Opuścił kamerę i wyszedł ze sklepu.

Czasami biła mnie matka. Dopiero gdy dorosłam i mogłam z nią porozmawiać o tych sprawach, zapytałam, dlaczego to robiła. Ona jednak nie chciała się przyznać, że kiedykolwiek podniosła na mnie rękę.

— Nie pamiętasz, jak zepsułam ci torebkę i dałaś mi w twarz? — zapytałam.

— A, wtedy. No tak. Tę torebkę dostałam od twojego taty.

— Wiem, mam, ale mnie uderzyłaś!

— Bo sobie zasłużyłaś, kochanie. Ale to nie było bicie.

Teraz — dorosła, na kolanach, w obawie, że mężczyzna wróci i połamie mi kości — zastanawiałam się, czy również sobie na to zasłużyłam. Co zrobi, jeśli wezwę policję? Czułam się całkowicie bezradna. Byłam twarda i konkretna w interesach i umiałam postawić na swoim w większości sytuacji, ale większość sytuacji nie mrozi ci krwi w żyłach, tak że kulisz się niczym małe dziecko przed prawdziwymi potworami chodzącymi po ziemi.

Biuro Hugh Oakleya mieściło się w budynku przy Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Mimo tego, co się stało, poszłam spotkać się z jego asystentem. Wiedziałam, że w przeciwnym razie ucieknę do domu i będę się bała. Musiałam się czymś zająć. To spotkanie nie było na tyle ważne, abym nie mogła wyjść z niego w połowie, gdyby znów zebrało mi się na łzy.

Po wyjściu z windy zaczerpnęłam kilka głębokich oddechów i spróbowałam wziąć się w garść. W ciągu następnych paru minut będę opanowaną, bystrą, stuprocentową profesjonalistką. Postaram się uniknąć trawiącego mnie lęku. Gdy jednak spotkanie dobiegnie końca, będę musiała powrócić do świata, w którym żyje mój napastnik. Czy można temu zaradzić?

Na drzwiach był prosty napis „Oakley i Spółka”, wymalowany tymi samymi literami, którymi Hugh zanotował mi tytuł książki podczas kolacji. Położyłam rękę na mosiężnej klamce, gdy z biura doleciały stłumione dźwięki skrzypiec; grano jakiś dziarski motyw. Przebiegło mnie radosne drżenie. Nieoczekiwana muzyka mówiła, że na ziemi wciąż istnieje piękno. Weszłam do środka.

Przedsionek ozdobiły antyczne meble i obrazy, nigdzie jednak nie zauważyłam śladu sekretarki. Stojący na biurku telefon podświetlały migające lampki. Muzyka wyraźnie się nasiliła. Skrzypcom wtórowały flet i gitara basowa. Choć nie miałam zielonego pojęcia o muzyce irlandzkiej, skoczne, płynne rytmy nasunęły mi to skojarzenie.

Zrobiłam parę kroków i rzuciłam nieśmiało „halo” w głąb biura. Żadnej odpowiedzi. Kolejne kroki, następne „halo”. Muzyka jakby nigdy nic płynęła dalej, lekka i wesoła jak taniec. Raz kozie śmierć, pomyślałam i podążyłam za nią. Ukazał się korytarz z szeregiem pokoi. Jeden z nich był otwarty, więc zajrzałam do wnętrza. Pomieszczenie wyglądało jak laboratorium: probówki, menzurki, palniki Bunsena... Zaraz przypomniała mi się szkolna pracownia chemiczna. Ruszyłam dalej.

Na końcu korytarza znajdowały się inne otwarte drzwi, to stamtąd dobiegała muzyka. Raptem zapadła cisza i jakaś kobieta zaklęła na cały głos.

— To było dobre! Czemu przerwałaś?

— Bo znów zepsułam ten cholerny pasaż!

— A kogo to obchodzi? — zapytał Hugh.

— Mnie.

Podeszłam do drzwi i zapukałam w nie.

— Halo? — Ostrożnie wsuwając głowę, zobaczyłam Hugh, mężczyznę i kobietę siedzących na prostych drewnianych krzesłach przed pulpitemi nutowymi. Hugh miał na kolanach skrzypce, kobieta rodzaj fletu, mężczyzna akustyczną gitarę basową.

— Miranda! Cześć, wchodź proszę!

— Czy nie przeszkadzam?

— Nie, nie, właśnie ćwiczymy. Miranda Romanac, to jest Courtney Hill, a to Ronan Mariner. Pracujemy w jednej firmie.

— Wasza muzyka jest cudowna.

— To przerwa na lunch. Śmiało, usiądź. Przelecimy jeszcze raz ten kawałek, a potem pogadamy. Gramy Ferny Hill, znasz to?

— Niestety, nie.

— Spodoba ci się. No, do dzieła.

Oni zaczęli grać, a ja płakać. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy Courtney spojrzała na mnie i zrobiła wielkie oczy. Poczułam gorące łzy na policzkach i wykonałam gest, który mówił, że to z powodu muzyki. Rzeczywiście tak było — nic nie mogło stanowić dla mnie lepszej odtrutki na to, co się stało. Nie słyszałam nigdy bardziej schizofrenicznej muzyki niż irlandzkie utwory ludowe. Jak to możliwe, że w jednej nucie rozbrzmiewa zarazem smutek i radość? Jej prostota i bezpośredniość przemawiają wprost do słuchacza: owszem, świat jest pełen cierpienia, ale oto droga wyjścia. Dopóki tkwisz w tej muzyce, zło ci nie zagraża. Trio doskonale odegrało tę melodię. Od wielu dni nie czułam się równie lekko jak podczas tych kilku minut łez i muzyki.

Zakończyli efektownym ozdobnikiem i popatrzyli na siebie jak dzieciaki, które przeżyły wspaniałą przygodę bez jednego draśnięcia.

— To było piękne.

— Całkiem niezłe, co? Ale weźmy się do interesów. Co takiego z sobą przyniosłaś, Mirando? — Hugh z pewnością zauważył moje łzy, ale nie dał nic po sobie poznać. Spodobało mi się to.

Odwiązałam sznurek, zdjęłam papier i podniosłam obraz tak, aby wszyscy troje mogli go zobaczyć. Popatrzyli na niego, a potem na siebie.

— Czy to jest to, co myślę? Lolly Adcock?

— Tak.

Hugh odebrał ode mnie akwarelę. Cała trójka zbliżyła się nad nią — wymieniali cicho uwagi i wskazywali na różne detale.

— Hugh nawet się nie zająknął, że przyniesiesz Adcock.

— Powiedziałbym wam, gdybym wyjechał do Dublina.

Ronan potarł usta.

— Chcesz wiedzieć, Hugh, co mi mówi szósty zmysł? Trzymaj się od tego z daleka. Nawet jeśli to autentyk, to po fiasku ze Stillmanem ciężko będzie znaleźć kogoś, kto by potwierdził, że ta akwarela została namalowana przez Adcock.

Hugh zbliżył twarz do obrazu i pociągnął nosem.

— Nie czuję fałszerstwa.

— Mało śmieszne, Hugh. Dobrze wiesz, o co chodzi Ronanowi.

— Wiem, Courtney, ale na tym przecież polega nasz zawód, prawda? Mówimy, co widzimy. Jeżeli jesteśmy w błędzie, trudna rada. Kto wie, kiedy poddamy go badaniom, może się okazać, że to fałszyfikat.

— Mimo wszystko uważam, że Ronan ma rację. Nie warto narażać się na kłopoty dla tak niepewnego zysku. — Courtney przeniosła wzrok na obraz i pokręciła głową.

— Okay, rozumiem, ale czy moglibyście go zbadać? — spytał cicho.

Kobieta i mężczyzna wstali szybko z krzeseł i skierowali się do drzwi.

Siedzieliśmy, słuchając, jak stąpają korytarzem. Gdzieś w oddali skrzypnęły zamykane drzwi.

— Dlaczego płakałaś?

— Myślałam, że spytasz, skąd wzięłam obraz.

— Później. Czemu płakałaś?

— A czy to ważne?

— Tak, ważne. Kiedy tu weszłaś, twoja twarz była gdzieś indziej. W jakimś złym miejscu.

— Słucham?

— Nie spodziewałaś się tego. — Uniósł lekko skrzypce. — Miałaś inny wyraz twarzy i błyskawicznie musiałaś go zmienić. Przez ułamek sekundy widziałem coś okropnego, z czym tutaj przysłaś. Łzy dowiodły, że się nie myliłem.



— Jesteś dobrym detektywem, Hugh.

— Tylko dlatego, że mnie obchodzisz.

Cóż mogłam na to odpowiedzieć? Dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Ktoś mnie uderzył.

— Czy potrzebna ci pomoc, aby się nim zająć?

— Nie, nie sądzę.

— Dlaczego ten ktoś miałby cię uderzyć?

— Bo uważa, że jestem dziwką.

Hugh wyjął z kieszeni koszuli dwie żółte landrynki i wręczył mi jedną. Kiedy odwijałam ją z papierka, wrzucił swój cukierek do ust, wziął do ręki skrzypce i zaczął cicho grać.

— Nie sądzę, że jestem dziwką. Uśmiechnął się.

— Kto to jest?

— Mężczyzna, z którym się ostatnio spotykałam.

Skinął głową, jakby milcząco zachęcał: „Mów dalej”. Grał *For No One* Beatlesów.

Zacząłam pomału, ale rozkręciłam się w parę minut. Opisałam, gdzie się poznaliśmy, jak przebiegały nasze randki, o czym rozmawialiśmy, co myślałam o nim aż do tej przełomowej chwili, gdy uderzył mnie w twarz.

— Oblizywacz obrazów.

— Słucham?

— W Anglii żyje taki człowiek, który liże swoje ukochane obrazy. Nie wystarczy mu patrzeć. Pragnie wejść w bardziej intymny kontakt z ulubionymi dziełami, więc chodzi do muzeów, a kiedy strażnicy nie patrzą, oblizuje je. Zbiera pocztówkowe reprodukcje wszystkich obrazów, które już zaliczył.

— Szaleniec.

— Tak, ale ja go rozumiem. Zdaje się, że na to samo zachorował twój mężczyzna: nie mógł cię mieć na własność, więc padło mu na mózg. Zrobił jedyne, co mógł, żeby zdobyć cię choć na chwilę: przestraszył cię. To sprawdzony sposób. Od dzisiaj, przynajmniej dopóki będziesz się go bała, ma cię na własność.

— Cholera! Niech szlag trafi męską siłę. Kiedy im się coś nie podoba, zawsze mogą nas uderzyć. Nigdy nie poznacie, jakie to uczucie. Zawsze ten cień lęku czający się w naszych sercach.

— Nie wszyscy mężczyźni są damskimi bokserami, Mirando. — Ale mogą nimi być. Na tym polega różnica.

Do pokoju wbiegł mały biały bulterier i zatrzymał się koło Hugh.

— Łajza! Pozwól, Mirando, że przedstawię ci Łajzę. Kiedy zaczynamy grać, ucieka i chowa się. To jedyny znany mi pies, który aktywnie brzydzi się muzyką.

— Zawsze się bałam tej rasy.

— Bulterierów? Łajza jest łagodna jak baranek. Ona tylko wygląda jak szelma.

Mnie bardziej przypominała ubieloną świnię niż suczkę, ale miała tak rozkoszny pysk i tak zaciekle merdała ogonem, że nie mogłam się powstrzymać, by jej nie pogłaskać. Podeszła do mnie i legła jak kamień na mojej nodze.

— Dlaczego wołasz na nią Łajza?

— Moja córka tak ją nazwała. Ot, tak sobie. Przyniosłem tę suczkę ze schroniska. Brigit rzuciła na nią okiem i stwierdziła, że będzie się wabić Łajza. I tak zostało.

— Ile masz dzieci?

— Córkę i syna. Brigit i Oisin. Oj–szin.

— Oisin? To irlandzkie imię?

— Tak. Oboje urodzili się w Dublinie.

— A propos, dlaczego nie wyjechałeś do Dublina?

— Z powodu twojej wizyty. Kiedy odparłaś, że bardzo chętnie spotkasz się z moim

asystentem, pomyślałem sobie: Oho, pewnie nieprędko ją znowu zobaczę. Wiedziałem, że muszę zostać.

Ponownie próbowałam udzielić mu jakiejś sensownej odpowiedzi.

— Zbijasz mnie z tropu, Hugh.

— Ludzie mówią, że jestem zbyt bezpośredni. Nie pojechałem do Dublina, gdyż musiałem cię znowu zobaczyć. Po prostu.

Z drugiego końca korytarza rozległ się głos Courtney proszącej, aby przyszedł. Hugh wstał, odłożył skrzypce na krzesło i ruszył do drzwi.

— Zamierzałem do ciebie zadzwonić, ale mnie uprzedziłaś. Nie chciałem dłużej czekać. Odkąd się poznaliśmy, stałaś się treścią mojego życia.

Zostawił mnie z Łajzą, spoczywającą na mojej nodze. Nie od razu moje ciało ogarnęło drżenie, ale gdy raz się zaczęło, to już nie na żarty. Trzęsłam się tak gwałtownie, że zbudziłam drzemiącego psa. Łajza podniosła na mnie wzrok. Zamknęłam oczy. Serce tłukło mi się o żebra klatki piersiowej. Nie mogłam się doczekać, aż wróci Hugh.

Oto ja, we własnej osobie: stara kobieta, która pisze o seksie tanim długopisem trzymanym w drżącej dłoni. Czy może być większa ironia? Zazwyczaj nie pamiętam nawet, co jadłam poprzedniego dnia. Jakże mogę mieć czelność twierdzić, że przypominam sobie, i wiernie zapisuję, ów najbardziej efemeryczny akt sprzed półwiecza?

Wstanę i powędruję do kuchni. Po drodze zastanowię się, jak się do tego zabrać. Zostało mi trochę ciastek czekoladowych. Zjem dwa i popiję szklanką zimnej wody. Jedzenie to seks dla starych ludzi.

To mój dom, resztki życia w ostatnich pokojach. Są też zdjęcia. Moi rodzice. Hugh i ja. Zoe na werandzie tego domu. Jedyne meble, jakie zachowałam z tamtych lat, to fotel Hugh. Choć już dwa razy zmieniano w nim obicie i wygląda szmatławo, nie oddałabym go za żadne skarby. Obok na stoliku sterczy fotografia Frances w jej nowojorskim mieszkaniu. Otaczające ją przedmioty — obrazy i dywany, przepych kolorów — składają się na jej życie. Ale Frances chciała zapamiętać wszystko. Ja nie. Otaczam się tym, co najprostsze. Lepiej nie wrywać zabójczych wspomnień z ich niespokojnej drzemki w moim sercu.

Część przedmiotów musi się tutaj znajdować. Najważniejszy jest stos patyków piętrzący się w kominku. Każdy z tych kawałków drewna ma znaczenie. Na każdym zapisano datę i uzasadnienie. Nie liczyłam ich, ale przypuszczam, że zebrało się ich około dwudziestu. Kolekcja Hugh była dużo większa, ale też zaczął je zbierać wiele lat wcześniej niż ja.

To on wpadł na ten pomysł: ilekroć w twoim życiu wydarzy się coś naprawdę istotnego — gdziekolwiek byś była — poszukaj najbliższego patyka i napisz na nim tę okoliczność i datę. Zbieraj patyki, dbaj o nie. Nie powinno być ich zbyt wiele. Co parę lat sortuj je, oddzielaj wydarzenia, które zachowują ważność, od tych, które ją tracą. Wiesz, o co chodzi. Resztę wyrzuć.

Kiedy się zestarzejesz, rozchorujesz albo będziesz pewna, że zostało ci mało czasu, zbierz wszystkie w wiąznię i spal ją. Dokonaj zaślubin patyków.

W godzinę po wizycie w jego biurze, gdzie przyszedłam po wycenę akwareli, Hugh Oakley i ja spacerowaliśmy po Central Parku. Właśnie wtedy powiedział mi o swoim pomysle z „zaślubinami patyków” i zaproponował, abym zaczęła je także zbierać. Zdenerwowana tym, co się miało wkrótce stać, zgodziłam się bez zastanowienia. Patyk pochodził z czerwonego buku. Nie miałam wtedy pojęcia o drzewach, liściach, roślinach. Byłam dziewczyną z miasta, spieszącą do hotelu, aby kochać się z mężczyzną, o którym wiedziałam, że jest szczęśliwym mężem i ojcem dwojki dzieci.

— Czy coś się stało? — Hugh stanął nagle i obrócił mnie twarzą ku sobie. Trzymaliśmy się za ręce. Chwilę wcześniej biegliśmy na wyścigi do hotelu. Domyślałam się, że bywał tam

i przedtem. Z iloma kobietami ścigał się nieprzytomnie, zaciągając je do łóżka? — Wydajesz się przybita.

— Nie jestem przybita, Hugh, tylko skołowana! Ktoś spoliczkował mnie przed południem, a teraz jestem tutaj z tobą. — Wpatrywałam się w nasze splecione dłonie. Ani na moment nie oderwałam od nich spojrzenia. — Nie zdarza mi się to. Wszystko spada na mnie naraz, na pełnym gazie. Niebezpieczeństwo, prawda, fałsz... Wszystko. Myślałam, że wyjechałeś do Irlandii. Myślałam, że twój asystent poda mi cenę obrazu i pójdę do domu. Nie to. Po raz pierwszy jestem w takiej sytuacji.

Rozejrzał się po parku i zobaczywszy ławkę, pociągnął mnie w jej stronę.

— Usiądź i posłuchaj. To, co robisz, jest słuszne. Zarówno serce, jak i zmysł przygody powiadają ci: „Naprzód!” Ale żyjemy w systemie równowagi sił, który nie pozwala nam na ryzyko. Sprzeciw się temu systemowi, Mirando. Zrób to. W najgorszym razie po jakimś czasie uznasz to za szaleństwo, ale będziesz się cieszyć, że je popełniłaś. Miałam zamknięte oczy.

— Czy mogę cię o coś zapytać? Odpowiesz mi szczerze?

— Pytaj, o co chcesz. Wyprostowałam się.

— Czy jesteś tego wart?

Usłyszałam, jak bierze oddech, by mi odpowiedzieć, i jak potem milknie na dłuższą chwilę.

— Myślę, że tak. Mam nadzieję.

— Czy często chodzisz z kobietami do hotelu?

— Nie. Czasami.

— Nie czuję się szczególnie wyróżniona.

— Nie mam zamiaru przeproszać cię za to, kim byłem dotychczas, zanim mnie poznałaś.

— Wykręcasz się sianem, Hugh. To dla mnie ważna decyzja.

— Zrobię, co tylko zechcesz, Mirando. Możemy siedzieć tutaj i rozmawiać. Możemy pójść do kina albo kochać się w hotelu. Dla mnie to bez różnicy. Ja chcę po prostu być z tobą.

Dwóch wrotkarzy przemknęło obok nas z hukiem, za nimi zaś przeparadowała grupka dzieciaków w przekrzywionych czapczkach, niosąca ogromny magnetofon. Odprowadziliśmy ich wzrokiem, nim znów się odezwała.

— Wiesz, na co mam ochotę? Zanim zrobimy cokolwiek innego?

— Na co?

— Pójść do GAP— a i kupić spodnie khaki. — To była prosta i oczywista próba. Chciałam zobaczyć, jak Hugh zareaguje.

Twarz mu się rozjaśniła. Uśmiechnął się szczerze.

— Nie ma sprawy! Idziemy.

— A co z hotelem?

Znieruchomiał. Kiedy się znów odezwał, mówił wolno i z rozmysłem:

— Nie bardzo kapujesz, Mirando. Nie mam już dwudziestki. Nie zasuвам z kutasem między nogami jak wiedźma na miotle. Ja chcę być z tobą. Albo w łóżku, albo gdzie indziej, ale pod warunkiem, że razem.

— W takim razie, po co szliśmy do hotelu?

— Ponieważ chcę cię dotykać! Myślałem, że czujesz to samo. Pomyliłem się. Wielkie halo. Chodźmy kupić ci portki.

— Naprawdę? — W wypowiedzianym słowie brzmiała nutka strachu.

Położył dłoń na moim policzku.

— Naprawdę.

Wymaszerowaliśmy z parku równie prędko, jak się w nim znaleźliśmy. Oddałabym miesiąc życia, żeby się dowiedzieć, co Hugh myśli w głębi ducha. Ponownie ujął mnie za

rękę i ścisnął ją raz po raz, jakby chciał powiedzieć: „Jestem tutaj, przy tobie”. Wiedziałam, że jakkolwiek zakończy się ten dzień, będę puszczała w głowie replay jeszcze przez długi czas.

Nie potrzebowałam nowych spodni. W ogóle bym o nich nie wspomniała, gdyby nie reklama GAP—a na miejskim autobusie, którą zobaczyłam parę minut wcześniej.

— Jesteśmy na miejscu.

Zatopiona w myślach nie zauważyłam nawet, kiedy stanęliśmy przed drzwiami sklepu odzieżowego.

— Poszukaj dla siebie khaki, a ja kupię czapkę. Będzie mi przypominać o dzisiejszym dniu. Ty będziesz miała pierwszy patyk w swojej kolekcji, a ja bejsbolówkę.

— Jesteś zły, Hugh? Powiedz prawdę.

— Jestem p o d e k s c y t o w a n y . — Bez słowa otworzył drzwi na oścież i gestem zaprosił mnie do środka.

— W jakim sensie?

— Powiem ci później. — Weszliśmy do sklepu. Hugh oddalił się i zdjął z wieszaka zieloną sportową bluzę.

Nie pozostawało mi nic innego, jak rozejrzeć się za tymi cholernymi spodniami. Gdy podeszła do mnie sprzedawczyni i słodkim głosikiem spytała, czym może mi służyć, ryknęłam:

— Spodnie! Szukam spodni khaki, okay?

Kobieta cofnęła się z przerażeniem na twarzy.

Miałam to gdzieś. Przebierałam wśród ubrań, zamiast kochać się na całego z fascynującym mężczyzną. Dlaczego obleciał mnie przed nim strach? Wcześniej decydowałam się w mgnieniu oka. Przed restauracją „China Moon” w San Francisco. Albo z tym fircykiem w Hamburgu, gdzie wylądowałam w łóżku z pękniętą sprężyną. Robiliśmy, co trzeba, i wszystko świetnie się układało. Miałam radosne, pozbawione poczucia winy wspomnienia.

Rozejrzałam się po sklepie i zobaczyłam Hugh przymierzającego czapki bejsbolowe przed lustrem. Przystojny mężczyzna, po czterdziestce, w ciemnym garniturze, wpychający na swoją wielką głowę chłopięce czapki. Czemu nie z nim?

Ponieważ mogłabym się w nim zakochać.

Zaczął się w jego biurze, kiedy powiedział: „Obchodzisz mnie”. Stwierdzenie uczciwe i proste jak kartka papieru, na której słowa te wydrukowano dużymi, czarnymi literami. Jego szczerść tak mi się spodobała, że aż wytrąciła mnie z równowagi. Miałam wrażenie, że wszystko, co Hugh mówi, jest albo szczerze, albo ciekawe — zwykle jedno i drugie. Miał szeroką wiedzę; nawet jeżeli przedtem dany temat mnie nie interesował, gdy Hugo zaczynał opowiadać, zapominałam o Bożym świecie. Wystarczyło, że przytoczył słowa, których nauczył się w Mongolii, kiedy badał życie Dżyngis-chana, porównał recenzje filmowe Jamesa Agee i Grahama Greene’a albo opisał instalację wodociagową, którą Thomas Jefferson zastosował w Monticello...

Jego twarz, oczy, usta ożywiały się, kiedy mówił. Miał prostokątny podbródek i żółte zęby palacza. Policzki złościły głębokie zmarszczki, które niemal zniknęły przy uśmiechu. Rzęsy były długie i gęste. Nie chciałam się z nim na razie całować, ale nie odmówiłabym mu, gdyby tego spróbował. Przyjęłam jego zaproszenie na obiad. Kiedy wychodziliśmy z biura i jego współpracownicy popatrzyli na nas ze zdumieniem, wrzuciłam w myślach ramionami. Gdy na ulicy Hugh oświadczył, że mnie pragnie, bez namysłu odparłam: „W porządku”.

W sklepie podeszłam do niego od tyłu i odezwałam się do jego odbicia w lustrze. Miał na głowie zieloną czapkę bejsbolową, lekko przekrzywioną na prawo.

— Pójdiesz ze mną zobaczyć, jak leżą? — Pokazałam mu spodnie, które trzymałam w ręku. Nie znałam nawet ich rozmiaru. Zdjęłam z półki pierwszą parę, która mi się nawinęła.

— Jasne. Czy wiesz, że Babę Ruth, jak na mężczyznę o jego gabarytach, miał małą

główkę? 7 3/8. — Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Zapytałam przechodzącą sprzedawczynię, gdzie jest przebieralnia. Gdy wskazała mi drogę, chwyciłam Hugh za rękę i pohołowałam za sobą.

Przed kabinami stała inna sprzedawczyni, lecz nie zdziwiła się, gdy oboje zajęliśmy jedną z nich. Było bardzo ciasno. Energicznie zaciągnęłam zasłonkę, spuściłam spodnie na podłogę i odwróciłam się do Hugh. Po raz pierwszy poczułam jego zapach. Nigdy przedtem nie byliśmy tak blisko. Pomarańczowo-cynamonowa woda kolońska, tytoń i kwaskowata woń tworzyły odurzającą mieszankę.

Zsunęłam mu z głowy czapkę i pocałowałam go. Jego usta okazały się delikatniejsze, niż przypuszczałam. Nie odwzajemnił mi się, ponieważ to ja wyszłam z inicjatywą i oboje wiedzieliśmy, że to konieczne. Objęłam go za szyję, ale nie przyłgnęłam do niego.

Uniół rękę i pogłaskał mnie po głowie. Patrzyliśmy sobie w oczy.

— Czy będziemy też przyjaciółmi? — Powiodłam palcem po bruzdzie okalającej jego usta. Była bardzo głęboka.

— Tylko wtedy może nam się udać. — Ujął mój palec i pocałował go.

— Chcę cię polizać po kręgosłupie.

Nie stało się nic więcej. Przez dwie minuty ściskaliśmy się namiętnie, po czym wyszliśmy z kabiny uśmiechnięci, jakbyśmy wygrali główną nagrodę w totolotka. Hugh uparł się kupić sobie na pamiątkę czapkę. Nosił ją przez resztę dnia, który spędziliśmy na szwendaniu się po mieście i poznawaniu się.

Złe myśli, które mnie nawiedzały — o jego uroczej żonie, o dzieciach — były lekkie i płochy. Natomiast dobre myśli, nadzieje i oczekiwania ważyły tyle co góry. Wiedziałam, że oto zaczyna się coś złego, co dotknie wszystkich, choćby nie wiem jak mądre znaleźć tego uzasadnienie. Nigdy nie wiązałam się z żonatym mężczyzną, mimo że okazje same się napraszały. Wierzyłam, że to, co się robi, wraca jak bumerang. Jeżeli odtańczę taniec brzucha z czyimś mężem, bogowie z pewnością odplacą mi pięknym za nadobne.

Staliśmy przed wejściem do tunelu metra. Nasz dzień dobiegał końca. Hugh wracał do poprzedniego życia, w którym oczekiwała go niczego nie podejrzewająca rodzina. Spojrzeliśmy na siebie tym głodnym wzrokiem, który zawsze budzi rozłąka.

— Idziesz teraz po psa?

— Tak. Odprowadzę go do domu i będę myślał o tobie.

— Martwię się o twoją rodzinę. Pokręcił głową.

— Niepotrzebnie.

— To dla mnie nowość. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

— Mirando, prędzej czy później wszyscy pomrzemy. Kiedyś „prędzej czy później” nie dawało mi spokoju, ale wiesz co? „Prędzej” nagle stało się „później” i uświadomiłem sobie, że zmarnowałem kupę czasu na zmartwienia, zamiast żyć.

— Jedna moja przyjaciółka zapytała, czy wolałabym kochać, czy być kochana. Ja wolę kochać.

Przytaknął.

— Twoja odpowiedź. Muszę już iść.

Pocałowaliśmy się. Dotknął mojej szyi, a potem ruszył ku wejściu do metra. W połowie schodów obrócił się i twarz rozświetlił mu promienny uśmiech.

— Gdzieś ty była? Gdzie byłaś przez cały czas?

Dwa dni nie dawał znaku życia. Wyobraź sobie, jak ogłuszająca musiała być dla mnie ta cisza. Na trzeci dzień, czując rodzące się obawy i pretensje, zatrzymałam się w drodze do antykwariatu, aby zajrzeć do skrzynki. Były w niej zwykłe rachunki, ulotki i ogłoszenia, ale na dnie tej hałdy papierzyśk kryła się złota grudka. Moje imię, nazwisko i adres na kopercie były napisane ręką Hugh. Poczułam, jak moje serce uderza w galop.

W kopercie tkwiła pocztówka.

Zdjęcie wykonane przez Walkera Evansa, a na nim wysłuchony pokój z łóżkiem, kredensikiem i dzbankiem na wodę. Dawno obumarłą tapetę pomału zjadały wykwitające na ścianach plamy wody. Ukośny sufit nad łóżkiem wskazywał na facjatę. Gdyby nie łóżko, pomieszczenie przywodziłoby na myśl kurewską norę ze Zwrotnika Raka lub z opowiadania Hemingwaya o klepaniu biedy w Paryżu. Jednakże niewiarygodna, alchemiczna białość pościeli i poduszek przemieniała je w przestwór seksu i nieskończoności. Pokój, do którego idzie się po to, aby się pieprzyć bez końca. Potem kochankowie zasypiają, spleceni w miłosnym uścisku. Właściwie nie wyróżniał się niczym szczególnym poza olśniewającą bielą starannie uprasowanych prześcieradeł i powłoczek na dwóch grubych poduszkach, które na szarym tle jawiły się niczym kędzierzawe chmury. Łóżko okrywała kołdra z kolorowych łąt. Czułam stęchłą bijącą z wnętrza, ciepło owiewające mi skórę, a potem dotyk kogoś, kto mnie tam zaprowadził. Na odwrocie pocztówki nie było ani słowa, za to na osobnej kartce papieru — co następuje:

*To wszystko, czego chcę dla ciebie, dla nas: prosty pokój i jedna żarówka zwisająca z sufitu na długim kablu. Z rodzaju tych, jakie widuje się w tanich mieszkaniach lub hotelikach, o których zapomina się natychmiast po wyprowadzeniu. W nocy smętne, skąpe światło nie dociera do odległych zakamarków. Zawisa nad pokojem pełnym cieni. Obojętne.*

*Zresztą, my i tak nie zwracamy na nie uwagi. Pokój jest jasny i czysty za dnia. Być może okno wychodzi na ciekawy krajobraz. To właśnie pokój, którego chcę — z łóżkiem szerokim na tyle, żebyśmy wygodnie się w nim zmieścili, czując na twarzach nasze oddechy.*

*Masz rumianą skórę. Kiedy przesuвам palcem od krańca twojej brody wzdłuż szyi aż po ramię, uśmiechasz się i drżysz. Jakże możesz drzeć, skoro tutaj jest tak ciepło?*

*Chcę tego pokoju. Chcę tego pokoju wraz z tobą, leżącą nago obok mnie. Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nad morzem czy w centrum miasta, gdzie wpadający przez okno hałas jest tak samo energiczny jak my.*

*Popołudnie należy do nas. A także wieczór i noc. O tej porze będziemy już znużeni, a mimo to pójdziemy zjeść obfity posiłek. Będziesz miała cudownie podrażnione, rozognione ciało. W drodze do restauracji będziesz się uśmiechała. Spojrzę na ciebie i zapytam, czy coś się stało. Zaprzeczysz i uściśniesz mi łokieć. Ten czas wyjścia w świat będzie nam potrzebny, żeby przypomnieć sobie, że istnieje coś jeszcze oprócz nas, tego pokoju, naszych ciał.*

*W gwarnej restauracji będziemy rozmawiać cicho. Głosy i twarze wygładzone przez godziny spędzone w łóżku. Każdy, kto nas zauważy, zorientuje się, że dopiero co skończyliśmy się pierdolić. To takie oczywiste.*

*Później, z powrotem w pokoju, kiedy niczego nie trzeba, będę chciał zdrzemnąć się parę godzin, a potem, gdy się obudzę, będziesz leżała przy moim boku. Może pogłaszczę cię po głowie. A może tylko dotknę twojego nadgarstka, by wyczuć uśpione, tajemne tętno. Reszta może poczekać. Nazajutrz będzie dosyć czasu.*

*Zatrzymaj ten obrazek. Postaw go na stole, biurku, wszędzie tam, gdzie jesteś. Jeśli ktoś cię o niego zapyta, odpowiedz, że w tym miejscu byłabyś szczęśliwa. Spójrz na niego i wiedz, że czekam. Spójrz jeszcze raz.*

Wysłałam z mieszkania na nogach jak z rozgotowanego spaghetti. Chociaż świat nie zmienił się od poprzedniego dnia, dopiero na drugiej czy trzeciej ulicy połapałam się w kierunkach i uprzytomniłam sobie, że nadal znajduję się na trzeciej planecie od Słońca. Stwierdziłam, że przez całą drogę ścisnęłam oburącz za plecami list. Aby maksymalnie przedłużyć moją radość, zatrzymałam się, przymknęłam oczy i powiedziałam głośno:

— Muszę to zapamiętać. Muszę zapamiętać to do końca życia.

Pierwszym człowiekiem, którego ujrzałam po otwarciu oczu, był James Stillman.

Najpierw rozpoznało go moje serce. Przyjęło to spokojnie, mówiąc: „Ten mężczyzna po drugiej stronie ulicy. To James”. Wyglądał jota w jotę jak piętnaście lat temu, kiedy widziałam go po raz ostatni. Nawet w tłumie spieszących się ludzi nie sposób go było pomylić z kimkolwiek innym.

Nosił garnitur i krawat. Stałam jak przygwożdżona. Chwilę gapiliśmy się na siebie, aż wreszcie podniósł rękę i pomachał mi wolniutko, to w jedną, to w drugą stronę. W tak przesadny sposób machasz komuś, kto odjeżdża samochodem, a ty chcesz, żeby widział cię do ostatniej sekundy.

Nie namyślając się dłużej, wkroczyłam na jezdnię, co poruszające się po niej samochody przywitały piskiem opon i rozwścieczonymi klaksonami. Gdy byłam w połowie drogi, James ruszył w przeciwną stronę. Kiedy doszłam do chodnika, był daleko przede mną. Zaczęłam biec, a mimo to przewaga między nami nie malała. Zniknął za rogiem. Kiedy i ja tam skręcałam, był dwa razy dalej niż przedtem. Nie miałam żadnych szans, aby go doścignąć. Zatrzymałam się, wtedy on również przystanął. Odwrócił się i zrobił gest, który był absolutnie w jego stylu: położył otwartą dłoń na czole, przesunął ją na usta i dmuchnął mi wielki pocałunek. Robił to za każdym razem, gdy się rozstawaliśmy. Podpatrzył ów gest w starej filmowej adaptacji Baśni z tysiąca i jednej nocy i uznał go za wdychowy: ręka na czole, przy ustach, wielki pocałunek. Mój arabski rycerz, wskrzeszony z umarłych.

— Widziałam ducha i zakochałam się w żonatym mężczyźnie.

— Witaj w klubie.

— Zoe, ja mówię poważnie.

— Żonaci są bez wyjątku smakowitsi od kawalerów. W tym cała sztuka, Mirando. Poza tym całe życie wierzyłam w duchy. Najpierw jednak opowiedz mi o panu Żonkosiu, bowiem w tym przedmiocie czuję się fachowcem.

Jadłyśmy lunch. Zoe przyjechała do Nowego Jorku na jeden dzień. Jej żonaty kochanek Hector zerwał z nią i wychodziła akurat z okresu żałoby. Przez kilka tygodni namawiałam ją, by wpadła na dzień, żebyśmy zajęły się czymś, co oderwałoby jej myśli od Hectora. W końcu się zgodziła. Cieszyłam się z jej wizyty podwójnie, gdyż mogłam poznać jej zdanie na temat mojej nowej „Strefy Mroku”.

— To był duch Jamesa Stillmana.

— Genialnie! Gdzie?

— Na ulicy, niedaleko mojego domu. Pomachał mi w ten swój dawny sposób, pamiętasz?

— Powtórzyłam jego gest.

Zoe uśmiechnęła się.

— Nader romantyczny gość, nie ma co.

— Ależ, Zoe! Widziałam go na własne oczy. Wyglądał identycznie jak w liceum.

Zoe poskładała serwetkę w mały trójkącik i odłożyła ją na bok.

— Pamiętasz, jak rysowałyśmy tabliczkę ouija i wywoływałyśmy pradawne duchy? Moja matka wierzyła, że po śmierci niektóre dusze zostają wtrącone w otchłań między życiem i śmiercią. Można więc kontaktować się z nimi za pomocą wirującego talerzyka albo podczas seansu spirytystycznego, bo są na wpół żywe, a na wpół umarłe.

— Wierzysz w to?

— Po co inaczej miałabyś się pałętać po życiu, skoro dla ciebie dobiegło ono końca?

— Wyglądał jak żywy. Żadna tam ektoplazma ani przyjazny duszek Kacper unoszący się nad ziemią w białym prześcieradle. To był najprawdziej w świecie James.

— Możliwe. Musiałabyś się poradzić eksperta. Ale dlaczego wrócił tak późno? Czemu nie przedtem?

W tym miejscu zaprzestałyśmy dyskusji. Żadna z nas nie wiedziała, co oznacza pojawienie się Jamesa, toteż dalsze dywagacje nie miały sensu.

— Opowiedz mi o swoim nowym mężczyźnie. O tym żywym. Podczas gdy szczegółowo opowiadałam jej o Hugh, wciąż domawialiśmy kolejne drinki, aby lepiej zanalizować sytuację, w której się znajdowałam.

— Wiesz, co sobie pomyślałam? Że James wrócił, aby dać mi znak, że nie powinnam tego robić.

Zoe podniosła ręce w geście rozpaczy.

— Na miłość boską! Jeśli chcesz mieć wyrzuty sumienia, nie zwalaj tego na duchy. Założę się, że mają ważniejsze sprawy na głowie, niż śledzić twoje życie seksualne.

— Ależ ja z nim w ogóle jeszcze nie spałam!

— Miranda?

Usłyszawszy znajomy głos, odwróciłam się i zobaczyłam Douga Auerbacha. Patrzył na Zoe.

— Pies! Co ty tu robisz? Czemuś nie dzwonił?

— Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że przyjadę. Zamierzałem się odezwać później. Jestem tu umówiony na lunch z klientem.

Przedstawiłam go Zoe i przysiadł się do nas. Wkrótce stało się jasne, że cała uwaga Douga skupia się na mojej najstarszej przyjaciółce. Z początku Zoe uśmiechała się i grzecznie śmiała z jego żartów. Gdy jednak dotarło do niej jego zainteresowanie, przedzierzgnęła się w pełną seksapilu kokietkę. Po raz pierwszy widziałam ją w tej roli. Radziła sobie z nią — oraz z Dougiem — w sposób, który robił spore wrażenie.

Ma się rozumieć, byłam zakłopotana. Z jednej strony zżerała mnie zazdrość i byłam oburzona: „Jak oni śmiają!” Z drugiej pamiętałam o marginalnej roli Douga w moim życiu i dobrym sercu Zoe. W odpowiednim momencie „nagle przypomniałam sobie”, że mam pilne spotkanie — czy nie obrażą się, jeśli zostawię ich samych?

Kiedy szukałam na ulicy taksówki, poczułam się jak Charlotte Oakley: niechciana trzecia osoba. Przeszedł mnie dreszcz — ruszyłam pieszo ile sił w nogach.

Jednego popołudnia, kiedy jego rodzina wyjechała na weekend z miasta, Hugh zaprosił mnie do siebie. Łajza włóczyła się za mną po pokojach. Miałam na nogach tenisówki, więc jedyny odgłos, jaki rozlegał się w domu, to „tik-tik-tik” długich pazurków bulteriera na drewnianej posadzce.

To tutaj mieszka Hugh. Tu również mieszka ona. Każdy przedmiot łączył się ze wspomnieniami, ważnością. Spoglądając na te rzeczy, pytałam siebie, dlaczego się tu znalazły i co oznaczają. Stanowiły dziwną archeologię świata żywych. Człowiek, który potrafił je rozszyfrować, siedział w sąsiednim pokoju i czytał gazetę, nie zamierzałam jednak zadawać mu żadnych pytań. Zdjęcia przedstawiały jego dzieci, Charlotte, całą rodzinę. Pływali na żółtej żaglówce, jeździli na nartach, siedzieli pod wielką wystrojoną choinką. To jego dom, rodzina, życie. Goja tu robię? Po co nadawać jego opowieściom twarze, po co oglądać prezenty, które przywiózł z podróży dla swoich ukochanych? Na fortepianie leżała kryształowa szkatułka z papierosami. Podniosłam ją i odczytałam nazwę na spodzie: Waterford. Obok niej spoczywała duża, czerwono-biała, kamienna kula. Kryształ i kamień. Musnęłam dłonią zimną kulę i poszłam dalej.

Gdy zapytałam, czy mogę obejrzeć jego mieszkanie, Hugh nawet się nie zawahał. Mieli letni domek w Easthampton, gdzie zwykle spędzali weekendy. Kiedy po raz pierwszy wyjechali bez niego, Hugh zatelefonował do mnie z wiadomością, że wybrzeże jest wolne od niebezpieczeństwa. I rzeczywiście, jego rodzina przebywała na Wschodnim, ja zaś na Zachodnim Wybrzeżu. Na miejscu jego żony wpadłabym w szal, gdybym odkryła, że inna kobieta znajduje się w moim domu, ogląda moje życie, dotyka go.

Dlaczego więc tu przyszłam? Jeżeli chciałam być z Hugh, czemu nie oddzieliłam od siebie obydwu jego światów, zadowolając się tym, co mam? Bo byłam chciwa wiedzy. Pragnęłam



dowiedzieć się o nim jak najwięcej, również tego, jak wygląda jego życie bez mnie. Pomyślałam, że po obejrzeniu jego mieszkania mniej będę się bała tego, co się w nim dzieje.

Miałam rację: przechadzając się po pokojach, poczułam spokój. Przekonałam się, że mieszkają w nich zwyczajni ludzie, nie zaś Rasa Panów ani Bogowie — lepsi, mocniejsi i odważniejsi ode mnie teraz czy kiedykolwiek później.

Kiedy byłam małą dziewczynką, czytałam wszelkie baśnie, legendy i klechdy, jakie mogłam znaleźć. Każdą opowieść zaczynając się słowami: „Dawno, dawno temu, kiedy zwierzęta знаły ludzką mowę, a nawet drzewa gawędziły z sobą...” połykałam jak budyń czekoladowy. Nade wszystko pragnęłam, aby i w moim małym światku mieszkała taka magia. Lecząc dorastanie polega na uczeniu się, że magii na świecie jest tyle co na lekarstwo, że zwierzęta rozmawiają wyłącznie ze sobą i że w ciągu szybko przemijającego życia, cuda należą do rzadkości.

Z dzieciństwa wyniosłam jednak tajemną nadzieję, że dziwy i czary towarzyszą nam na co dzień. Smoki, wróżki i skrzaty, Żabi Król, irlandzki heros Cuchulain i prababka wszystkich wiedźm — Mamadreja. Chciałam, żeby istnieli, nadal hipnotyzowały mnie telewizyjne programy na temat aniołów, yeti i cudów. Łapczywie chwytalam każdy egzemplarz „National Enquirer”, który na pierwszej stronie donosił o owcy z twarzą Elvisa Presleya albo o obserwacjach Najświętszej Marii Panny w bistrze z kebabami w Oregonie. Na zewnątrz byłam kobietą w garniturze i z neseserem w dłoni, ale moje serce ciągle szukało skrzydeł.

Wisiały w jego gabinecie, czekając na mnie, ale o tym miałam się dowiedzieć wiele lat później. Pokój był obszerny i pusty, nie licząc sosnowego stołu, którego Hugh używał jako biurka. Walały się na nim stosy szpargałów i książek, był też komputer. Na ścianie nad biurkiem wisały cztery obrazki przedstawiające tę samą kobietę.

— Co myślisz?

Zapatrzyłam się na nie tak, że nie usłyszałam nawet, kiedy wszedł.

— Sama nie wiem. Nie wiem, czy intrygują mnie, czy przerażają.

— Przerażają? Dlaczego? — pytał bez cienia rozbawienia.

— Kto to jest?

Położył ręce na moich ramionach.

— Nie wiem. Mniej więcej w tych dniach, kiedy się poznaliśmy, do mojego biura przyszedł jakiś mężczyzna i zapytał, czy nie byłbym zainteresowany kupnem tych obrazów. Nic o nich nie wiedział. Niedawno kupił dom w Missisipi i znalazł je na strychu obok innych gratów. Nawet nie próbowałem się z nim targować.

— Dlaczego ta kobieta wydaje mi się znajoma?

— Mnie też! Ma w sobie coś bliskiego. Na żadnym z obrazów nie ma podpisu ani daty. Zupełnie nie wiem, kto je namalował. Dobrze się namęczyłem, badając ich pochodzenie. No cóż, dodaje im to uroku tajemnicy.

Kobieta była młoda, dwudziestoparoletnia, z rozpuszczonymi włosami — fryzura, która nie wskazywała na żadną epokę. Była atrakcyjna, nie na tyle jednak, aby mężczyźni oglądali się za nią na ulicy.

Na jednym z obrazków siedziała na kanapie, patrząc wprost przed siebie. Na innym siedziała w ogrodzie i spoglądała nieco w prawo. Malarz znakomicie uchwycił stan jej duszy. Aż nadto naoglądałam się obrazów, w tym także słynnych dzieł, które wywarły na mnie wrażenie martwych, jakby w pewnym niewidzialnym momencie malowana osoba umierała i przemieniała się w obraz. Tutaj było inaczej.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Hugh, że odkąd się poznaliśmy, dostałam w twarz, zobaczyłam ducha, całowałam się w GAP-ie, a teraz patrzę na wizerunki kobiety, której nigdy nie widziałam, ale wiem, że ją znam?

— To tak jak w bajce o Zitterbarcie. Słyszałaś ją?

— Nie.

— Zitterbart znaczy „trzęsąca się broda”. To niemiecka baśń, ale nie weszła do zbioru braci Grimm. Otóż dawno temu żył sobie król Zitterbart, który swoje imię wziął stąd, że kiedy się złościł, broda trzęsła mu się tak strasznie, iż poddani w najdalszych zakątkach królestwa wyczuwali ciągnący od niej wiaterek. Król słynął z okrucieństwa — wystarczyło, żeby ktoś kichnął nie tak jak trzeba, a Zitterbart ścinał mu głowę. Miał jednak słaby punkt, córkę Sengę. Księżniczka była nieprzytomnie zakochana w rycerzu imieniem Blasius. Zitterbart zgodził się na małżeństwo, lecz pewnego dnia Blasius wyruszył na bitwę i poległ z ręki innego rycerza, który zwał się Cornelts Brom.

— Blasius i Brom? To brzmi jak nazwa środków przeczyszczających.

— Senga była załamana i poprzysięgła zabić się przy pierwszym nowiu. Król tak się przeraził, że nakazał przeczesać królestwo wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu przystojnego mężczyzny. Przyrzekł zarazem, że jeśli któryś z nich przypadnie księżniczce do gustu, on zezwoli na małżeństwo. Nic z tego. Chociaż wiadono przed nią najciekawszych mężczyzn, Senga zerkała tylko na nich, po czym odwracała się do okna, by zobaczyć, czy na niebie świeci już nów. Zitterbart popadał w coraz większą rozpacz. Wydał obwieszczenie mówiące, że ktokolwiek zadowoli jego córkę, ten zdobędzie jej rękę. Wieść doszła też do uszu Corneltsa Broma. Słyszał o pięknej księżniczce i postanowił ją obejrzeć. A trzeba wiedzieć, że Brom był najprzeciętniej wyglądającym mężczyzną pod słońcem. Twarz miał tak pospolitą, że ludzie milkli, rozmawiając z nim, bo zapominali o jego istnieniu. Wydawało im się, że gadają sami do siebie. Dlatego Brom zaliczał się do tak wspaniałych wojowników: był w gruncie rzeczy niewidzialny. Jeszcze jako dziecko uświadomił sobie, że jeśli ma się jakoś zaznaczyć na świecie, musi wybić się w jakiejś dziedzinie, więc został mistrzem szermierki. Na dodatek, ilekroć brał udział w pojedynku na miecze...

— Jego przeciwnik zapominał o jego istnieniu. Hugh uśmiechnął się.

— Dokładnie. Ale Sengi nie obchodzili wielcy szermierze, a ponadto ten człowiek zabił jej narzeczonego! Brom był jednak sprytny, dzięki swej pospolitej twarzy bez trudu wślizgnął się do miasta, aby rzucić na nią okiem. Co wtorek księżniczka szła z dworką na rynek, żeby kupić jedzenie. Brom stanął koło niej i patrzył, jak obmacuje pomidory, spiera się o cenę ogórków i napelnia koszyk owocami i warzywami. Z miejsca zrobiło mu się jej żal, a niedobrze jest, kiedy miłość zaczyna się od żalu. Wiedział, że Senga rzeczywiście się zabije, bo podczas bitew widywał ten sam znużony wyraz absolutnej beznadziei na twarzach rycerzy, którzy pragnęli już tylko spokoju śmierci. Szczególnej rozpacz, jaka przychodzi jedynie wtedy, gdy ludzie zgubią drogę powrotną do własnych serc. To Brom sprowadził owo nieszczęście na Sengę i szczerze tego żałował. Ponieważ był porządnym człowiekiem, poprzysięgł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby jej pomóc. Na skraju miasta żyły trzy małe diabełki zwane Nepomuk, Knud i Gangolf. Niczego sobie prosperowały, spełniając życzenia ludzi w zamian za kawałki ich dusz. Jeżeli o czymś marzyłaś, szłaś do tych trzech małych gnojek i mówiłaś: „Chcę być bogata”. One otwierały księgę rachunków i odpowiadały: „Żądamy twojej radości. Oddaj nam swoją zdolność radowania się, a my uczynimy cię bogatą”. Większość ludzi szła na taką wymianę, nie wiedząc, że tym samym pozbawiają się czegoś o wiele cenniejszego niż bogactwo.

Kiedy Hugh powiedział „małe gnojki”, wybuchłam śmiechem i potarłam dłonie w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Usiadł obok mnie na stole.

— Brom udał się do diabełków i oznajmił, że chce przywrócić księżniczce szczęście. Nie spodziewały się tego, sądziły, że ze swoim pospolitym obliczem Brom będzie chciał być przystojny. Posprzeczały się ze sobą. Nepomuk zażądał twarzy Broma, bo wiedział, że bez niej rycerz stanie się słaby na polu bitwy. Gangolf chciał odebrać Bromowi poczucie humoru, gdyż żaden niezdolny do śmiechu wojownik nie zdobywa miana wielkiego. Knud natomiast uparł się przy strachu rycerza, ponieważ każdy, kto nie zna strachu, jest albo głupcem, albo trupem. W końcu diabełki zgodziły się, że zażądają odwagi. Brom nie wahał się ani chwili.

„Odbierzcie mi odwagę w zamian za szczęście księżniczki”. W kącie ich domu stał wielki zegar. Trzy diabełki dmuchnęły w niego. Zegar stanął w połowie tyknięcia: umowa została przypieczętowana. W zamku księżniczka Senga przestała wyglądać nowiu, położyła dłoń na sercu i zanuciła pieśń. Nie wiedziała, czemu to robi, ale nie mogła się powstrzymać. Tymczasem Brom stał w progu diabelskiego domu, niezdolny się poruszyć, lękał się bowiem wszystkiego. Nie wiedział, że diabełki dały mu strach księżniczki, za sprawą którego chciała przedtem umrzeć. Życie obfituje w niespodzianki, ale po co mamy się męczyć, skoro jesteśmy pewni, że wszystkie wyjdą nam na złe? — Hugh zeskoczył ze stołu, wziął mnie w ramiona i powiódł do tańca.

— I?

— I co?

— Co się stało z Bromem?

— Nie wiem. Nie doszedłem jeszcze do tego.

— Wszystko to zmyśliłeś?

— Tak. — Odchylił mnie do tyłu.

— Jaki to ma związek ze mną?

— Kiedy odnajduje się drogę powrotną do serca, dzieją się rzeczy niezwykle. Widzisz duchy, zakochujesz się, wszystko staje się możliwe. Usiłowałem wymyślić takie zakończenie tej bajki, które zasugerowałyby ci odpowiedź, ale nic nie przyszło mi do głowy i... Chciałem ci opowiedzieć historię, która by cię przekonała, że już czas, Mirando. Czas iść na całość i obdarzyć mnie zaufaniem. Niech to się stanie.

— Ufam ci, Hugh. Tylko się boję. — Wyrwałam mu się z objęć i zatoczyłam ręką szeroki łuk obejmujący jego pokój, dom, rodzinę. — Ale jestem też gotowa. Chodźmy do mnie.

## NIGDY NIE GLASZCZ PŁONĄCEGO PSA

Pewnego razu zaprzyjaźniłam się z psem. Ponieważ nie wiedziałam, jak się wabi, gdy złożył mi drugą wizytę, ochrzciłam go Łajza, od imienia bulteriera Hugh. Psu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Był mieszkańcem krowiej maści — brązowa łata tutaj, biała tam. Średniej wielkości, o krótkiej sierści i spokojnych niebieskich oczach — kwintesencja psa. Wałęsając się po okolicy, raz lub dwa razy w tygodniu zahaczał o mój dom. Jak na dzentelmena przystało, zatrzymywał się u podnóża schodów i czekał, aż zaproszę go na werandę. Zawsze witałam go z dużą radością. W moim wieku ma się niewiele gości.

Zwykle siedziałam w fotelu na biegunach z książką lub czasopiśmem albo z moimi sędziwymi myślami. Cieszę się, że mój dom ma sporych rozmiarów ganek, na którym można przez pół dnia oddawać się mrzonkom i obserwować, jak toczy się nasz mały kawałek wszechświata. Dom leży nieopodal Beechwood Canyon w Los Angeles. W ciągu dnia większość moich sąsiadów jest w pracy, a ich dzieci są w szkole, toteż jak na ulicę oddaloną o dziesięć minut od Hollywood Boulevard panuje tutaj dziwna cisza i spokój. Na ogół słychać jedynie przypadkowe strzępy rozmów, syk zraszaczy na trawnikach, wycie dmuchaw do liści, wreszcie stłumiony, ale bezustanny szum samochodów z autostrady Hollywood biegnącej o milę stąd. To odpowiedni dom na stare lata. Parter, kilka pokoi, nie trzeba wiele zachodu. Z werandy widać spokojną ulicę i pogodnych sąsiadów, którzy przechodząc obok mnie, uśmiechają się lub machają.

Ilekróć Łajza wpadał z wizytą, częstowałam go dwoma ciasteczkami Oreo. Wiedział, że dostanie tylko tyle, i nawet jeśli trzymałam w ręku całą paczkę, nie dopraszał się o więcej. Miał swoją godność, nigdy nie żebrał ani nie wlepił we mnie proszących oczu. Podobało mi się to. Podobało mi się również, że zwykł siedzieć przy mnie na ganku po tym, jak zjadł swoje ciasteczka. Przez kawałek swojego dnia dotrzymywał mi towarzystwa, podczas gdy obserwowaliśmy paradę życia, dzieliłam się z nim moimi myślami. Kto chce słuchać wynurzeń starej kobiety? Życzliwie nadstawiający ucha pies jest lepszy niż puste krzesło.

Czasem zdarzały się dziwne rzeczy. Kiedyś lecący nisko ptak o mało nie rozbił się o Łajzę. Innym razem dziecko spadło z rowerka tuż przed nami. Łajza spoglądał na mnie, jakby pytał, czy to normalne, czy na świecie panuje jeszcze porządek. Odpowiadałam: „Okay, to nic takiego”, wtedy wracał do obserwacji lub snu, kładąc łeb między łapami. Psy mają nam przypominać, że życie jest bardzo proste. Jesz śpisz, idziesz na spacer, robisz siusiu, gdy masz potrzebę. Ot, i cała filozofia. Psy szybko wybaczą przewinienia, a w obcych ludziach widzą życzliwość.

Gdy dowiedziałam się, że ktoś oblał Łajzę benzyną i podpalił go, uświadomiłam sobie, że nie mogę dłużej na ciebie czekać. Przez te wszystkie lata miałam nadzieję, wciąż wierzyłam, że przyjdiesz. Wprawdzie nie miałam pojęcia, co się stanie, gdy się spotkamy, ale ustawicznie o tym myślałam. Kiedy jednak zamordowano Łajzę, zrozumiałam, że muszę jak najprędzej zakończyć tę relację, gdyż możemy się nie spotkać przed moją śmiercią. Tak czy owak, ten pamiętnik ma za zadanie pomóc ci. Ma wyjaśnić, skąd pochodzisz. Może ta wiedza uchroni cię od okropnych doświadczeń, które stały się moim udziałem, bowiem nieznanomość mojej osobistej historii zniszczyła mi życie.

Cóż znaczy śmierć jednego psa wobec bezliku wydarzeń wypełniających lata? A jednak ta śmierć uzmysłowiła mi, że nieważne, czy będę dalej żyła, czy też nie. Sądziłam, że ten moment zdarzył się wiele lat przedtem, lecz się myliłam. Starość przychodzi niczym pierwszy dzień jesieni. Któregoś popołudnia spoglądasz w niebo, wciągasz w płuca powietrze i instynktownie wiesz już, że świat się zmienił. Przypuszczam, że podobnie rzecz się ma z naszą śmiercią. Nagle podchodzi do nas tak blisko, że czujemy jej zapach.

Mimo wszystko muszę kontynuować tę opowieść. Bez względu na to, czy będę wśród

żywych, czy umarłych — kiedy ją przeczytasz, musisz wiedzieć, co naprawdę się stało i dlaczego.

Czy da się opisać miesiące, które nadeszły po tym, jak Hugh i ja zostaliśmy kochankami? Trzeba by opisać szczęście, a żadne słowa nie uniosą ciężaru prawdziwej radości. Mogę ci opowiedzieć o naszych posiłkach i o wycieczkach za miasto; o rozmowach na przechadzce po Block Island, kiedy sierpniowe powietrze ma konsystencję oddechu, raptem niebo nabiega purpurą i zanoszą się na deszcz.

Ciągle mieliśmy zbyt pełne serca. Co to znaczy? Że każde z nas żywiło osobne, niespełnialne nadzieje, które taszczyliśmy z sobą jak sekretne walizeczki.

Kiedy muskał moje ręce, włosy, dłonie, zawsze przypominały mi się złote rybki, które podpływają zaciekawione i dotykają mnie, by umknąć przy najbliższym ruchu. Za to ja zawsze łągnęłam do Hugh, nigdy nie odsuwałam się od niego, toteż po jakimś czasie jego muskająca ręka spoczywała bez ruchu.

Nigdy nie czułam się tak kochana. Zrazu miłość ta wydawała mi się lekko podejrzana. Jak żółw chowałam bez przerwy głowę w skorupę, bo byłam pewna, że lada chwila spadnie na mnie cios. Ale w miarę jak nasza więź się umacniała, wystawiałam głowę na zewnątrz i uprzytamniałam sobie, ile do tej pory traciłam.

Największą niespodzianką była łatwość, z jaką się rozumieliśmy. Nawet w tych przyjaźniach, które uważałam za najbliższe, o pewnych rzeczach się nie mówiło. Choćby nie wiem jak płynnie człowiek władał językiem, zdarzają się sytuacje, w których nijak nie może wyrazić tego, co chce powiedzieć. Związek z Hugh dał mi słowa, które z kolei pomogły mi lepiej poznać samą siebie. Dzięki zaufaniu do niego otworzyłam się jak nigdy przedtem.

Hugh był też cudownym kochankiem, ponieważ miał olbrzymie doświadczenie. Bez ogródek przyznawał, że różne kobiety snuły się przez jego życie jak dym kadzidła w pokoju. Żona wiedziała o jego romansach, ale uzgodnili swego rodzaju zawieszenie broni: jak długo Hugh będzie zachowywał dyskrecję, zostawiając swoje miłostki poza domem, tak długo Charlotte będzie przymykała na nie oczy. Czy było to więc małżeństwo z rozsądku? Czy Charlotte miała własnych kochanków? Nie, stroniła od romansów. Nie — ich małżeństwo trzymało się mocno.

Skoro tak, dlaczego Hugh wpuścił mnie do ich mieszkania?

— Bo straciłem dla ciebie głowę, Mirando. Kompletny zabój. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Złamałbym każdą regułę.

— Dlaczego, Hugh? Czemu właśnie ja po tylu kobietach? Z twoich opisów wynika, że niektóre z nich były niesamowite.

— Nie ma na to dobrej odpowiedzi. Cokolwiek powiem, i tak nie rozproszę twoich wątpliwości. Jeśli chodzi o wyjaśnienia, miłość jest jak autyzm. Czasem kochamy w innych coś, o czym im się nawet nie śni. Albo co by uznali za absurd. Ja uwielbiam twoją torebkę.

— T o r e b k ę ? Dlaczego?

— Nigdy nie widziałem kobiety, która nosiłaby tak buddyjską torebkę. Trzymasz w niej tylko najniezbędniejsze i najpiękniejsze przedmioty. To dużo o tobie mówi, kocham cię za to i podziwiam. Uwielbiam, jak wtulasz swoje czoło w mój kark, kiedy śpimy. I jak kładziesz mi rękę na ramieniu, kiedy idziemy ulicą. Niczym dwoje dobrych kumpli.

— Bo j e s t e ś moim kumplem, Hugh. Moim najdroższym przyjacielem. Każdy list, który do ciebie napiszę, będzie się zaczynał słowami: „Drogi Kumplu”.

Co sądziłam o jego żonie? Myśli o niej utrudniała mi cecha Hugh, którą bardzo u niego lubiałam: mówił o Charlotte w samych superlatywach, bez względu na kontekst. Jego zdaniem Charlotte była kochającą i szczodłą kobietą, która każdemu chciała uchylić nieba.

Małżonkowie często próbują ośmieszać swego partnera w oczach kochanka lub kochanki. Wiedziałam o tym od przyjaciół, a zwłaszcza od Zoe opisującej mi Hectora. Można te próby

zrozumieć, ale nie są one ani uczciwe, ani odważne. Robimy skoki w bok, ponieważ jesteśmy chciwi. Nie zrzucamy tej chciwości na innych. Ludzie potrafią genialnie umotywować swoje zachowanie. To jeden z naszych najpaskudniejszych, najbardziej twórczych talentów. Hugh pragnął mnie, a ja jego, toteż byliśmy gotowi skrzywdzić innych ludzi, jeśli od tego zależałoby przetrwanie naszego związku. Mieliśmy na podorędziu dziesiątki wyjaśnień i racjonalizacji — wszystkie fałszywe. Byliśmy po prostu chciwi.

Kiedy Charlotte się domyśliła? Przypuszczam, że po kilku miesiącach. Hugh nigdy nie stwierdził wprost: „Ona wie”, lecz w naszych rozmowach pojawiały się aluzje wskazujące, że tak właśnie jest. Dziwne, ale im bardziej się angażowaliśmy, tym mniej zależało mi — podobnie jak Charlotte — aby poznać drugie życie Hugh. Z początku chłonełam każdą informację o tym, co robią, kiedy są razem, i z jaką to kobietą ożenił się Hugh. Ale pewnego dnia przestałam. Spróbowałam usunąć ją z myśli, zlekceważyć fakt jej istnienia.

Udawało mi się przez sześć miesięcy. Później odebrałam telefon i niemal zwymiotowałam z wrażenia, usłyszawszy po drugiej stronie spokojny głos:

— Mówi Charlotte Oakley.

— Cześć.

— Wiesz, dlaczego dzwonię, prawda?

— Tak. — Ja też starałam się zapanować nad głosem. Chciałam, aby mówił: „Spodziewałam się ciebie — cokolwiek powiesz, moje uczucia pozostaną niewzruszone”.

— Mój mąż powiedział mi, że cię kocha. Oświadczyłam, że zadzwonię do ciebie. Chociaż wymógł na mnie obietnicę, że tego nie zrobię, uważam, że pewne rzeczy trzeba sobie wyjaśnić, póki jeszcze można. Sądzę, że powinnaś o nich wiedzieć. Hugh mówił szczerze o waszym związku. Nie znam cię, mogę tylko opierać się na tym, co powiedział. Hugh uwielbia kobiety i miał ich na pęczki.

— Tak, mówił mi. — Czy to miała być jej taktyka? Czyżby chciała mnie poniżyć, dając do zrozumienia, że jestem tylko jedną z panienek Hugh? Nagle coś we mnie rozbłysło. Odgarnęłam opadające mi na twarz włosy, jakbym to ja była wszystkiemu winna.

— Nie wątpię. To w jego stylu. Kobiety kochają Hugh za to, że jest taki uczciwy. Że potrafi bawić i zwraca uwagę, aż ma się wrażenie, że jest twoim alter ego. Ale nie wiesz, Mirando, że Hugh ma zwyczaj wybierać określony typ kobiet. Zawsze są piękne i inteligentne. Mają coś do powiedzenia. Prowadzą niebanalne życie. Ale kiedy się im bliżej przyjrzeć, okaże się, że muszą go także p o t r z e b o w a ć. Hugh–rycerz chce cię uwolnić od prześladowających cię smoków. Jestem pewna, że potrzebujesz pomocy, Mirando. Hugh pragnie ci jej udzielić.

— Odkładałam słuchawkę.

Po raz pierwszy jej głos nabrał twardości.

— Mówię ci coś, co oszczędzi nam wszystkim czasu i cierpienia! Jeśli jesteś choć trochę podobna do innych kobiet Hugh, to kochasz go dlatego, że go potrzebujesz, nie na odwrót. W końcu tak się pograżysz w wasz związek, że staniesz się bezradna. Może już jesteś. Ale ostrzegam cię: kiedy to się stanie, Hugh znudzi się tobą i odejdzie. Nie po raz pierwszy. On już taki jest. Odejdzie zresztą w bardzo czuły sposób — będziesz miała wrażenie, że strasznie cierpi, że to twoja wina...

— Jak możesz tak mówić o swoim mężu?

Roześmiała się. Spokojny ton jej śmiechu przeraził mnie. Ona w i e d z i a ł a ! Był to temat, na którym doskonale się znała. Rozmowa z takim żółtodziobem jak ja budziła w niej wesołość.

— Czy dał ci już autobiografię Kazandzakisa *Anafora ston Greco*? Jeszcze nie? Zrobi to. Jest tam taka linijka, którą lubi cytować: „Byli wróblami, a ja chciałem ich przerobić na orły”.

Przerwałam połączenie. Nigdy przedtem tego nie uczyniłam. Miałam ochotę zignorować Charlotte, ale nie mogłam, gdyż mówiła prawdę: byłam słaba. Potrzebowałam go.

Przez kilkanaście minut nienawidziłam zarówno jego, jak i siebie. Czemu to nie mógł być zwykły „skok w bok”? To by mi zupełnie odpowiadało. Czemu, zamiast zatrzymać się w tym miejscu, brnęliśmy dalej i dalej. Z czyjej winy zapuściliśmy się tak daleko?

Gdy zadzwonił godzinę później, nadal siedziałam na tym samym krześle. Powiedziałam mu o rozmowie z jego żoną i że nie chcę go nigdy więcej widzieć.

— Zaczekaj, Mirando! Nie odkładaj słuchawki. Musisz o czymś wiedzieć. Czy Charlotte zrelacjonowała ci całą naszą rozmowę? Czy wyjaśniła, dlaczego do niej doszło? Powiedziałem jej, że chcę separacji.

— Co?

— Oznajmiłem Charlotte, że kocham cię, i zażądałem s e p a r a c j i .

Odsunęłam słuchawkę od ucha i spojrzałam na nią z lękiem, jakby to był Hugh.

— Co ty wygadujesz, Hugh? Nigdy mi o tym nie mówiłeś!

— Ależ mówiłem, tylko mi nie wierzyłaś.

— Nie przypominam sobie. Nie wiem, o co tu chodzi. Faktycznie jestem taka sama, jak reszta twoich kobiet. Charlotte ma rację: jestem następnym słabiutkim ptaszkiem w twoim fanklubie. Dlaczego chcesz ją zostawić...

— Ponieważ kocham cię!

— Zostawisz po dwudziestu latach żonę i dzieciaki. Gówno! Nie potrzeba mi takiej odpowiedzialności. Ani wyrzutów sumienia. Muszę już kończyć.

— Nie, proszę...

Położyłam słuchawkę na widełki.

Starłam się powrócić do życia, jakie wiodłam, zanim poznałam Hugh, i prawie mi się to udało. Trzeba wziąć się ostro do roboty. Kłopot sprawia czas pomiędzy jedną pracą a drugą, kiedy wspomnienia rozpryskują ci się w mózgu jak szrapnel.

Pojechałam do Kalifornii, Bostonu i Londynu. W ponurym antykwariacie koło Hayward Gallery wpadł mi w ręce biały kruk wyceniony na pięć funtów. W innych okolicznościach fikałabym radosne koziołki. Teraz zaś napłynęły mi do oczu łzy, bo jedyną osobą, której chciałam pokazać swój skarb, był Hugh Oakley.

Co rusz wydzwaniał. Jeżeli byłam akurat w domu, zmuszałam się do czekania, aż włączy się automatyczna sekretarka. Raz mówił spokojnym głosem, to znowu krzyczał z bólu. Zasypywał mnie listami, kwiatami i podarkami, od których dostawałam zawrotów głowy. Jednak ani razu nie przyszedł do mojego mieszkania ani sklepu. Byłam mu wdzięczna. Jego widok nie był mi teraz potrzebny. Z pewnością rozumiał to i, dzięki Bogu, przyjął do wiadomości.

O zerwanym związku opowiedziałam zarówno Zoe, jak i Frances Hatch. Różniły się w opinii, co powinnam zrobić. Zoe, która знаła wielu żonatych mężczyzn, była jeszcze bardziej sceptyczna niż ja co do możliwości, że Hugh odejdzie od żony.

— Zapomnij! Wszyscy mówią to samo, dopóki nie zdobędą nad tobą kontroli. Wtedy znów zaczynają dokazywać. Żonaty mężczyzna ma zapewnioną domową ciszę i wygodę, ale szuka podniecenia, świeżości, które oferuje mu kochanka. To tyleż nieuczciwe, co nierealne połączenie. Nie możesz mu dać jednego i drugiego, skoro pojawiłaś się w jego życiu zaledwie parę miesięcy temu. Ktoś kiedyś powiedział, że pierwsza żona tylko „dociera” mężczyznę, dopiero druga dostaje wszystkie smakołyki. Myślę, że to nieprawda; jest wręcz przeciwnie. Nawet jeśli opuści żonę, będziesz dźwigać tony wyrzutów sumienia aż do zasranej śmierci. Znasz ten dowcip o facecie, który idzie uszyć sobie nowy garnitur? Krawiec mierzy go, gdzie trzeba, i każe mu wrócić za dwa tygodnie. No więc facet wraca, wkłada garnitur i wygląda koszmarnie. Lewy mankiet zwisa mu za rękę, klapy są krzywe, spodnie nadymają się w kroku jak portki w haremie... Najgorzej uszyty garnitur na świecie. Facet zaczyna się żalić, ale krawiec odpowiada, że tamten wszystko widzi na opak: Trzeba podciągnąć lewy rękaw i

przytrzymać go podbródkiem. Unieść prawe ramię, a klapy same się wyprostują. Potem wkładasz prawą rękę do kieszeni spodni i wciągasz ją w krok... I tak dalej, i tak dalej. No więc facet robi to, co krawiec mu każe, i wygląda jak dzwonnik z Notre Dame. Ale kiedy przegląda się w lustrze, garnitur leży na nim jak ulał. Krawiec zapewnia go, że to najnowszy trend mody. Wtedy ten dupek kupuje garnitur i wychodzi w nim ze sklepu. Kiedy idzie ulicą, utykając jak Quasimodo, mijają go dwóch mężczyzn. Odwracają się i patrzą na niego przez chwilę. Pierwszy facet mówi: „Żal mi tych inwalidów”. A drugi na to: „Owszem, ale jaki odjazdowy garnitur!” Uważani, że ta metafora świetnie opisuje wysiłek, jaki wkładamy, aby uratować nasze związki. Albo jak się szpecimy, żeby tylko nam się powiodło. Nie przejmuj się nim, Mirando. Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz. Nie potrzebujesz go, choćby nie wiem jak wspomniały wydawał ci się w tej chwili.

— A jeśli się okaże, że to jest to? Jeśli po jakimś czasie uznam, że był to najważniejszy związek w moim życiu? Jeśli pamięć o nim urośnie do takich rozmiarów, że w końcu mnie zmiażdży? Co wtedy, Zoe?

— Jeżeli mamy szczęście i trafimy na tego wymarzonego mężczyznę, to nasz wspólny wkład wynosi od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu procent. Pozostałą dwudziestkę musimy dać od siebie. W wypadku Hugh to dużo więcej niż dwadzieścia procent. Niemniej zrób to, Mirando, jeśli musisz. Tylko koniecznie włóż hełm i nasłuchuj świstu spadających bomb, kiedy się posypią. A posypią się — i to całymi seriami!

Przyszedł list od Hugh:

*Zeszłej nocy miałem sen, którego nie potrafię wyjaśnić. Chciałbym ci go opowiedzieć, ponieważ sądzę, że jakoś dotyczy ciebie i mnie.*

*Jestem w Los Angeles i potrzebuję samochodu, więc idę do komisji i kupuję oldsmobile'a 88, rocznik 1960. Ma kanarkowy kolor i dobrze działa, zwłaszcza radio. Ale niesamowite jest to, że pod maską tkwi ogromny ziemniak! Ktoś zastąpił silnik tym gigantycznym kartoflem. Mimo to samochód funkcjonuje bez zarzutu. Jeżdżę sobie po Los Angeles moim nowym staruszkiem o ziemniaczanym napędzie i czuję się jak młody bóg. Nikt inny nie posiada samochodu, którego silnik można, w razie gdy przyciśnie głód, ugotować na obiad.*

*Pewnego dnia zatrzymuję się na światłach i silnik zaczyna się krztusić. Martwi mnie to: auto ma już ponad sto tysięcy mil na liczniku. Zajeżdżam na stację benzynową i mówię mechanikowi, w czym problem. Ten otwiera maskę, ale wcale się nie dziwi tym, co tam widzi. Mówi, żebym wprowadził wóz do warsztatu. Mechanik i jego pomocnik wyjmują ziemniak z samochodu i ciskają nim o ziemię. Kartofel pęka na pół. Jestem przerażony.*

*Jak każdy zużyty silnik, ziemniak w środku cały lepi się od benzyny i smarów. Pytam mechanika, ile będzie kosztowała wymiana. Mówi, że mogą jedynie wstawić nowy, zwykły silnik i że usługa ta będzie niedroga — kilkaset dolarów. Budzę się akurat w chwili, gdy nie mogę się zdecydować, co zrobić. Usilnie zastanawiam się, czemu nie mogą wstawić innego ziemniaka. Nie chcę mieć normalnego silnika. Co to znaczy, Mirando?*

— Skąd mam wiedzieć, co to znaczy, Mirando? Nie jestem Carlem Jungiem. Twojemu chłopakowi śnią się ziemniaki, a ty mnie prosisz o interpretację? Jestem zbyt stara. Starość nie świadczy o wiedzy. Kiedyś ludzie musieli się obywać bez psychiatrów. Jeśli przyśnił ci się zły sen, znaczyło to, że albo zjadłaś coś niestrawnego, albo masz zbyt bujną wyobraźnię. Sprzeciwiam się tłumaczeniu snów. Ty też powinnaś się tego wystrzegać. Zamiast rozmyślać o snach Hugh, pomyśl o tym, co on mówi, kiedy ma oczy otwarte. Skoro nie przejmujesz się losem żony i dzieci, ty również przestań się przejmować! Jesteś jego kochanką czy sumieniem? Moim zdaniem to wspomniała, że gotów jest rzucić dla ciebie wszystko. Tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy romans! Uważać, że się wie, co jest dobre — to



arogancja. Moralność wynika zazwyczaj z tchórzostwa. Nie dlatego unikamy wysoków, że są niemoralne. Tak naprawdę boimy się, że mamy za daleko do ziemi. Istotnie, jest daleko, możemy nie przeżyć upadku. Ale czasem wychodzimy z tego skoku cało, tam zaś, na dole, świat jest milion razy lepszy niż tutaj, gdzie teraz żyjemy.

Gdy zadzwoniłam z propozycją, żebyśmy się spotkali, Hugh spytał, co skłoniło mnie do zmiany zdania. Odparłam, że dni bez niego wydają się martwe. Nie mogłam już tego dłużej znieść.

Zeszliśmy się na neutralnym gruncie — w ulubionej restauracji, ale w niespełna godzinę wylądowaliśmy w moim łóżku.

Jeżeli żywiłam jakieś obawy, że Hugh odejdzie, to szybko się ich pozbyłam. Przeniósł się do mnie już po dwóch tygodniach. Przyniósł z sobą tak mało rzeczy osobistych, że martwiłam się, iż uważa przeprowadzkę za swego rodzaju jazdę próbną: gdyby między nami nie zagrało, zawsze może wrócić.

Którejś soboty jednak, kiedy był w pracy, u drzwi zabrzączał dzwonek. Sklep meblowy dostarczył pod wskazany adres wielkie, wyściełane krzesło, którego nie zamówiłam. Gdy powiedziano mi, że zamówienie złożył niejaki Hugh Oakley, klasnęłam w dłonie. Hugh uwielbiał w nocy czytać, ale powtarzał, że można to robić jedynie na doskonałym krześle. Teraz oto kupił taki mebel do swojego nowego domu.

Charlotte nie pozwoliła mi spotkać się z ich dziećmi. Była przekonana, że jestem tylko małym punkikiem na ekranie Kryzysu Wieku Średniego, w który wkroczył jej mąż. Kiedy nieco ochłonie, oboje się pogodzą, a ja ulotnię się bez śladu. Po co narażać dzieci na niepotrzebną konsternację?

Hugh gwizdał na jej uczucia, twierdził stanowczo, że powinnam je poznać. Nie zgodziłam się. Jego żona i dzieci żyli w równoległym świecie, do którego w dalszym ciągu nie należałam. Później będzie na to pora. W głębi ducha przerażała mnie owa chwila spotkania. Wyobrażałam sobie dwoje dzieci, których wściekłe spojrzenia unieszkodliwiają mnie, zanim zdążę im powiedzieć, że zrobię wszystko, abyśmy zostali przyjaciółmi.

Strasznie za nimi tęsknił, toteż zachęcałam go, by przy każdej okazji je odwiedzał. Wiedziałam, że tęskni także za Charlotte. Byłam pewna, że spotykają się i rozmawiają i że Hugh pomija to milczeniem. Jego emocje halsowały jak żaglówka w porywach wiatru.

Jak mogłam mu pomóc? Będąc jego przyjacielem. Pokazując mu, że kocham go i szanuję. Trzymając język za zębami, kiedy to konieczne. Nie wybuchając złością, gdy czegoś nie rozumiem lub kiedy coś mi zagraża. Przez całą moją dorosłość Hugh żył w stanie małżeńskim — w obcej krainie, której nie znałam. Co prawda łatwo ją sobie wyobrazić, ale tego rodzaju wyobrażenia przypominają oglądanie broszurek reklamowych w biurze podróży. Tak naprawdę nie znasz tego kraju, póki nie postawisz w nim stopy.

— Czy słyszałaś o Crane's View? — Frances uśmiechała się z zamkniętymi oczami. Siedziała przy oknie w swoim czerwonym salonie i poranne słońce oświetlało jej twarz. Kilka minut wcześniej, kiedy weszłam i cmoknęłam ją w policzek, było tu niemal gorąco.

Popijałyśmy zieloną herbatę i zajadałyśmy angielskie babeczki: jej ulubione śniadanie.

— Co to jest Crane's View?

— Miasteczko nad rzeką Hudson, około godziny drogi stąd. Odkryłam je trzydzieści lat temu i kupiłam tam dom. To niewielka chatynka, ale z bajecznym widokiem na rzekę. Dlatego ją kupiłam.

— Nie wiedziałam, że masz dom, Frances. Bywasz w nim czasem?

— Teraz już nie. Smutno mi się kojarzy. Miałam w nim dwa udane romanse i sympatycznego psa. Kiedyś zaszyłam się tam na prawie rok, bojkotując Nowy Jork, który mnie zezłościł. Tak czy owak przypominałam sobie o nim w zeszłym tygodniu. Domy nie

powinny stać puste. Powinno się w nich mieszkać albo wystawić je na sprzedaż. Chciałabys go?

Potrząsnęłam głową i odstawiłam filiżankę.

— Nie możesz ot, tak sobie, oddać domu. Zwariowałaś?

Frances otworzyła oczy i wolno podniosła babeczkę do ust.

Z ciastka zaczęła obsuwać się marmolada. Frances ostrożnie zgarnęła ją kciukiem i posadziła z powrotem na wierzch. Spojrzała na mnie chłodno, ale nie odezwała się, dopóki nie skończyła przeżuwać ciasta.

— Wybacz, ale mogę robić to, na co przyjdzie mi ochota. Bądź tak miła i nie traktuj mnie jak starej kretynki. Jeśli zechcę dać ci mój dom, to ci go dam. Nie musisz go przyjmować, ale to już twój wybór.

— Kiedy ja...

— Mirando, mówiłaś mi chyba z cztery razy, jak bardzo ty i Hugh chcielibyście się przeprowadzić. Że twoje mieszkanie jest za małe i że szukacie lokum, gdzie moglibyście zacząć nowe życie. Zgadza się. Nie wiem, czy Crane's View by się wam spodobało. To mała miejscina, w której niewiele się dzieje. Lecz oboje moglibyście dojeżdżać do Nowego Jorku pociągiem. To tylko godzina jazdy, trasa biegnie wzdłuż rzeki przez malowniczy krajobraz. Przynajmniej zobacz, jak to wygląda. Co ci szkodzi?

W następną niedzielę wynajęliśmy samochód i w trójkę pojechaliśmy do Crane's View. Po raz pierwszy od miesiąca Frances ruszyła się z mieszkania. Wyjście w świat obudziło w niej dreszczyk strachu i emocji. Niemal cały dzień trzymała mnie kurczowo za rękę, ale jednocześnie była tak podekscytowana, że nie zamilkła ani na minutę.

Frances i Hugh polubili się od pierwszego widzenia. Jego intrygowało jej życie, ludzie, których znała. Jej zaś największą przyjemnością sprawiała rozmowa z kimś, kto się nią interesował. Bez przerwy się sprzeczali, lecz Frances lubiła ostrą dyskusję. Mimo podeszłego wieku wciąż płonęła wewnętrznym ogniem, do którego trzeba było tylko dorzucić paliwa. Hugh natychmiast to wyczuł i, ku mojemu przerażeniu, wciągnął ją w kłótnię. Jej twarz emanowała czystą radością. W pewnym momencie, podczas zażartej dyskusji, Frances klepnęła się ręką w swoje ptasie kolano i oświadczyła:

— Gdybyś ty tego nie powiedział, zrobiłby to kto inny. Na tym polega różnica między ludźmi bystrymi i wielkimi.

Hugh prychnął z dezaprobatą i odparł, że będzie się modlił do świętego Gildasa, który strzeże ludzi od ukąszeń przez psy.

Kiedy wychodziliśmy z jej domu, Frances wzięła mnie na stronę i wyszeptwała:

— On jest zupełnie inny, niż mi go opisałaś, Mirando. O wiele lepszy i znacznie bardziej irytujący!

Później odwiedzaliśmy ją często. Kiedy zakupy robił Hugh, zawsze przynosił jej Ding Dongi, Twinkies i inne słodczyce. Gdy powiedziałam Frances, że to on karmi ją tym paskudztwem, łzy szczęścia zaślniły w jej oczach. Jednak dopiero afisz podbił jej serce bez reszty.

Gdy go ujrzałam pierwszy raz, spytałam, skąd go do licha wytrzasnął. Hugh odparł oględnie, że mu się poszczęściło. Jego asystentka Courtney przyznała potem, że zapędził do roboty wszystkich swoich europejskich informatorów, zanim któryś odnalazł ów plakat we Wrocławiu. Był to wielki kolorowy afisz z 1922 roku, w którym wiedeński teatr Ronacher reklamował występ Niesamowitego Shumdy, „światowej sławy brzuchomówcy” i, rzecz jasna, kochanka Frances Hatch. Magik stoi ze skrzyżowanymi na piersi rękoma — sprawiając wrażenie ogromnego, pewnego siebie i tajemniczego — ubrany w smoking i długą pelerynę. Przystojny mężczyzna z ulizany — mi do tyłu czarnymi włosami i zabójczą hiszpańską bródką. „Ach, ta bródka!” — wykrzyknęła Frances na widok afisza, dotykając policzków. „Z samego rana, po przebudzeniu, skrapiał ją «Wodą Florydy». Cóż to był za rozkoszny zapach”.

Tamtego dnia, gdy wyjeżdżaliśmy z Nowego Jorku, Frances ponownie zaczęła o nim mówić.

— Może to dziwne, ale Shumda podarował mi Crane's View. Nie w dosłownym znaczeniu. Umarł wiele lat przedtem, zanim się tam zjawiłam. Ale w Crane's View mieszkał Tyndall, największy wielbiciel Shumdy.

Obróciłam się na przednim siedzeniu i spojrzałam na Frances. Była ubrana w wełnianą, pomidorową czapkę i futro, które dni świetności miało już raczej za sobą.

— Tyndall, ten potentat naftowy? Frances skinęła głową.

— Tak. Poznaliśmy go w latach dwudziestych w Bukareszcie. Był po prostu jednym z tłumu wielbicieli Shumdy, ale podtrzymywaliśmy stosunki. Na początku lat pięćdziesiątych zaprosił mnie do Crane's View na weekend. Wtedy zakochałam się w tym miasteczku i już pozostałam mu wierna. To była świetna ucieczka z Nowego Jorku, a Lionel zawsze z radością mnie gościł. Rok temu popełniono tam morderstwo. — Frances zamilkła na dłuższą chwilę, a gdy się odwróciłam, drzemała na tylnym siedzeniu. Był to jeden z nielicznych symptomów jej podeszłego wieku — zasypiała szybciej niż którakolwiek ze znanych mi osób.

Jakiś czas jechaliśmy pogrążeni w przyjemnej ciszy. Przesuwające się za szybą miasto najpierw rozrzedziło się w przedmieścia, a potem przeszło w niemal wiejski krajobraz. Hugh położył mi rękę na kolanie i odezwał się łagodnie:

— Kocham cię. Wiesz o tym? Spojrzałam na niego i powiedziałam:

— Nikt na świecie nie może być w tej chwili szczęśliwszy ode mnie. Nikt.

Nie obudziliśmy Frances, póki nie zobaczyliśmy pierwszego drogowskazu do Crane's View. Ściśle mówiąc, w ogóle jej nie budziliśmy: o milę przed zjazdem z autostrady podskoczyliśmy na fotelach, kiedy zawołała:

— Następna w prawo!

Ustawiłam lusterko, żeby móc ją zobaczyć.

— Skąd wiedziałaś, kiedy się zbudzić? Stłumiła dłonią ziewnięcie.

— Lionel Tyndall zawsze się we mnie podkochiwał. Chociaż był brzydki jak bułka z pastą jajeczną, nie przeszkadzało mi to. Sama nie zaliczałam się do piękności. Nie, moim błędem było to, że poszłam z nim do łóżka. Nie wiedział, co robi, ale ja wiedziałam. Lionel stracił rozsądek. Przestał odróżniać swoją głowę od główki. Teraz skreć w prawo, Hugh. O, właśnie. Jeszcze trochę i będziemy na miejscu.

Frances szczebiotała jak najęta, podczas gdy zbliżaliśmy się do miasteczka. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale widok, który zobaczyłam, w zasadzie zgadzał się z moimi wyobrazeniami. Crane's View było małą i śliczną miejscinką. Położone w centrum sklepy ograniczały się do niezbędnego minimum: żywność, odzież, sprzęt domowy i prasa. Crane's View wybudowano na wzgórzach, skąd można było dostrzec przebłyki rzeki Hudson toczącej w dole swój nurt. Owego pierwszego dnia, kiedy zwiedzaliśmy je samochodem, musiałam przyznać, że jest to miłe, zadbane miasto z połowy lat pięćdziesiątych, ale nie wyróżniające się niczym szczególnym. Zastanawiałam się, co sprawiło, że Frances się w nim zakochała. Crane's View było dokładnym przeciwieństwem Frances Hatch: ciche, ślamazarne, nudne.

— Zatrzymaj się! W tym miejscu zjemy lunch. Dają tu najlepszą pizzę w całym hrabstwie.

Hugh ostro przyduśił hamulec i wprowadził auto na parking przed obskurną pizzerią. Wytaszczyliśmy się na chodnik i podążyliśmy za Frances do środka. Przywitała nas smakowita woń świeżego czosnku. Kilku miejscowych osiłków, opartych o ladę, wybadalo nas wzrokiem. Zamówiliśmy trzy pizze, które po podaniu okazały się wielkości płyt długogrających. Frances posypała swoją porcję różnymi gatunkami pieprzu. Hugh i ja wyjęliśmy z lodówki napoje chłodzące i usiedliśmy przy poharatanym stoliku.

Kiedy jedliśmy, do środka wszedł przystojny mężczyzna w drogiej dwurzędowej marynarce. Na nasz widok zatrzymał się i twarz rozdziawiła mu się w wielkim, ciepłym

uśmiechu. — Frances! Co ty tu robisz? — Frannie! Oboje uścisnęli się.

— Jakże się cieszę, że cię widzę, staruszek! Czemuś nie zadzwoniła, że przyjeżdżasz? Poszlibyśmy razem na kolację albo coś.

— Chciałam zobaczyć twoją minę, kiedy stwierdzisz, że jeszcze żyję. Frannie, przedstawiam ci moich przyjaciół: Miranda i Hugh. To jest Frannie McCabe, miejscowy szef policji. Znamy się od dwudziestu pięciu lat. No, i jak żyjesz, szeryfie?

— Dobrze! Ożeniłem się po raz drugi. Magda i ja w końcu się zdecydowaliśmy, choć wierzyła i pisała do samego ołtarza.

— Brawo, Frannie. A więc mamy panią Magdę McCabe, tak? Ładne imię. Słuchaj, po lunchu jedziemy do mojego domu. Czy wszystko tam w porządku?

McCabe skrzyżował ręce na piersi i wbił zboląły wzrok w sufit.

— Frances, ile razy będziemy o tym mówić? Przecież wiesz, że pilnuję tego domu jak własnego. Czy muszę cię o tym zapewniać? Pewnie, przydałoby się pociągnąć go pędzlem, jak już mówiliśmy. Ale poza tym wygląda dobrze. Chcesz znowu w nim zamieszkać?

— Nie, ale oni mogą chcieć. Dlatego przyjechaliśmy go obejrzeć.

Szef policji podsunął krzesło i przysiadł się.

— To fajny dom, ale jeśli zamierzacie się do niego wprowadzić, wymaga nieco pracy. Stanowczo trzeba by go pomalować, w piwnicy jest wilgoć. Mógłbym polecić wam paru ludzi, którzy zrobią to jak należy i nie zedrą z was skóry.

Frances skończyła pizzę i otrzepała dłonie z okruszyn.

— Frannie to król Crane's View. Zna tutaj wszystkich. Jeśli nie należą do jego rodziny, to kiedyś byli w jego gangu. Frannie był młodocianym przestępcą. Przez to się poznaliśmy: kiedy miał piętnaście lat, włamał mi się do domu, tak się złożyło, że podczas mojej obecności. Może byś się z nami zabrał, Frannie?

— Chętnie, ale mam masę spraw na głowie. Po południu odbywa się spotkanie z przedsiębiorcami budowlanymi. Firma, która kupiła dom Tyndalla, sprzedała go po tym morderstwie rok temu. Nie mam zresztą o to do nich pretensji. Teraz węszy tam konsorcjum, które chce zburzyć dom i postawić hotel czy coś. A po co nam do szczęścia hotel w tak sennym miasteczku? Kto niby miałby w nim mieszkać, Rip Van Winkle? No nic, muszę pędzić. Jeśli państwo będziecie czegoś potrzebować, Frances ma mój numer telefonu. Szkoda, że nie wracasz na stare śmieci, Frances. Wolałbym odwiedzać cię tutaj niż w tym upiornym mieszkaniu w Nowym Jorku.

Ucałował Frances i uścisnął nam dłonie. Kiedy ruszył w stronę drzwi, zawołał go uśmiechnięty z przekąsem sprzedawca, trzymający pizzę, którą ten zamówił. McCabe wyszczerzył zęby i zawrócił.

— Czy macie tu dużo przestępstw? Wspomniał pan przed chwilą o morderstwie.

Uśmiech ulotnił się z jego twarzy. McCabe przyjrzał mi się, zanim odpowiedział na moje pytanie.

— To był jednorazowy wypadek. Znalazło się sporo okoliczności łagodzących. Crane's View to spokojne miasteczko. Przez większość czasu wieje tu nudą. Najwięcej jest robotników, wielu z nich dojeżdża do miasta, wszyscy ciężko pracują. W weekendy koszą trawniki albo oglądają telewizję. Pracuję tu od dawna. Najgorszą zbrodnią jest ta, że ktoś czasem podrasuje sobie silnik. I tyle. Słuchajcie, naprawdę muszę już pryskać. Panno Hatch, odezwę się wkrótce. A państwo dajcie mi znać, czy się wprowadzacie. Zorganizuję paru ludzi, żeby odpędzowali ten dom tak, aby nadawał się do zamieszkania.

Jeden ze sprzedawców zajadłował:

— Czeeeeść, szefie!

McCabe pokazał mu środkowy palec i uśmiechnął się.

— Żadnego szacunku dla władzy. — Wyszedł z pizzerii. Patrzyłam, jak wsiada do pięknego srebrnego samochodu i odjeżdża.

— Ma niezłe auto jak na policjanta.

Hugh także go obserwował i przytaknął na znak zgody.

— Zauważyłaś jego zegarek? Autentyczny „Da Vinci”! Trzeba mieć forsy jak lodu, żeby sobie kupić taki czasomierz.

Frances wzruszyła ramionami.

— Frannie jest nadziany. Nie musi być gliniarzem, ale wykonuje tę robotę, bo ją lubi. Dorobił się wraz z pierwszą żoną. Jakiś interes z telewizją. Opowiadał mi kiedyś, ale zapomniałam.

— Podoba mi się. Prawdziwy twardziel. — Hugh podniósł pięści i zamarkował cios.

— Podoba ci się? A mnie przypomina jednego z tych gangsterów z *Chłopców z ferajny*. Nie chciałabym mieć z nim na pieńku.

Frances pogładziła mnie po ręce.

— Masz rację. McCabe zamienia się w kobrę, kiedy go rozjuszysz. Ale jest wiernym przyjacielem i jednym z garstki ludzi, którym można bezgranicznie zaufać. Jedziemy? Nie mogę się doczekać mojego domu.

Tym razem Frances ulokowała się na przednim siedzeniu i pilotowała Hugh. Kiedy jechaliśmy przez Crane’s View, próbowałam wyobrazić sobie, jak kroczę tą uliczką, robię zakupy w tym sklepie, odbieram listy na tej małej szarej poczcie na końcu Main Street. Wkrótce Hugh i ja znalazłbyśmy imiona wszystkich mężczyzn z pomarańczowej śmieciarki parkującej na rogu. Dzieci na rowerkach pędziły slalomem po chodniku. Psy przechodziły przez ulicę własnym tempem. Dwie dziewczynki ustawiły saturator na chodniku wysadzonej drzewami ulicy. Sączące się przez liście słońce upstrzyło je szarymi plamkami; wpatrzone w nas dziewczynki zmarszczyły czoła, kiedy je mijaliśmy.

— Hugh, spójrz!

Śliczna nastolatka prowadziła na smyczy bulteriera podobnego do Łajzy. Nie spieszyło im się. Pies wywęszył coś na chodniku i zamerdał ogonem. Dziewczyna, słuchając walkamana, zatrzymała się z założonymi rękami. Podniosła na nas wzrok i pomachała w naszą stronę. Frances odpowiedziała jej machnięciem.

— To Barbara Flood. Urodziwe dziewczę, nieprawdaż? Jej dziadek służył u Tyndalla za ogrodnika. Skręć w tę ulicę.

— Pierwsza czarna osoba, którą tu spotkałem.

Frances dała mu kuksańca.

— Zachowaj swoje liberalne poglądy dla siebie, Hugh. W Crane’s View żyje mnóstwo czarnych. Burmistrz jest Murzynem.

Hugh złowił moje spojrzenie w lusterku i puścił mi oko.

— Ja tylko podzieliłem się z wami spostrzeżeniem.

— Mało oryginalnym. To tu. Zatrzymaj auto.

— Przed tym domem? Wolne żarty...

Głos Frances przerwał mi jak cios karate.

— Coś nie tak?

Pochyliłam się, aby mieć lepszą widoczność.

— Nie, tyle że jest ogromny. Mówiłaś, że to mały domek. A to nie jest mały domek, Frances.

Był niebieski, z białymi obramieniami. Lata sprawiły, że farba wypłowiała na kolor wytartych dzinsów. Białe ramy wokół okien i drzwi pożółkły i złuszczyły się. McCabe miał słuszną — dom należało bezzwłocznie pokryć kilkoma warstwami farby. Kształtem przypominał pudło na kapelusze, z dwiema kondygnacjami i obszerną werandą na przodzie. W przeddzień wyjazdu do Crane’s View Hugh i ja zastanawialiśmy się przy kolacji, jak też będzie wyglądał. Żadne z nas nawet się nie zbliżyło do rzeczywistości.

Broadway 189//Crane’s View, stan Nowy Jork.

— Proszę, otwórz drzwi, Hugh. Chcę się najpierw trochę rozejrzeć. — Frances wręczyła mu klucze i podeszła do schodów prowadzących na ganek. Nachyliła się i pocałowała drewniany słupek poręczy. — Dawno cię nie widziałam, stary przyjacielu. — Wchodząc wolno po schodach, głaskała poręcz z balaskami. Wyciągnęła rękę i nadusiła guzik dzwonka. Z wnętrza dobiegło głośnie dzwonienie.

— Słyszałaś? — Hugh objął mnie jedną ręką. — Prawdziwy dzwonek! BIM BOM!

— Co o tym myślisz? — spytałam cicho.

— Podoba mi się! Przypomina mi budynek z obrazu Edwarda Hoppera. Ale trzeba mu będzie poświęcić sporo pracy. Widać to na pierwszy rzut oka. — Podparł się pod boki i mierzył dom spojrzeniem.

— Jest dużo większy, niż myślałam. Sądziłam, że to będzie taki trochę większy bungalow.

Frances udała się na kraniec werandy i przystanęła. Była zwrócona do nas plecami. Długo się nie odwracała.

— Co ona robi?

— Pewnie wspomina. Wejźmy do środka. Umieram z ciekawości, jak wygląda wnętrze. — Włożył klucz do zamka i przekręcił go parę razy. Zanim otworzył drzwi, przesunął dłonią po ich powierzchni, tam i z powrotem. — Ładne, prawda? Dębina.

Drzwi otworzyły się. Zaraz od progu, na powitanie, owionęły nas zapachy naszego nowego domu: kurz, wilgoć, stare ubrania i coś jeszcze, co kłóciło się z bukietem opustoszałego domu. Hugh wszedł do środka, ja zaś stałam w drzwiach, usiłując rozgryźć tę dziwną woń. Czysta i słodka, nie pasowała do budynku od wielu lat zamkniętego na cztery spusty. Była świeża i upajająca. Nie udało mi się jej z niczym skojarzyć.

— Mirando, nie wchodzisz?

— Sekundę. Idź pierwszy.

Usłyszałam, jak stąpa po podłodze, a potem skrzypnęły kolejne drzwi. Hugh zawołał cicho: „O rety!” na widok czegoś w sąsiednim pokoju. Potem znów zadudniły jego kroki. C o to za zapach? Weszłam do domu, rozejrzałam się i zamknęłam oczy.

Gdy po chwili je otworzyłam, ujrzałam wypełniających cały hol ludzi. Ściślej mówiąc — dzieci i paru dorosłych nadzorujących zabawę. Dzieciaki biegały, skakały i robiły do siebie miny. Pędziły z pokoju do pokoju, tupały na schodach, opychały się żółto-niebieskim tortem (otóż to, woń ciasta!), dmuchały w plastikowe trąbki i okładały się piściami. Większość nosiła spiczaste czapeczki w pastelowych barwach. Wreszcie uświadomiłam sobie, co oglądam: przyjęcie urodzinowe.

Nie byłam zdziwiona. Stwierdzam to z całą stanowczością, ponieważ to bardzo ważne. Chociaż pusty dom Frances Hatch raptem wypełnił się wesołym chaosem dziecięcych zabaw, ja nie byłam ani odrobinę zdziwiona. Patrzyłam na to całkiem spokojnie.

W przedpokoju stał mały chłopczyk w przekrzywionej czapeczce i obserwował panujący wokół rozgardiasz. Miał na sobie białą, zapinaną na guziki koszulę, sztywne niebieskie dzinsy i tenisówki w czarno-białe paski. Wyglądał jak miniatura Hugh Oakleya, nawet kolor jego długich włosów i szeroki uśmiech na twarzy przypominały Hugh. Uśmiech, który tak dobrze znałam i kochałam. Malec musiał być jego dzieckiem.

Spojrzał wprost na mnie i zrobił coś pięknego. Zamknął wolno oczy i zadrzał cały z lubością. Wiedziłam, że w ten sposób wyraża radość z toczącego się przyjęcia. Były to bowiem jego urodziny.

Nazywał się Jack Oakley i miał osiem lat. Był synem, którego Hugh i ja będziemy mieli, gdy zamieszkamy w tym domu. Często rozmawialiśmy na temat dzieci, żartowaliśmy też, jakie nadamy im imiona. Jack i Ciara. Święta Ciara z Tipperary, której modlitwy gasiły pożary. Teraz zaś stał przede mną nasz Jack Oakley, kończył dziś osiem lat i był kubek w kubek podobny do ojca. Miał też w sobie coś ze mnie. Wysokie czoło i brwi, których końcówki wznosiły się do góry.

Stężałam ze strachu, że jeśli się poruszę, ta cudowna wizja naszej przyszłości rozplynie się. Chłopiec popatrzył na mnie i nadal się uśmiechając, wyrzucił rączki w górę, jakby rozsypywał konfetti.

— Nic ci nie jest?

— Musimy tu zamieszkać, Hugh. Musimy zamieszkać w tym domu.

— Jeszcze nie widziałas wnętrza! Stoisz ciągle w jednym miejscu. Chodź, chcę ci coś pokazać. — Położył rękę na moim ramieniu i popchnął mnie delikatnie.

Poszłam, ale na wszelki wypadek, gdyby Jack znowu się pojawił, parę razy obejrzałam się za siebie. Mały chłopiec, nasz synek, przychodzi pokazać nam, że w tym miejscu będzie się nam żyło cudownie.

## HOTEL TARZANA

Stałam u podnóża schodów i wzięłam głęboki, długi oddech. Trzydzieści cztery stopnie. Tyle dzieliło mnie od odpoczynku. Najwyższy czas odsapnąć, zaczynałam już odnosić wrażenie, że ręce zamieniają mi się w gumę do zucia. Dźwigałam ciężkie tekturowe pudło, na którego wierzchu napisano: „Niebo Średnie”. Nie pytaj, co to znaczy — zawartość pudła należała do Hugh. Wcześniej tamtego ranka zdążyłam już wnieść „Pontus Harmon”, „Hotel Tarzana” i „Brzydką Voile” — a teraz „Niebo Średnie” — do pokoju, który Hugh miał zaadaptować na gabinet. Gdy po raz pierwszy, jeszcze w Nowym Jorku, zobaczyłam, jak wypisuje na pudłach te dziwne słowa, popatrzyłam na nie, na niego i znowu na nie.

— Czegoś tu chyba nie pojmuję. Skąd wiesz, co jest w środku? Zamknął gruby flamaster, którego używał do opisów, i wsunął go do tylnej kieszeni spodni.

— Pakuję nastroje. Swobodna forma. W pudle ładują przedmioty, które jakoś się ze sobą wiążą, ale jednocześnie potrafią mnie zaskoczyć, kiedy po otwarciu odkrywam, co tam jest.

— Co więc oznacza „Hotel Tarzana”?

— Zbudowałem go, kiedy miałem siedem lat. Wziąłem pudełko po butach z podobizną Bustera Browna, pociąłem je i pomalowałem. Zrobiłem z niego hotel dla moich ulubionych zabawek.

— I trzymałeś go przez cały czas?

— Nie. — Spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

— Ahaaa, czyli w pudle „Hotel Tarzana” nie ma hotelu Tarzana?

— Nie.

— Wydaje mi się, że zjechaliśmy z autostrady, Hugh. Czy mam włączyć napęd na cztery koła?

— Nie, podaj mi tylko tę taśmę, dobrze? W hotelu Tarzana trzymałem kiedyś ulubione rzeczy. Dlatego w tym pudle znalazła się część rzeczy, które lubię. Kolekcja scyzoryków, wieczne pióra, dobre książki. Ta powieść, którą mi dałaś, Historia Harolda. Jest też wiele innych rzeczy, ale nie zapisałem ich, więc później będą dla mnie niespodzianką.

— Dziwny z ciebie gość, Hugh. Ale lubię cię.

Nie cierpię przewodzących, ale dzięki Hugh jakoś ją przetrzymałam. Jego towarzystwo i nieustanny entuzjazm sprawiły, że zwalnianie mojego nowojorskiego mieszkania okazało się znośne, a nawet zabawne. Często ogarniało mnie zniecierpliwienie, wydawało mi się, że to czy tamto musi być już spakowane, zakończone, dopięte na ostatni guzik. Hugh traktował przewodzątkę o wiele spokojniej i jego nastrój udzielił mi się. Bywało, że podchodził do mnie, trzymając w ręce jakiś przedmiot — lampę, rycinę, niemiecką lornetkę — i prosił, bym mu opowiedziała jego historię. Nie robił przeszpiegów ani nie domagał się ujawnienia tajemnic; chciał poznać mnie poprzez rzeczy, które były moją własnością. Często opisywałam mu szczegółowo całą ich historię, relaksując się przy tym i przeżywając na nowo dawne dzieje. W końcu, wyczerpani i brudni, braliśmy razem kąpiel, po czym szliśmy coś zjeść. Zasiadywaliśmy się przy stoliku, rozmawiając o tym, jak będzie się nam żyło w Crane’s View. I nie tylko. Bez końca rozprawialiśmy o naszym wspólnym życiu. Któregoś wieczoru, po kolacji, Hugh wyjął z kieszeni kawałek papieru i przeczytał mi wiersz. Zachowałam tę karteczkę i oprawiłam ją w ramkę. Wiersza nauczyłam się na pamięć. W ciągu minionych lat powtórzyłam go sobie pewnie z tysiąc razy:

Jeżeli cię pokocham, wejdź bez pukania,  
lecz dobrze to sobie przemyśl:  
mój siennik będzie twoim, zakurzona słoma,



szemrzące oddechy.

Świeżą wodę wleję do dzbanka,  
nim wyjdiesz, wyczyszczę ci buty,  
nikt nam tutaj nie będzie przeszkadzał,  
zgarbiony, mógłbyś spokojnie cerować nasze ubrania.

Jeśli cisza będzie wielka, odezwę się do ciebie,  
jeśli się znużysz, usiądź na mym jedynym krześle,  
jeśli jest ciepło, poluzuj kołnierzyk, zdejmij krawat,  
jeśli jesteś głodny, czysta kartka papieru  
będzie twoim talerzem, jeśli jest jedzenie,  
lecz zostaw mi trochę — ja również jestem wiecznie głodna.

Jeżeli cię pokocham, wejdz bez pukania,  
lecz dobrze to sobie przemyśl:  
Twoja dłuższa nieobecność sprawiłaby mi ból.

(*Bez pukania*, Attila Jozsef, ze zbioru  
Winter Nights, Oberlin College Press, 1997)

Dźwignęłam pudło z napisem „Niebo Średnie” i zaczęłam wspinaczkę po schodach. Karton zasłaniał mi widok, toteż idąc, musiałam liczyć stopnie. Stwierdziłam, że łatwiej mi się wchodzi, gdy odliczam do tyłu. Byłam na szesnastym schodku, kiedy z góry dobiegło mnie wołanie Hugh. Nie przerywając wspinaczki, dotarłam do siódemki, gdy Hugh zawołał mnie ponownie.

— Zaczekaj chwilkę!

Usłyszałam jego kroki i nagle pudło zostało wyjęte z moich rąk. W tej samej sekundzie zakręciło mi się w głowie i omal nie spadłam ze schodów. Chwytając za poręcz, odzyskałam równowagę. Hugh szedł już z kartonem i nic nie zauważył. Tym lepiej. To drugi zawrót głowy, który nawiedził mnie tego ranka, więc byłam zaniepokojona. Pracowaliśmy zbyt intensywnie.

Trzy dni wcześniej wynajęliśmy żółtą półciężarówkę i umieściliśmy w niej nasz dobytek. Staliśmy na chodniku przed moim blokiem i lustrowaliśmy wnętrze platformy. Hugh powiedział, że doznaje mieszanych uczuć, kiedy cały majątek dwojga ludzi mieści się w niezbyt dużej ciężarówce. W uznaniu dla jego dyplomacji pocałowałam go w ramię. W mieszkaniu Charlotte pozostał dorobek jego poprzedniego życia, który bez wątpienia zappełniłby trzy takie ciężarówki, Hugh jednak nie wspomniał o nim. Choć brał do Crane’s View sporo, wiedziałam, że mógłby wziąć więcej.

Na wieść o naszej przeprowadzce Charlotte wpadła w dziki szał. Od tej chwili starała się na wszelkie sposoby uprzykrzyć Hugh życie. Miała do tego smykałkę. Kiedy ostatni raz rozmawiali ze sobą uprzejmie, zanim prawnicy zaczęli krążyć wokół resztek, Charlotte zadała mu kilka bolesnych pytań: Co będzie z ich małżeństwem, z jego obowiązkami, ich dziećmi? Czy zdaje sobie sprawę, jak to się odbije na ich psychice? Dlaczego myśli tylko o sobie? Czy nic nie obchodzi go życie trojga innych ludzi?

— Mirando? — Stał u szczytu schodów, z rękami w kieszeniach, i patrzył na mnie. — Dobrze się czujesz?

— Tak. Myślałam o tobie i Charlotte. Twarz mu stwardniała.

— Co myślałaś?

— Że nigdy nie będę w stanie ci podziękować, że przyjechałeś tutaj ze mną.  
— Nie musisz mi dziękować. Po prostu mnie kochaj.  
— Boję się, że coś sknocę, Hugh. Czasem mam wrażenie, że serce mi pięknie, tak bardzo chcę, aby nam się udało. Jak się kocha we właściwy sposób?  
— Trzeba używać dużo masła. — Wyciągnął ze spodni koszulkę i zdjął ją przez głowę. Nie odrywając ode mnie wzroku, rzucił T-shirt na podłogę. — Żadnej margaryny. Niektórzy próbują oszukiwać, stosując margarynę, ale różnica w smaku jest aż nadto wyraźna. — Rozpiął pasek i spuścił džinsy do kostek.  
— Sądziłam, że rozpakowujemy kartony. — Skrzyżowałam ręce na piersi, po czym opuściłam je na boki.  
— Zgadza się, ale pytałaś, jak się kocha we właściwy sposób. Więc ci odpowiadam.  
— Używać masła. — Zabrałam się do rozpinania guzików bluzki.  
— Właśnie. — Stał w białych spodenkach, opierając ręce na biodrach. Ruchem palca pokazał mi, abym pokonała resztę schodów. Gdy do niego dotarłam, bluzka była całkiem rozpięta. Wsunął pod nią dłonie i położył je na moich piersiach. — Kobiety zawsze postawią na swoim, bo mają piersi. Nieważne: duże czy małe, sam fakt ich posiadania oznacza, że stoicie na wygranych pozycjach. — Wolno pociągnął mnie na podłogę.  
Poczułam chłód drewna na plecach. Wygięłam się w łuk.  
— Mężczyźni mają kutasy.  
— Kutasy to głuptyasy. — Pocałował mnie w szyję. — Są zbyt prostackie. Piersi to dzieła sztuki.  
Nakryłam mu usta dłonią. Kilkakrotnie prześlizgnęłam palcami po jego języku, wysunęłam je i wytarłam mu ślinę o policzek. Lśnił się. Pocałowałam go. Zadzwoił telefon. Wsadziłam mu rękę między nogi i wyszeptalam:  
— W tej chwili nie ma nas w domu, proszę zostawić wiadomość. Zgłosimy się zaraz po szczytowaniu.  
Telefon brzęczał uparcie.  
— Co byś zrobiła, gdybym go odebrał? — Uśmiechając się, drgnął gwałtownie, kiedy ścisnęłam go za mocno.  
Jego twarz wisiała o parę cali nad moją. Szczecina zarostu była miejscami złota, a miejscami czarna. Potarłam dłonią po szorstkim policzku i zatrzymałam ją na jego podbródku.  
Wpatrywał się we mnie. Coś odwróciło jego uwagę tak, że aż głowa podskoczyła mu w górę. Wybałuszył oczy. Twarz zmieniła mu się nie do poznania. Ujrzałam wściekłość. Oburzenie. Zerwał się na równe nogi. Zanim zdążyłam cokolwiek wyjąkać, pędził już korytarzem.  
— Ty sukinsynu!  
— Hugh! — Chwyciłam spodnie i podniosłam się zbyt raptownie. Ponownie zalała mnie fala słabości. Odczekałam, aż minie, i poszłam za Hugh.  
Znalazłam go w sypialni.  
— Ktoś tu był! — zawołał, tocząc wokół dzikim wzrokiem. — Podglądał nas. Podniosłem głowę i zobaczyłem stojącego w drzwiach mężczyznę, który nas podgląda!  
— Dokąd poszedł?  
— Myślałem, że do sypialni. Ale tu go nie ma. Okna są pozamykane... Nie wiem. Jezu.  
— Może wezwać policję?  
— To nic nie da, skoro go nie ma. Kiedy zobaczył, że go spostrzegłem, cofnął się tutaj, ale teraz... zniknął. Co tu się do diabła...  
— Jak wyglądał?  
— Nie mam pojęcia. Zwyczajnie. Stał w cieniu. Nie wiem. — Nadal rozglądał się z uwagą. Zajrzał do szafy ściennej. Otworzył okno, wytknął przez nie głowę i popatrzył we

wszystkie strony.

Wywróciliśmy dom do góry nogami. Hugh był o wiele bardziej zdenerwowany niż ja. Być może rzeczywiście kogoś zobaczył. Mnie jednak niepokoiło to, że choć na dobrą sprawę nie wprowadziliśmy się jeszcze do domu Frances, po raz drugi przytrafiało nam się tutaj coś dziwnego. Kiedy przetrząsaliśmy mieszkanie, moje myśli biegły wciąż do małego chłopca i jego urodzinowego przyjęcia. Tego ślicznego małego chłopczyka.

— Spójrz tylko!

Kiedy godzinę później gotowałam obiad, Hugh wszedł do kuchni, niosąc w ręku — a ściślej mówiąc, w palcach — jakąś wielką bryłę. Trzymał ją na całą długość ręki, jakby to było coś obrzydliwego. Zanim ją zobaczyłam, poczułam jej woń. Kość. Wielka krowia kość z rodzaju tych, które daje się psom do obgryzania.

— Gdzieś to znalazł?

— Pod biurkiem w moim pokoju! Ale dotknij jej — to dopiero niesamowite.

Wskazałam na jedzenie ułożone na stole.

— Robię obiad, Hugh. Nie chcę dotykać jakiejś kości. Zakołysał ją w palcach, jak gdyby próbował ocenić, ile waży. — Jest jeszcze ciepła. Ciepła i lepka. Jakby skończono ją gryźć pięć minut temu.

— W twoim gabinecie?

— Pod biurkiem. Nie zauważyłem tam psa. A ta kość jest wciąż ciepła. Coś żuło ją w moim pokoju. I to niedawno.

Położyłam nóż na blacie.

— Myślisz, że to ma jakiś związek z tym mężczyzną, którego widziałeś rano?

Spuścił wzrok na podłogę i wzruszył ramionami.

— Chcesz powiedzieć, że pies obgryzał kość, a tymczasem jego pan śledził nas na schodach? Nie wiem, być może. Przyznaję, że i mnie przyszło to do głowy. Czyżby zabrał ze sobą psa? Horror!

Znów zadzwonił telefon. Podniósłszy słuchawkę, odetchnęłam ulgą, kiedy z drugiej strony odezwał się schrypnięty głos Frances Hatch. Zapytała, jak nam idzie. Poinformowałam ją o porannym intruzie i ciepłej kości.

— Ten dom stał wiele lat pusty, Mirando. Bóg jeden wie, kto w nim bywał i z niego wybywał przez ten czas. McCabe mówi, że miał go na oku, ale nie siedzi tam przecież cały dzień. Na waszym miejscu skontaktowałabym się z nim. Uważajcie na siebie.

Frances poprosiła do telefonu Hugh. Podałam mu słuchawkę i wróciłam do kuchni. Skończyłam przyrządzać obiad i zaniósłam go na stół. Hugh nadal rozmawiał z Frances. Już miałam się przysiąść, gdy poczułam, że muszę się udać do łazienki.

Jedną z nielicznych uciążliwości tego domu polegała na tym, że na parterze nie było toalety. Powłokłam się z powrotem po schodach i weszłam na korytarz. Zbliżając się do łazienki, zwolniłam kroku, bo z wnętrza dobiegł mnie szum bieżącej wody. Drzwi były leciutko uchylone. Na sekundę zawahałam się, po czym pchnęłam je i wymacałam ręką włącznik światła. W łazience zrobiło się jasno — zobaczyłam cieniutką stróżkę wody sącząca się z kurka. Podeszłam i zakręciłam kran, spojrzałam przy tym na siebie w lustrze. Coś jeszcze. Coś jeszcze było nie tak, lecz nie od razu to zarejestrowałam. Gałka na drzwiach. Stara porcelanowa gałka była ciepła, gdy jej dotknęłam. Odwróciłam się i dla pewności położyłam na niej dwa palce. Ciepła. Choć nikt nie dotykał jej od wielu godzin. Wzięłam głęboki oddech, rzuciłam siarczyste: „Cholera!” i zaczęłam badać pokoje na górze. Chociaż Hugh był piętro niżej, nie miałam najmniejszej ochoty na śledztwo. Wiedziałam jednak, że muszę je przeprowadzić. Nie mogę się bać tego domu, a tak właśnie się stanie, jeśli teraz dostanę pietra i ucieknę. Otwierając drzwi sypialni, przyłożyłam dłoń do klamki, żeby zbadać jej temperaturę. Była chłodna. Wszystko w normie. Sypialnia, gabinet Hugh, przyszyły pokój

dziecięcy były zastawione meblami i stertami pudeł. Nic ponadto. Żadnych ludzkich postaci skrytych w cieniu ani psów obgryzających kości. W pokoju Hugh uklękłam i sprawdziłam podłogę pod biurkiem, gdzie, jak twierdził, leżała kość. Zero.

I wtedy zrobiłam coś dziwnego, co w tym momencie wydało mi się słuszne. Pokłoniłam się nisko, dotykając czołem podłogi, i zaczęłam się modlić. A raczej, zwracając się do kogoś potężnego i odpowiedzialnego, powiedziałam: „Proszę, niech wszystko będzie dobrze. Proszę, byśmy byli bezpieczni”. Po czym zesłam na parter i zjadłam obiad z moim ukochanym.

Patrzyłam, jak na środku bibułki rozkwita wielki czerwony „+”. Chociaż wiedziałam, domyślałam się, wyczuwałam prawdę od wielu dni, fizyczny dowód rozpętał burzę w mojej głowie. Byłam w ciąży. Farmaceuta zapewnił, że te domowe testy dają zwykle dziewięćdziesiąt osiem procent pewności. Kupiłam test w aptece nieopodal antykwariatu. Wsadziłam go do torebki i nosiłam przez trzy dni, zbyt podekscytowana i przestraszona, aby go użyć. Za każdym razem, gdy wyciągałam go i czytałam załączoną instrukcję, obracałam w rękach opakowanie i potrząsałam nim przy uchu, jakby mogło mi coś zdradzić. W końcu wrzuciłam pudełko do torby, mówiąc: „Później”.

Zdarzyło się tak wiele dziwnych rzeczy — ciągle zawroty głowy, osłabienie, nudności wywołane aromatem kawy — że musiałam odkryć, co też się we mnie dzieje. Hugh miał w domu słownik objawów medycznych. Po przeczytaniu o objawach ciąży — zawroty głowy, zmęczenie, nudności — zatrzasnęłam książkę i przygryzłam dolną wargę. Co by powiedział, dowiedziawszy się, że to nastąpiło tak szybko po przeprowadzce, wśród zawirowań z Charlotte i dziećmi? Jak by zareagował?

W dniu, kiedy zdecydowałam się na zrobienie testu ciążowego, pojechaliśmy kolejką na Manhattan. Tuż za Spuyten Duyvil ostrożnie naprowadziłam naszą poranną pogawędkę na temat dzieci. Hugh przeglądał katalog Sotheby z rzadkimi instrumentami muzycznymi, które miały niebawem pójść pod młotek.

Zabębnił palcami w okładkę.

— Uwielbiam filmy Felliniego, a do moich ulubionych scen należą wielkie rodzinne uroczystości: ślub albo urodziny. Na pustym polu ustawia się stoły i wszyscy jedzą i piją, pysznie się bawiąc. Gdzieś tam gra kiepska miejscowa kapela, dzieciaki uganiają się za sobą. Zawsze jest wiatr i powiewa kolorową krepiną, balonikami, liśćmi... — Wypuścił powietrze na szybę okna, aż powlekleła się mgielką. Starł ją wierzchem dłoni — Czasami słychać przejeżdżający daleko pociąg. Kilka smętnych gwizdów. Chcę się znaleźć na takim przyjęciu z piątką moich dzieci ganiających w kółko. Objadły się ciastkami i nie mogą spokojnie usiedzieć. A może to moje wnuki, ja mam posiwiałe włosy i robię się senny od nadmiaru wypitego wina? Kocham Włochów. Te wielkie rodziny i dzieciaki. Kocham dzieci. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy je mieli. Oczywiście pod warunkiem, że ty też byś chciała.

Wpatrując się w czerwony krzyżyk, uprzytomniłam sobie, że nucę piosenkę Beatlesów *Baby You Can Drive My Car*. Obmyśliłam plan. Wsadziłam test do plastikowej torebki i wsunęłam ją do biurka. Następnie poszłam do sklepu monopolowego i kupiłam butelkę najlepszego szampana, jaki mieli. Z początku zamierzałam udać się do biura Hugh i sprawić mu niespodziankę, ale zdałam sobie sprawę, że na razie nie chcę, aby jego asystenci się dowiedzieli. Zadzwoiłam więc z pytaniem, czy możemy zjeść lunch. Ku mojej rozpaczy, Hugh odmówił. Całe popołudnie miał spotkania z klientami i mógł późno wrócić do domu. Niemal wyznałam mu wtedy, że jestem w ciąży, ale to byłby błąd. Przez telefon? To największe wydarzenie zasługiwało na specjalne traktowanie. Trzeba było jeszcze trochę wstrzymać się z obwieszczeniem.

Stałam na środku Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy z butelką szampana i najlepszymi wieściami w moim życiu, którymi nie miałam się z kim podzielić. Jaka szkoda, że moi

rodzice nie żyli.

Jakby nie dość tego, schludnie ubrana kobieta w średnim wieku, stojąca o trzy kroki ode mnie, zaczęła wrzeszczeć: „Ludzie, gdzie wy idziecie?!” — głosem zdolnym obudzić umarłych. W typowo nowojorski sposób przechodnie omijali ją szerokim łukiem, ale ja znieruchomiałam jak zahipnotyzowana. Z pięściami przyciśniętymi do policzków kobieta wyglądała jak postać z obrazu Edwarda Muncha. Rzecz jasna, zwróciła w końcu swoją uwagę na mnie — jedyne go widza jej występu. Otrząsnęłam się z transu, nie wiedząc, czy mam brać nogi za pas czy spieszyć jej z pomocą.

— Gdzie oni idą? — spytała błagalnie, jakbym „ich” znała lub też wiedziała, dokąd podążają.

Nadal wpatrywała się we mnie proszącym wzrokiem.

— Nie wiem. — Nic innego nie mogłam jej odpowiedzieć. — Musisz wiedzieć. Jesteś tu dłużej niż ktokolwiek z nas! — Po czym ruszyła prędkim, pijanym krokiem, który robił równie przygnębiające wrażenie jak wyraz jej twarzy.

Po upewnieniu się, że sobie poszła, wróciłam do budki i zatelefonowałam do Zoe. Zdążyłam wystukać połowę jej numeru, gdy przypomniałam sobie, że dwa dni wcześniej poleciała do Los Angeles, żeby zobaczyć się z Dougiem Auerbachem. Frances! Dzięki Bogu, Frances zawsze była w domu. Zgłosiła się po piątym dzwonku. Kiedy zapytałam, czy mogę ją odwiedzić, z radością zawołała: „No jasne!” Wstąpiłam do delikatesów i kupiłam kilka puszek pasztetu, rosyjski kawior, świeżutki francuski chleb i belgijską bombonierkę.

Kiedy złapałam taksówkę, słońce świeciło w pełnej krasie, lecz podczas drogi na przedmieścia niebo pociemniało gwałtownie i rozległ się grzmot. W chwili gdy lunął deszcz, ponownie zobaczyłam tę wariatkę. Przedtem utykała, zataczając się, a teraz maszerowała rażno i zdecydowanie, jakby mówiła: „Z drogi, śledzie, bo mi się spieszy!” Kompletnie nie przypominała siebie sprzed paru minut, gdy sterczała pośrodku chodnika, sprawiając wrażenie, jakby w jej głowie wylądowali kosmici. Spoglądała prosto przed siebie, pracując na przemian rękami: lewa–prawa, lewa–prawa. Raz–dwa, raz–dwa. Kiedy jednak ją wyprzedzałam, jej głowa obróciła się nagle w moją stronę. Kobieta uniosła rękę i pogroziła mi wymownie palcem. Zaszokowana odwróciłam wzrok. Srebrzyste strugi deszczu spływały po szybach. Jezdnia lśniła gładką czernią. Samochody mijały nas z sykiem opon. Wszędzie było widać parasole. Korciło mnie, by jeszcze raz na nią spojrzeć, ale strach zwyciężył. Przez resztę drogi starałam się mieć zamknięte oczy. Wsłuchiwałam się w krople deszczu i stukot opon wpadających w koleiny. Myślałam o dziecku. Myślałam o Hugh.

Po przybyciu pod wskazany adres zapłaciłam taksówkarzowi, a potem pobiegłam przez dziedziniec ku skrzydłu budynku, gdzie mieszkała Frances. Deszcz przemoczył torby z jedzeniem, czułam, jak papier rozłazi mi się w rękach. Przystanąłam na półpiętrze i rozpakowałam upominki. Obejmując je obiema rękami, ponownie ruszyłam w górę schodów. Nie były ciężkie, a mimo to okazały się ponad moje siły. Zrobiło mi się słabo i spościłam się jak mysz. Z trudem usiadłam na stopniu, próbując się nie wywrócić. Położyłam jedzenie i ujęłam głowę w ręce. Czy tak wygląda ciąża? Dziewięć miesięcy absolutnego szczęścia, a potem nagle poczucie, że lada moment fikniesz kozła? Zazwyczaj budynek był gwarny niczym stacja kolejowa. Dzieciaki biegały z wrzaskiem po schodach, psy ujadły, radia i telewizory buczały głośno. Dzisiaj natomiast było zupełnie cicho, nie licząc deszczu kapiącego na dworze. Siedziałam na zimnym schodku i usiłowałam powstrzymać ogarniającą mnie falę słabości, tak abym mogła pójść do Frances i podzielić się z nią radosną wiadomością.

To samotne siedzenie było zarazem całkiem miłe: słyszałam, jak deszcz brzdąka o metal, pluszcze na kamieniach, gulgocze w rynnach. Nigdy nie uświadamiałam sobie tego bogactwa deszczowych dźwięków. Dotąd padający deszcz był dla mnie czymś, przed czym się umyka lub co się obserwuje rozmarzonym wzrokiem przez szybę. Znajomy świat stawał się mokry,

łśniący, obcy — po czym zapominało się o nim aż do następnego deszczu. Teraz jednak, otoczona wyłącznie deszczowym szmerem, rozróżniałam coraz subtelniejsze odgłosy: deszcz na drewnie, spływający po szybie, krople uderzające o siebie. Tak, wyłowiłam także ten dźwięk, choć był on skryty, najbardziej tajemniczy.

Uniosłam głowę i powiedziałam na głos: — To niemożliwe. Nikt nie jest w stanie tego usłyszeć. — Ale ja słyszałam już również toczące się rozmowy, kanały zmieniane w telewizorze, głośnie siusianie w toalecie. Mało tego, potrafiłam d o k ł a d n i e określić każdy z tych dźwięków. Szuranie nóg na podłodze, kocie mruczando, człowiek oblizujący spierzchnięte usta, obcinanie paznokci u nóg.

Rozejrzałam się, aby sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu otworzono drzwi. Nie. Tylko plucha i bezlitosna kaskada zalewających mnie dźwięków. Zza zamkniętych drzwi, z mieszkań oddalonych o dwadzieścia czy trzydzieści stóp. Hałasy, których nie powinnam — nie miałam prawa — słyszeć w miejscu, gdzie siedziałam.

Z tyłu, w jednej z sypialni, leżało w łóżku dwóch małych chłopców; jeden szeptał do ucha drugiemu, przykrytemu tak jak on kołderką. Gdzie indziej zmywająca naczynia kobieta nuciała cicho piosenkę płynącą z radia. *The Chapel of Love* zespołu Dixie Cups. Słyszałam szum ozonowanej wody w zlewozmywaku, pisk gąbki na szkle, cichy, melancholijny głos kobiety.

— Dobrze cię bzykam. Wiesz, że dobrze cię bzykam.

— Zerznij mnie o s t r o !

Słyszałam ich pojękiwania, oddechy, cmoknięcia ust, dłonie przesuwające się po skórze. Słyszałam wszystko. Ale gdzie byli ci ludzie? Jak to możliwe?

Wstałam. Nie chciałam tego słuchać. Mimo to dźwięki nie ustały. Na ulicy wciąż szumiąły i trąbiły samochody, w piwnicy terkotała rura ciepłika, na parapecie gruchały gołębie, jedzenie skwierczało, ludzie krzyczeli na siebie. Jakaś staruszka modliła się żarliwie: „Boże, wiesz, jak się boję, a Ty mi nic nie pomagasz”. Wszystkie odgłosy deszczowego dnia na Manhattanie rozbrzmiewały tuż przy mnie, a ja nie potrafiłam ich uciszyć. Zatkanam uszy i potrząsnęłam głową na boki jak przemoczony pies. Na chwilę świat zamilkł i znów powróciła cisza. Piękna, pusta cisza.

Wtedy jednak rozległ się dźwięk zagłuszający wszystkie inne. Moje serce. Powietrze i świat wokół mnie wypełniły się ciężkim, głuchym biciem mojego serca. Przerazona mogłam jedynie stać i słuchać. Najgorszy był nieregularny rytm: bum, bum, bum, potem długie sekundy absolutnej ciszy. Serce uderzało parę razy, to znów ustawało, pracowało nierówno, bezładnie, kapryśnie. Biło, kiedy chciało. Potem nagle wyłączało się. Było grymaśne. Ale było to moje serce, podobno najsolidniejsza maszynka pod słońcem.

Wiedziałam, że chodzi o mnie, gdyż całe życie cierpiałam na arytmieję. Kilka lat wcześniej sytuacja stała się na tyle poważna, że spędziłam dobę w szpitalu, gdzie zrobiono mi badania i na dwadzieścia cztery godziny podłączono mnie do elektrokardiografu.

Najgłośniejszy huk, jaki kiedykolwiek słyszałam, na przemian to pulsował, to cichł, bez żadnej widomej prawidłowości. Może serce wykona następne uderzenie. A może nie. — Miranda? Co się stało?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim zdołałam skupić uwagę na jej głosie i twarzy. Frances stała kilka stopni nade mną. Miała na sobie czerwony szlafrok i bambosze tego samego koloru, wskutek czego jej śnieżnobiała skóra jaśniała w mroku klatki schodowej.

— Źle się czujesz, kochanie?

Jej głos sprawił, że oprzytomniałam. Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam. Frances powoli ruszyła w dół. Dotarłszy do mnie, położyła rękę na moim łokciu.

— Siedziałam przy oknie i widziałam, jak wchodzisz. Zaniepokoiłam się, kiedy długo nie dzwoniłaś.

Pomogła mi sforsować resztę schodów. Nie wiem, czy bez niej dostałabym się na górę.

— To moja wina.

— Nie wygłupiaj się, Frances. Chyba że to ty wpakowałaś mnie w te dziwy. — Usiłowałam przybrać żartobliwy ton, ale moje słowa zabrzmiały dość żałośnie.

— Nie rozumiesz. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje. — Frances zaczęła przechadzać się po pokoju.

Wszystko jej opowiedziałam. Począwszy od dnia, w którym ujrzałam ducha Jamesa Stillmana, a skończywszy na niewytłumaczalnych odgłosach, które słyszałam w korytarzu jej budynku. Gdy tylko język mi się rozwiązał, cała historia wyskoczyła ze mnie jak zwierzę, które zbyt długo więziono w klatce. Starczyło wymienić wszystkie te dziwne zdarzenia, aby moje samopoczucie się poprawiło. W trakcie mojej opowieści Frances milczała. — O tym, że jesteś w ciąży, wiedziałam już tego dnia, kiedy wybraliśmy się w trójkę do Crane's View — odezwała się wreszcie. — Nie wiem, czy pamiętasz: kiedy dojechaliśmy do mojego domu, stanęłam na werandzie i poprosiłam, żebyście oboje weszli do środka, a mnie zostawili samą. — Pamiętam. Hugh mi o tym wspomniał.

— Nie chciałam ci pokazywać twarzy, bo jej wyraz mógłby mnie zdradzić. Właśnie wtedy się zorientowałam.

— W jaki sposób, Frances? Czytasz w ludzkich myślach? Pokręciła głową.

— Nie, ale w młodości, gdy żyłam w Rumunii, poznałam różnych ludzi. Przedstawił mnie im Shumda, nauczyli mnie kilku sztuczek. To największy błąd mojego życia: chcieli dać mi znacznie więcej, lecz ja nie byłam tym zainteresowana. Nie do wiary. Szczyt głupoty. Shumda był Rumunem. Wychował się na wsi, a dla wieśniaków magia to codzienność. Tak zresztą powinno być. Tylko my uważamy inaczej, bo jesteśmy tak wyrafinowani i sceptyczni, że patrzymy z góry na te prostackie czary-mary. Ale inny świat istnieje, Mirando. Większość z nas nie chce się do tego przyznać, ponieważ się boimy. Obawiamy się utracić kontrolę. Lecz nie uda nam się go tak łatwo zbyć. Chciałabym ci coś przeczytać. — Podeszła do stolika i wzięła jeden z licznych notatników, które leżały w całym mieszkaniu. Nazywała je „dziennikami”, zapisywała w nich myśli i cytaty z książek, które zapadły jej w pamięć. Otworzyła notatnik i zaczęła go wertować. — O tutaj, posłuchaj: „Może to, co przychodzi skądinąd, popchnie mnie do szaleństwa; może ów niewidzialny świat ma naturę demoniczną i winno się go wykluczyć. Czego nie widzę, tego nie wiem; czego nie wiem, tego się lękam; czego się lękam, tego nienawidzę; czego nienawidzę, to chcę zniszczyć”.

— Ależ, Frances, ja wierzę w magię. Zawsze w nią wierzyłam. Tyle że do tej pory nie miałam z nią do czynienia. Naprawdę już wtedy wiedziałaś, że jestem w ciąży? Skąd?

— Po zapachu. I po barwie opuszek twoich palców.

— A jak pachnie ciężarna kobieta?

— Jak nadzieja.

Uśmiechnęłam się, czując się podniesiona na duchu.

— Potrafisz wyczuć zapach nadziei?

Skinęła głową.

— Trzeba go znać.

— A co z opuszkami palców?

— Przyjrzyj się im.

Spojrzałam na lewą rękę, ale nic na niej nie dostrzegłam. Po chwili wstrzymałam głośno oddech. Koniuszki moich palców mieniły się kolorami chmur. Jak gdyby silny wiatr przeganiał mgliste chmurki po niebie — białe, szkarłatne, pomarańczowe. Sunęły po moich palcach w rozwianym welonie. Barwy nawałnic, świtów i zmierzchów. Wszystkie naraz przelatywały mi przez końce palców.

Przypuszczam, że nie tylko wstrzymałam oddech, ale też wydałam jakiś inny odgłos, bowiem kolory rozwiały się nagle, a moje palce odzyskały swoją normalną barwę. Ciągłe jednak gapiałam się na dłoń. Kiedy wreszcie przeniosłam wzrok na Frances, spoglądałam na

nią jak na inną osobę.

— Oto, c o zobaczyłam, kiedy przyjechaliśmy do Crane's View. Ta umiejętność wymaga treningu. Pokazałam ci to, ponieważ chciałam, abyś mogła się przekonać na własne oczy.

— Wszystkie kobiety to mają? Na palcach? Kiedy zajdą w ciążę?

— Tak.

— I ty posiadałaś tę umiejętność w Rumunii?

— Między innymi.

— Co jeszcze, Frances? Co jeszcze potrafisz?

Westchnęła donośnie.

— Niewiele. Byłam zbyt młoda, by docenić pożytek płynący z ich nauk. Wiedza gonila mnie, a ja skutecznie się jej wymykałam. Podlotka interesują wyłącznie salonowe sztuczki, Mirando. Chce zaimponować ludziom albo wetknąć nogę w drzwi. A jednak ci ludzie, pochodzący z różnych sfer, byli gotowi uczyć mnie cudów, dlatego że byłam z Shumda. Gdybym tylko miała więcej cierpliwości i wytrwałości! Spotkałam kapłana jazydów, ludzi z Bractwa Sarmun... Nie do wiary, kogo znałam w Rumunii. Co z tego, skoro nie przyswoiłam sobie ani krztyny ich wiedzy. Młodzi są jak guma — zaimpregnowani na mądrość. Shumda zwał mnie bimba viziata, „zepsute dziecko”, i miał rację. — Ponownie westchnęła i potarła ręce o uda. — Na stare lata człowiek zbyt często gada z cieniami. Stare wspomnienia, zadawnione żale. Mogłam się tyle nauczyć, kiedy byłam młoda, lecz nie wykorzystałam swojej szansy. Co nieco jednak wiem. Wiedziałam, że jesteś w ciąży. Wiem też, że to, co teraz przeżywasz, jest jej następstwem.

— A duch Jamesa? A hałasy, które słyszałam na korytarzu? Mały chłopiec w naszym domu?

— Nie sposób ich uniknąć. Uwierz mi, Mirando, musisz przez to przejść. W twoim życiu zajdzie wkrótce ogromna zmiana, a wszystkie te zdarzenia stanowią jej uwerturę.

Podeszła do mnie, położyła ręce na moich stężonych z napięcia ramionach i ucałowała mnie w czubek głowy. Nigdy przedtem tego nie zrobiła.

Gdy wróciłam do Crane's View, deszcz przestał wprawdzie padać, ale niebo zasnulo się czarnymi chmurami. Wsiadłszy z pociągla, stałam na peronie i gapiłam się w skłębiony przestwór, przywołując w pamięci chmury na moich palcach i to, co zaszło w mieszkaniu Frances. Choć dzień był długi i męczący, postanowiłam przejść milę od stacji do naszego domu na piechotę. Potrzebowałam ruchu. Powietrze tchnęło upojną świeżością, jak zawsze, gdy na wsi spadnie deszcz.

Idąc, wciągając w płuca gęste powietrze, zastanawiałam się nad tym, co powiedziała mi Frances. Raz po raz słyszałam jej słowa: „Inny świat istnieje” — jak zegar wybijający godzinę dwunastą. Stało się: ów obcy świat nałożył się na mój świat. Muszę się z tym pogodzić i pójść tam, dokąd mnie zaprowadzi. Jak to wpłynie na mój związek z Hugh? A na nasze dziecko? Frances opowiedziała mi o pewnym nudziarzu, który ni stąd, ni zowąd, w połowie życia odkrył, że potrafi dostrzec, jak ludzie będą wyglądać na stare lata. Człowiek ten przez resztę życia musiał żyć z tym... darem? Klątwą? Jak byś to określił? Inny mężczyzna rozwinął w sobie przerażająco nieomylną zdolność wróżenia z dłoni. W końcu jednak ów „szczęśliwiec” postradał zmysły, gdyż doszedł do stanu, w którym nie widział nic poza dłońmi i przesądzonymi z góry losami, jakie spotkają ludzi.

— Podrzucić? Wydajesz się zmęczona. Podniosłam wzrok i zobaczyłam szefa policji McCabe'a opartego o dach swego auta, które stało na parkingu przed piekarnią. W jednym ręku trzymał drożdżówkę, w drugim kartonik mleka.

— Dziękuję, nie. Właśnie wysiadłam z pociągu i mały spacer dobrze mi zrobi. Ale mam pytanie.

Wyszczerzył zęby i skinął głową.

— Nie chcesz, żebym cię podrzucił, ale masz pytanie. Okay. Wal śmiało.



— Czy znałeś kiedyś kogoś, kto byłby obdarzony niezwykłymi zdolnościami? Nie wiem, przepowiadał przyszłość albo czytał z ręki, coś w tym stylu?

Nie wahał się.

— Moja babka. Przerazająca osóbka. Zawsze wiedziała, kiedy człowiek łże. Weszła do rodzinnej legendy. Nigdy jej nie okłamywaliśmy, bo i tak znała prawdę. Kiedy skłamałeś, dostawałeś po głowie. Kłamstwo — BĘC przez łeb! Kiedy byłem mały, rąbnęła mnie chyba z tysiąc razy! Musiał być ze mnie nie lada spryciarz, co? Ale czemu pytasz?

Nie zdążyłam dobrze poznać McCabe'a, przez moment jednak miałam ochotę powiedzieć mu o wszystkim. Może obfitujący w zdarzenia dzień sprawił, że po prostu potrzebowałam przyjaciela.

— Tak samo Frances Hatch. Ona też łapie czasem dziwaczne kanały.

Krótkofalówka w jego aucie szczeknęła i McCabe pochylił się, nasłuchując. Nie mogłam rozszyfrować słów.

— Muszę lecieć. Ktoś rozrabia na Skidmore Street. — Wepchnął resztkę drożdżówki do ust i z mlekiem w ręku wszedł do samochodu.

Odjechał, nim zdążyłam coś powiedzieć. Chodziło o Japonkę, niejaką panią Hayashi. Nie widziałam jej przedtem. Zażyła za dużo tabletek i halucynacje doprowadzały ją do obłądu. Hen wysoko, w otwartych oknach, stały jej dzieci i radośnie machały do niej na dole. Pa, pa, mamusiu! Potem — jedno po drugim — skoczyły. Pani Hayashi patrzyła, jak ich spadające ciała rozbijają się tuż przed nią na ziemi. Widziałam jej twarz, rozdziawione usta wołające zdrowe zmysły na pomoc.

Poruszeni sąsiedzi zgromadzili się przed jej małym domkiem na Skidmore Street i patrzyli przez okno, jak kobieta tarza się po podłodze, rwąc sobie włosy z głowy i wydzierając się w niezrozumiałym języku.

Widziałam.

Pięć godzin później przyszedł Hugh. Był blady i zmizerniały. Wszedł do pokoju gościnnego i z cichym stęknieniem usiadł na nowym krześle. Przyniosłam mu drinka i spytałam, czy mogę coś dla niego zrobić. Bez uśmiechu pocałował mnie w rękę i zaprzeczył. Biedaczyna spojrzał na mnie zmęczonymi oczami i przeprosił, że nie mógł zjeść ze mną lunchu. Miał okropny dzień. Umowa na skrzypce Guadagniniego nie doszła do skutku. Pokłócił się z asystentami. Zadzwoiła Charlotte i zaczęła mu czynić wyrzuty.

Przysiadłam obok niego na podłodze i ułożyłam głowę na jego kolanach. Miałam mu do przekazania cudowne wieści, ale jeszcze nie teraz. Po kolacji. Zamierzałam upitrasić arcydzieło sztuki kulinarnej. Po kolacji poprawią się nam humory, dzień znów będzie należał do nas — i nadejdzie właściwy moment na niespodziankę. Wtedy.

Siedzieliśmy w ciszy. Znowu zaczęło śpiąć. Kiedy Hugh przerwał milczenie, jego głos brzmiał apatycznie i monotonna, jakby został wyprany z wszelkich barw.

— Wiesz, co lubię? Zostawiać latem otwarte okna w sypialni i kłaść się spać. Czujesz wtedy, jak bryza dmucha ci w twarz. Już, już zapadasz w sen, wiatr wzmaga się, ale jesteś tak senny, że nic ci się nie chce. Potem w środku nocy budzi cię nagle głośny huk. Na dworze szaleje wichura i wszystkie okna trzaskają w ramach. Jakby były brawo. Jakby przyklaskiwały rozpetanej burzy. No więc zwlekasz się z łóżka, śpiący, ale podekscytowany, obchodzisz pokoje i zamykasz okna. Wszystko mokre, ściany, podłoga... Kiedy spałeś, burza wtargnęła do domu. Najprzyjemniej stoi się w otwartym oknie i moknie na deszczu. Kładę ręce na parapecie i wychylam głowę. Wiatr szarpie, świat sroży się i grozi. Jest trzecia nad ranem i nikt oprócz ciebie tego nie widzi. Tylko ty. Cały ten spektakl rozgrywa się wyłącznie dla ciebie.

Chwyciłam Hugh za nogę i mocno ją objęłam. Jego ręka spoczęła na mojej głowie, mierzwiąc mi włosy. Przez kilka minut żadne z nas się nie poruszało. Jedynie szum wiatru na

zewnątrz zmieniał się. Ręka Hugh zastygła w bezruchu. Deszcz słabł stopniowo, aż w końcu również on ustał. Wszystko stanęło w gęstej jak futro ciszy. Mimo niespodzianek i napięcia tego niesamowitego dnia upływające minuty przyniosły mi największy spokój i spełnienie, jakich kiedykolwiek doznałam.

Kiedy wreszcie poruszyłam się, żeby wstać — gdyż bolały mnie plecy, gdyż trzeba było zrobić kolację, gdyż po niej miałam powiedzieć Hugh o naszym dziecku — jego ręka zsunęła się z mojej głowy. Zobaczyłam, że Hugh śpi.

Nie żył.

## CZĘŚĆ DRUGA

## RACHUNEK GRZECHÓW

Trzy dni po pogrzebie zobaczyłam go ponownie.

Stojąc przy zlewie, wyrzłam przez kuchenne okno na małe podwórko za domem. Nie czułam własnego ciała. Właściwie nie czułam już nic. Od śmierci Hugh żyłam w kompletnym odrętwieniu i było mi z tym dobrze.

Zdumiało mnie nie poczucie straty, ale — wręcz odwrotnie — nagły przyrost utrapień. Na przykład czasu: gdyby Hugh żył, robilibyśmy to czy tamto. Wspólnie. Teraz nie zostało mi nic do zrobienia. Gdyby żył, uczyniłabym to czy tamto dla niego. Teraz zaś nie miałam nic do roboty. Gdyby żył, tobym go dotykała, rozmawiała z nim, wiedziała, że jest w sąsiednim pokoju... Wielość możliwości była straszna, nieskończona.

Podobnie jak przestrzeń wokół mnie. Przestrzeń naszego nowego podwójnego łóżka, domu, życia, które ledwie zaczęliśmy. Fotel Hugh świecił pustkami, w szafie stały na baczność puste buty, a na stole leżało tylko jedno nakrycie.

Cisza stała się wręcz namacalna, dni dłużyły się niemiłosiernie, noce straciły wyraz. Przedmioty Hugh nabrały raptem niemal religijnego znaczenia: kubek do kawy, brzytwa, ulubiony przepis kucharski, program telewizyjny, kolor, drzewo. Patrzyłam na jego pudła opatrzone dziwnymi nazwami. „Hotel Tarzana”. Czasami dotykałam jakiegoś przedmiotu. Jedne były gładkie, inne miały ostre krawędzie. Srebrny scyzoryk z wyszczerbionym ostrzem, na którym widniał napis „Sarajewo”. Malinowa czapka bejsbolowa z nadrukiem „Earlham”. Tomik poezji pod tytułem *Nieznany Rilke*. Przewróciłam dwie stroniczki i — o zgrozo! — przeczytałam całą zwrotkę, od początku do końca, zanim uzmysłowiłam sobie jej sens:

Teraz budzimy się pełni wspomnień,  
stając wobec tego, co było; szeptana słodycz,  
która ongiś przenikała nas na wskroś,  
siedzi milcząco obok, z rozpuszczonymi włosami.

(*Nieznany Rilke, tłum. Franz Wright, Oberlin Colege Press, 1990*)

Inny karton zawierał część patyków, które Hugh zebrał do kolekcji. Gdy tylko je zobaczyłam, momentalnie wyszłam z pokoju.

Szukałam w pamięci tego, co powiedział — opinii, poglądów, żartów — uwag rzuconych ad hoc lub na serio. Cokolwiek. Spisałam je, chcąc zachować, dla mnie i dla naszego syna, wszelkie możliwe ślady po Hugh Oakleyu. Przez wiele godzin siedziałam w jego fotelu, starając się przypomnieć sobie wszystko. Było to jednak jak zbieranie ryżu, którego cały worek rozsypał się na białej, dziurawej podłodze. Wiele ziarenek stało się niewidzialnych.

Ściskając w rękach szklankę wody, stałam przy kuchennym oknie i gapiłam się na podwórko. Zdałam sobie sprawę, że się uśmiecham, bo o czymś sobie przypominałam: Hugh oznajmił kiedyś, że powinniśmy zasadzić tam dynie i słoneczniki — klauny z królestwa kwiatów. Jak można nie pęć ze śmiechu na widok dyni? Jak można nie uśmiechnąć się do słonecznika? Upiłam nieco wody, czułam, jak płyn chłodzi mi gardło. Przyłożyłam szklankę do czoła i potarłam skórę. Zadzwoił telefon — zamknęłam oczy. Kto tym razem? Co mam powiedzieć? Dajcie mi, ludzie, święty spokój. Czemu mi się naprzykrzacie? Otworzyłam oczy.

Na podwórku, dwadzieścia stóp dalej, stali Hugh i mały chłopiec, którego ujrzałam podczas pierwszej wizyty w domu. Telefon ciągle dzwonił. Hugh wyglądał identycznie jak w dniu, kiedy umarł. Miał na sobie te same rzeczy: ciemne spodnie, białą koszulę, błękitną tweedową marynarkę, którą tak lubił. Telefon nie dawał za wygraną.

Przez dzwonek przedarł się jakiś stukot. Nie wiedziałam, co to jest, dopóki nie spojrzałam w dół, na moją drżącą dłoń. Szklanka wody wybijała werbel o krawędź zlewozmywaka.

Chłopiec odwrócił się i uklęknął. Pstryknęła automatyczna sekretarka. Usłyszałam swój spokojny głos recytujący stary wstęp:

— W tej chwili nie ma nas w domu, proszę zostawić wiadomość...

Z trudem panując nad drżeniem rąk, podniosłam okno i zawołałam Hugh. Krzyczałam, płakałam, szeptałam, sama już nie wiem, jak to brzmiało. Hugh spojrzał na mnie i kiwnął ręką, jakbym wołała go na obiad, on zaś odpowiadał, że za chwilę się zjawi. A więc mnie słyszał! Naprawdę tam był! Nie żył, a jednak był.

Tak mocno przykuł moją uwagę, że zapomniałam o chłopcu. Nie zauważyłam, kiedy podniósł kamień i rzucił nim we mnie. Trafił mnie w twarz. Jęknęłam i zatoczyłam się. Rękoma zakryłam oczy, spomiędzy palców bryzgnęła mi ciepła krew. Potknęłam się o coś z tyłu i przewracając się, wykręciłam sobie nogę w kostce. Wyciągnęłam rękę, by zamortyzować upadek, lecz była tak umazana krwią, że poślizgnęła się na posadzce. Z impetem uderzyłam głową o podłogę.

Leżałam na boku, mrużąc oczy i próbując się ocknąć. Świat niemal stanął w miejscu. Krew zalała mi oczy, za nic nie mogłam ich otworzyć. Strasznie kręciło mi się w głowie. Leżałam bez ruchu i wsłuchiwałam się w swój przyspieszony oddech. Wreszcie otarłam krew z twarzy i otworzyłam oczy. Zobaczyłam leżący na podłodze kamień. To o niego się potknęłam. Wielki, brązowo-srebrzysty odłamek skały leżał na kuchennej podłodze. Pamiętam, że przebiegło mi wtedy przez myśl: Co tutaj robi ten kamień?

I coś jeszcze: gdzieś niedaleko śmiało się dziecko. Nic z tego nie rozumiałam. Spróbowałam skoncentrować się na poszczególnych czynnościach — obtarciu krwi z twarzy, przejrzaniu, odzyskaniu równowagi. Rzeczywistość skrzywiła się, a ja nie byłam w stanie jej wyprostować. Zewsząd otaczał mnie dziecięcy śmiech. Stanowił jedyny pewny punkt odniesienia.

— Co się pani stało? To paskudna rana.

— Upadłam.

Lekarka przestała się wiercić, po raz pierwszy od chwili, gdy weszłam do gabinetu. Brzydka, ostrzyżona na mnicha kobieta, zwięzła oczy w szparki.

— Upadła pani?

Miała na dłoniach białe gumowe rękawiczki. Wskazała palcem opasujący mi głowę bandaż.

— Nie wygląda mi to na upadek, panno Romanac. Czy aby na pewno?

Jej uśmiech trwał najwyżej sekundę. Obie wiedziałyśmy, co myśli.

— Wygląda, jakby uderzono panią czymś ciężkim i ostrym. — Jej głos podniósł się oskarżycielsko na ostatnim słowie. Surowa twarz była gotowa się rozgniewać. Jeśli nie wyznam jej całej prawdy, to odczuję ten gniew na sobie. Poruszała się i odzywała z niewyszukaną pewnością siebie sędziego, który ogłasza wyrok śmierci. Cieszyłam się, że nie znam tej osóbkki.

Zaczęłam kręcić przecząco głową, ale natychmiast zabolął mnie kark, więc urwałam.

— Szyja też mnie boli.

Położyła na niej rękę i łagodnie ucisnęła ją palcami.

— No tak. To albo wstrząs poupadkowy, albo skręciła ją pani nienaturalnie i naciągnęła sobie mięsień. Za kilka dni ból na pewno ustąpi. Najbardziej martwię się tym. — Znów wycelowała w moje czoło. — Nieczęsto widzi się taką ranę w wyniku upadku.

Zaczerpnęłam oddech i wolno wypuściłam powietrze w ostentacyjnie długim wydechu.

— Nikt mnie nie uderzył, pani doktor. Okay? Jestem sama. Mężczyzna, z którym mieszkałam, umarł parę dni temu.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się. Lekarze z izby przyjęć znają na pamięć wszystkie kłamstwa i bajeczki, jakie wymyśliła ludzkość.

— Przepraszam, ale tego typu rana wskazuje zwykle na pobicie. Mogłabym wytłumaczyć pani techniczną stronę zagadnienia, ale to nie jest konieczne. Czy przyjmuje pani jakieś leki?

— Nie. Dostałam valium, ale go nie biorę.

Podeszła do biurka i zaczęła gryzmolić coś w bloczku recept.

— Zapiszę pani środek rozluźniający napięcie mięśni karku i leki przeciwbólowe. Spotyka się pani z psychiatrą albo terapeutą? Bywają bardzo pomocni, kiedy traci się kogoś bliskiego.

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Nie spotykam się z terapeutą, ale od czasu do czasu widuję się z duchami. Jeden z nich rozłupał mi nawet głowę kamieniem”. Ale zamiast tego odparłam:

— Dziękuję za troskę, pani doktor. Czy będę musiała tutaj wrócić?

— Tak. Za tydzień zdejmnę pani szwy.

Choć podniosłam się bardzo ostrożnie, zahuczało mi w głowie, a po moim karku przebiegł ostry ból. Chciałam jak najprędzej wynieść się z tego pokoju, oddalić się od tej agresywnej, natarczywej kobiety — znowu wyjść w świat. Pragnęłam znaleźć się na ulicy.

— Mamy też wyniki pani próby ciążowej i ultrasonogramu, panno Romanac. Są pozytywne.

Zwrócona plecami do lekarki, chciałam obrócić głowę, ale nie pozwolił mi na to ból. Odwróciłam się i stanęłam do niej przodem. W zasadzie nie było o czym mówić. Już wcześniej wiedziałam, że jestem w ciąży, próbę w szpitalu zrobiłam jedynie dodatkowo. Wiedziałam o tym w dniu, w którym zmarł Hugh, ale nie zdążyłam go poinformować. To było najgorsze. Gorzej już być nie mogło.

— W tej sprawie też mogłaby pani porozmawiać z naszym psychologiem.

Nie pojmowałam, o co jej chodzi. Widocznie dostrzegła ów znak zapytania na mojej twarzy, bo zacisnęła usta.

— W sprawie dziecka. Skoro pani towarzysz nie żyje, być może zechce pani rozważyć przerwanie...

Zorientowałam się, co ma na myśli, nie tyle z samych słów, ile z tonu jej głosu.

— Urodzę to dziecko, pani doktor. Czy mogę już wyjść?

— Nie chciałaby się pani dowiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

Ruszyłam w stronę drzwi.

— Ja już wiem. To chłopiec.

Jej głos zabrzmiał wyniośle i lekceważąco:

— Przeciwnie, dziewczynka.

Mój ukochany robił przepyszne kanapki. Uwielbiał gotować, ale w kanapkach prześcigał samego siebie. Pielgrzymował do specjalnych piekarni na Manhattanie po to, by kupić najlepszy kalifornijski chleb, austriacki *Dreikornbrot*, włoską *foccaccia*. Eksperymentował z różnymi składnikami i przyprawami, takimi jak piri piri, wasabi czy mango. Najpierw powlekał pieczywo cieniutką warstewką specjalnie przygotowanej „mikstury” i lekko je podgrzewał. Posiadał najbardziej ozdobny i złowrogi komplet japońskich noży kuchennych, jakie kiedykolwiek widziałam. Myślę, że ich ostrzenie i poświęcona im troska sprawiały mu nie mniejszą radość niż posługiwanie się nimi w kuchni.

Oto, co zaprzętało mi myśli, kiedy w godzinę po powrocie ze szpitala otworzyłam lodówkę, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Jednego dnia zmarł. Cztery dni później został pochowany. Trzy dni potem zobaczyłam go na naszym podwórku w towarzystwie nie narodzonego dziecka. W sumie okrążyły tydzień. Minał tydzień, odkąd odkryłam, że jestem w ciąży, i od kiedy zmarł Hugh.

Na półeczce leżał gruby plaster sera Fontina, jego ulubiony gatunek. Miał zwyczaj odkrawać kawałek i kłaść go na otwartej dłoni, po czym kazał mi patrzeć — podziwiać owe

serowe arcydzieło. Parę kunsztownych przysmaków Hugh oraz jabłko. Mam nadzieję, że mi nie zaszkodzą. Kolacja. Dawno nie miałam nic w ustach. Wprawdzie nie byłam głodna, ale musiałam odtąd jeść w miarę regularnie. Dla dobra dziecka. Dziewczynki, którą nosiłam pod sercem. Nieważne zresztą, dziewczynka czy chłopiec — było to dziecko Hugh i miałam zamiar karmić je każdą komórką mojego ciała.

Nie bałam się samotności w kuchni. Godzinę wcześniej, gdy otworzyłam frontowe drzwi i przekroczyłam próg, obleciał mnie strach, ale teraz już minął. Zapaliłam światła w całym domu i przechadzałam się między pokojami. Raz po raz pytałam głośno, nazbyt głośno: „Jest tam kto?”, żeby wypełnić otaczające mnie pustkę i ciszę. Po upewnieniu się, że w pokojach nikogo nie ma, poczułam się lepiej. Udało się mi nawet wyrzeć przez kuchenne okno na podwórze za domem. Skrywały je ciemności nocy i niczego nie było tam widać.

Włączyłam radio. Z radością usłyszałam ostatnią część *Köln Concert* Keitha Jarretta, jedną z moich ulubionych kompozycji. Nakryj do stołu i przekaś coś, żebyś miała siłę. Wyjęłam kanarkową serwetkę z szuflady i wielki niebieski talerz z kredensu.

Lodówka była pełna artykułów Hugh: włoska kawa „Lavazza”, którą tak lubił, ognisty sos jamajski, którym podlewał kawałki suszonego kurczaka, olej sezamowy, marynowane limony. Wiedziałam, że każdy z nich może złamać mi serce, jeżeli będę się nad nimi zbyt długo zastanawiać. Była pora kolacji, a ja miałam plasterki sera i jabłko. Wyciągnij je. Zamknij drzwi. Pamiętaj, aby wyczyścić lodówkę, dzięki temu przestaniesz się na nie co chwila natykać.

Koncert Jarretta dobiegł końca i popłynął jakiś zgrzytliwy jazz. Wyłączyłam radio. Cisza natychmiast wezbrała wokół mnie ogromną falą, toteż czym prędzej włączyłam mały telewizor stojący na kuchennym stole. Hugh kochał telewizję, bez żenady oglądał wszystkie reklamy, kręgle, głupawe sitcomy. Dziwne, ale zawsze przy tym stał, nawet jeśli musiał robić to przez wiele godzin. Z początku czułam się trochę niewyraźnie, kiedy tak sterczał koło mnie, ale po trochu do tego przywykłam.

Życie z drugim człowiekiem polega na tym, że zaczyna się lubić jego dziwactwa. Hugh Oakley spał niekiedy w skarpetkach, zielonym atramentem robił notatki na palcu wskazującym, nie ufał kuchenkom mikrofalowym oraz oglądał telewizję na stojąco.

Przerzucając kanały, pomyślałam o pudle Hugh „Hotel Tarzana”, o tym, że podobało mu się, iż nie wie, co jest w środku. Pewnego razu stwierdził: „Nigdy nie próbuj chronić się przed deszczem, idąc blisko budynku. Zawsze oberwiesz największymi kroplami, które spadają z dachu”. Wciąż napływały do mnie nowe myśli, wspomnienia, obrazy.

Ich prąd z pewnością by mnie porwał, gdyby przenikliwy gwizd w telewizorze nie zaczął grać *Ring's End Rose*, wesołej irlandzkiej piosenki, którą Hugh uwielbiał. Zanim skupiłam wzrok na ekranie, by zobaczyć, z jakiej okazji brzmi owa pieśń miłosna, pomyślałam, że odtąd wszystko — chyba już na zawsze — będzie mi się kojarzyć z Hugh Oakleyem. Lepiej, abym się do tego przyzwyczaiła, bo inaczej pamięć i smutek przesyją mnie jak drewniany palik wbijany młotem w rozmiękłą ziemię.

Ekran telewizora wypełniała postać Hugh; siedział na obmurówce basenu i grał na irlandzkiej fujarce. Charlotte i znajomy już chłopiec, trzymając się za ręce, tańczyli w basenie w rytm jego muzyki.

Hugh wyglądał na starszego o dziesięć lat, miał cięższą posturę, mniej włosów i bardziej rumianą twarz. Jego ruchy odznaczały się tą powolną ostrożnością, którą widać czasem u starszych ludzi. Niewykluczone, że dobiegał sześćdziesiątki. Najlepsze lata miał za sobą — był w wieku, kiedy człowiek cieszy się tym, co ma. Z jego twarzy jednak, gdy patrzył na tańczących, emanowało szczęście, które przebijało także w jego grze.

Charlotte robiła oszałamiające wrażenie. Choć była młodsza od Hugh o dziesięć lat, również się postarzała. Jej ciągle zgrabna sylwetka znakomicie prezentowała się w prostym, jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, który podkreślał wysokie ramiona i długą szyję.

Platynowe blond włosy były krótko, ładnie przycięte. Nosiła szykowne okulary w drucianych oprawkach. Oszczędny, skromny wygląd doskonale do niej pasował. Zdawała się mówić: „Owszem, przybyło mi parę latek, ale mam sposób na starość: wydobywam z mojego piękna samą jego istotę. Zostaje jedynie to, co najlepsze”. — Tatusiu, chodź już! Obiecałeś, że wejdiesz do basenu. — Skarbie, tatuś cieszy się, że może nam grać. Hej hop, potańczymy jeszcze trochę.

Wokół nich panowała aura takiej miłości, że aż się skuliłam. Hugh zaczął grać Foggy Dew. Był w telewizji. Wyłysiały, postarzały o dziesięć lat, ale ciągle żywy. Tyle że z Charlotte. Oraz z ich synkiem.

Pląsali, chlapani się i śpiewali piosenkę. Nie przerywając gry na fujarce, Hugh odtańczył jiga na obmurówce basenu. Chłopiec okręcił się w podskoku i skoczył w ramiona Charlotte. Okulary sfrunęły jej z nosa, lecz z wdziękiem złapała je w locie, zanim wpadły do wody.

Skończywszy grać, Hugh pomaszerował do domu. Chłopiec złapał się krawędzi basenu i próbował przywołać go z powrotem. Ojciec, nie zwalniając kroku, machnął mu tylko ręką. Po przejściu przez kuchnię i pokój gościnny wyszedł na frontową werandę. Otworzył skrzynkę i wyciągnął garść listów i czasopism. Przetasowywał je długo, aż wreszcie trafił na nietypowo wielką kartę pocztową.

Z przodu było zdjęcie malowniczego portu z otynkowanymi na biało budynkami, na których tle zieleniały wzgórza i błękitniało niebo. Hugh obrócił kartkę w dłoni. Charakter pisma był rozpoznawalny na pierwszy rzut oka. Mój.

*Drogi Hugh,*

*Jestem na wyspie Samos. Przyjazd tutaj okazał się dla mnie dobry, ponieważ Grecy nigdy się nie spieszą. Łatwo pójść za ich przykładem. Widziałam jakiegoś mężczyznę, który wjechał na swoim motorowerze prosto do tawerny. Dają ci całą cytrynę i każą ją wycisnąć na kalmara, powietrze roztrzaca woń gorących kwiatów.*

*Zazwyczaj jem w barze zwanym „Mydlasty Grill”. Robią tu bardzo smaczne giosy złożone z pity, baraniny, frytek i tzatziki. Przypominają kanapki, które nam robiłeś. Jak to szło? „Nawet pojedynczy włos rzuca cień”. W tym wypadku — jeden sandwich.*

*Kiedy to się skończy, Hugh? Kiedy będę mogła skrócić za róg życia, nie wpadając przy tym na ciebie, twoje kanapki, twojego ducha, moje wspomnienia, naszą przeszłość?*

*Powiedziałeś kiedyś: „Wszystko płynie”. Ale to nieprawda, Hugh. Zbyt wiele rzeczy zatrzymuje się i choćbyś wylał ze skóry, nie ruszysz ich z miejsca. Na przykład pamięć. I miłość.*

*Miranda*

Skończył czytać i cmokając, pokręcił głową.

— Samos. Samos — powiedział dwukrotnie, jakby sprawdzał, czy potrafi to wymówić. Na jego twarzy malowała się głęboka ulga. Mój wyjazd zupełnie go nie zasmucił.

— Kochanie, odebrałaś pocztę? — Charlotte weszła do pokoju. Za nią wbiegł młody dalmatyńczyk i powarkując, szarpał za różowy ręcznik, który trzymała za plecami. Hugh pokazał jej pocztówkę. Zerknęła na nią i podniósłszy jedną brew, spytała: — Od Mirandy? — Bez wahania wręczył jej kartkę. Odchyliła głowę do tyłu, widocznie jej oczy były słabsze niż okulary, które nosiła, i przeczytała ją szybko. Oddała mu ją. — Kiedy to widziałeś ją po raz ostatni? Osiem lat temu?

Złożył pocztówkę na pół.

— Dziewięć. Szmata czasu.

— A ona bez przerwy do ciebie pisze. — Nie było to pytanie, lecz konstatacja faktu.

Hugh podniósł rękę i wzruszył ramionami, jakby mówił: „Cóż ja na to poradzę?”

Pies najpierw skoczył na niego, a potem wyciągnął się leniwie na podłodze. Hugh uściśnął



mu łeb i pocałował go.

Charlotte pogłaskała psa.

— Czy to nie dziwne? Miranda to jedyna twoja sympatia, która pozostała ci wierna. Sprawiała ci pod koniec tyle bólu i kłopotów, a po prawie dziesięciu latach przysyła ci pocztówki z podróży.

Dalmatyńczyk wysunął z pyska długi, czerwony język i zabrał się do spólkowania z nogą Hugh. Charlotte i Hugh roześmiali się.

— Otóż to — stwierdził Hugh i odepchnął psa. Do pokoju wpadł chłopiec.

— Tatusiu! Robi się ciemno. Zaczyna się zaćmienie! Pospiesz się! — Chwycił ojca za rękę, lecz nie mogąc go ruszyć, wybiegł sam z pokoju.

Charlotte ściągnęła usta i wykonała gest w stronę malca.

— Co by było, gdybyś jednak z nią został? Wówczas nie mielibyśmy jego.

Hugh wyciągnął rękę i musnął policzek żony.

— Ale nie zostałem. Więc nie myśl o tym, najdroższa.

— Bez przerwy o tym myślę. Dzięki Bogu, że nas nie opuściłeś. — Wygrałaś, Char. Spójrz na te pocztówki. Ona jest żalosna. Charlotte położyła mu palec na ustach — uważaj na to, co mówisz.

Nagle obraz na ekranie telewizora przeszedł w scenę z *Amarcordu*, ulubionego filmu Hugh. Po chwili przez telewizyjny szum przebił się odgłos, którego nie mogłam zidentyfikować. I raptem poznałam go: dźwięk pazurków stąpających po drewnianej posadzce.

Odwrociłam się w momencie, gdy młody dalmatyńczyk wszedł do kuchni. Rymnął na podłogę i utkwił we mnie wzrok.

Jego ogon ożywił się. Pies, którego przed chwilą widziałam w telewizji, bawiącego się z rodziną Hugh, teraz leżał koło mnie.

— Wabi się Bob.

Nic nie jest bardziej bezkształtne niż ludzki głos, a jednak są takie głosy, które rozpoznamy do końca życia. Nawet jeśli ostatni raz słyszeliśmy je całe życie temu. W drzwiach stał James Stillman. James, którego nigdy nie znałam, mężczyzna, którego widziałam tylko raz, na fotografii.

Był szczuplejszy, modnie uczesany, kąciki ust okalało mu parę płytkich bruzd. Ale oczy nie zmieniły się ani trochę. Niegdyś nauczyłam się ich na pamięć: oczy łobuza, faceta, który zawsze miał jakiś podstęp w zanadru — albo świetny żart. James oparł się niedbale o framugę drzwi, wbił ręce w kieszenie i skrzyżował szpanersko nogi. Jego matka nazywała to „pozą a la Cary Grant”. Poczułam zapach wody kolońskiej. Wyraźnie poczułam woń „Zizanie” i było to najbardziej wstrząsające odkrycie. Obraz stał się jeszcze bardziej realistyczny.

Sny nie pachną.

Pies poderwał się i zaczął domagać pieśczot. James podniósł go. Bob szalał z uciechy: wił się, skręcał i lizał Jamesa po rękach — wszystko naraz. Wreszcie James uznał, że co za dużo, to niezdrowo, i położył psa na ziemi, ale nadal skrobał go za uchem.

— Pamiętam twojego psa, Mirando. Zaraz, jak on się wabił?

— Oscar.

— Oscar! — Uśmiechnął się. — Tak jest. Nigdy nie słyszałem głośniejszego psa. Pamiętasz, jak chrapał? A jak pierdział?

— James...

Uniósł dłoń, nakazując mi milczenie.

— Jeszcze nie teraz. Muszę się do ciebie przyzwyczaić. — Pokonał całą długość kuchni i podszedł do mnie. Mój Boże, ten słodki aromat wody kolońskiej! Jego znak rozpoznawczy.

Pierwszy znany mi mężczyzna, który używał jej codziennie. Wykładał piękne, srebrne buteleczki z apteki Grieba. Nie czułam tego zapachu od lat — wrażenie było takie, jakby ktoś zapalił mi przy twarzy żarówkę.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, pochylił się tuż przede mną. Chciałam wiedzieć, musiałam się dowiedzieć, jak bardzo jest realny. Czy jeśli wysunę rękę, by go dotknąć, natrafię na skórę i kości, prawdziwe ciało, czy tylko na ducha, cień, wytwór mojej rozgorączkowanej wyobraźni?

Potrząsnął głową i zamknął oczy.

— Nie rób tego. Nie trzeba, abyś wiedziała.

Zadrżałam i cofnęłam rękę.

— Czytasz w moich myślach?

— Nie, widzę to w twoich oczach.

Skryłam twarz w dłoniach i podparłam się na stole. Drewno było chłodne, miałam rozpaloną skórę. Nic już nie rozumiałam.

Zapadła długa, uporczywa cisza.

Stopniowo wyłoniły się jakieś szmery. Narastały. Stawały się coraz głośniejsze. Wydawały się skądś znane. Sprzed wielu lat.

Bieganina, metaliczne trzaski, donośne zgrzyty. Ludzkie głosy, śmiechy, szurające nogi i ożywiony ruch. Wibrujący dzwonek. Czyżby szkoła? Dzwonek, który odzywał się w liceum osiem razy dziennie, gdy kończyła się jedna lekcja, a ty miałaś trzy minuty, aby zdążyć na następną.

Jak dobrze były mi znane te odgłosy! Podniosłam głowę i spojrzałam. Zobaczyłam doskonale znajomy widok, jednak był on tak nieprawdopodobny, że upłynęła dłuższa chwila, zanim jego sens dotarł do mnie. Byłam znowu w szkole. Wróciłam do ogólniaka!

Dookoła mnie wirowały i migały twarze z tamtych lat. Joe del Tufo, Niklas Bahn, Ryder Pierce. Powietrze przecięła piłka koszykowa, którą złapał oburącz Owen King.

— Proszę mi oddać tę piłkę, panie King.

W drzwiach klasy wyrosła panna Cheryl Jeans, nauczycielka matematyki. Chuda i cienka jak ołówek, wyciągnęła rękę w stronę Owena, pokazując, że ma jej oddać piłkę. Panna Jeans była tak ładna i dobra, że należała do najpopularniejszych belfrów w naszej szkole.

— No, panno Jeans. Już więcej nie będziemy.

— Odbierzesz ją sobie po lekcjach, Owenie. A tymczasem ja się nią zajmę.

Chłopak oddał jej piłkę, ale gapił się na pannę Jeans nawet po tym, jak odwróciła się i weszła do klasy.

Szkoła. Stałam na szkolnym korytarzu pośród tych samych ludzi, których parę miesięcy przedtem spotkałam na zjeździe klasowym. Tam jednak byli dojrzałymi ludźmi, którymi staną się po latach, kiedy ukończą tę szkołę i wejdą w dorosłość. Tutaj zaś miałam przed sobą nastolatków o koszmarnych fryzurach, z aparatami korekcyjnymi na zębach i w niemodnych ciuchach, które piętnaście lat temu były wystrzałowe i niezbędne do życia.

Zamarłam w bezruchu. Dzieciaki, które znałam, kochałam, podziwiałam, których nienawidziłam i którymi gardziłam — rozpychały się teraz łokciami, biegnąc do klasy, toalety lub tylnego wyjścia, żeby zaćmić papierosa. Tony Gioe. Brandon Brind.

Z jednej z klas wyszłam ja i Zoe. Osiemnastoletnie Zoe Holland i Miranda Romanac minęły mnie o krok od miejsca, gdzie stałam. Uśmiechały się konspiracyjnie, jakby przed chwilą stało się coś śmiesznego i tajemniczego, co sprawiło im niebywałą uciechę. Na dowód realności owionął mnie ostry zapach tanich perfum „Jungle Gardenia”, którymi skrapiłam się co dzień przed szkołą. Szły dalej w głąb korytarza, nie zauważyły mnie, gdy ruszyłam za nimi. Dreptałam obok nich, dotrzymując im kroku. Nie zwracały na mnie żadnej uwagi.

— Nie wierzę! Bujasz, Mirando. Przysięgasz na Pana Boga? — Zoe wybałuszała z ciekawości oczy.

Na moment Miranda zachowała kamienną twarz, w końcu jednak nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

— Zrobiliśmy to!

Zoe uniosła podręczniki i tupnęła nogami.

— O, Boże! Właż tutaj! — Pociągnęła Mirandę na koniec korytarza i wepchnęła ją do damskiej ubikacji. Podeszły do luster i umieściły książki na przyległych umywalkach. — No i?

Miranda spojrzała w lustro i wyduła wargi.

— No i co?

Zoe chwyciła ją za ramiona i obróciła twarzą do siebie.

— Nie wyglupiaj się, Miranda. Powiedz, jak było.

— No więc, kiedy spotkaliśmy się wczoraj wieczorem, powiedział, że pojedziemy na małą przygodę. Odparłam „Oho”, bo wiesz, co James ma na myśli, kiedy mówi o „przygodach”. Pojechaliśmy do domu Leslie Swid, zaparkował na tej samej ulicy. W domu było ciemno, bo wiesz, Swidowie wyjechali z miasta. James powiedział, że włamiemy się do nich.

Zoe uniosła oczy ku niebiosom.

— Boże Świąty! I ty się zgodziłaś? Włamałaś się tam razem z nim? Jesteś przestępczynią.  
— Zoe zachichotała.

— James obiecał, że nic nie ruszymy, tylko wejdziemy się trochę rozejrzeć. Więc zakradliśmy się cicho na tył budynku. Oczywiście bałam się, miałam chyba z siedem ataków serca. James sprawdził wszystkie okna, aż znalazł jedno, które udało mu się podważyć taką samochodową wajchą. No więc, otworzył to okno i wdrapaliśmy się do środka. Miałam strasznego pietra, ale to było podniecające. Obeszliśmy całą chatę, ale niczego nie dotykaliśmy. Kiedy doszliśmy do sypialni rodziców Leslie, James wziął mnie i popchnął na łóżko, no i wtedy... to się stało.

— Jak było? Dobrze? Świetnie?

— Najpierw trochę bolało, ale potem było przyjemnie. Po prostu byłam przerażona, Zoe. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

Nigdy nie przespałam się z Jamesem Stillmanem, kiedy chodziliśmy do liceum. W ogóle z nikim wówczas nie poszłam do łóżka. Dlaczego okłamywałam moją najlepszą przyjaciółkę?

Coś musnęło mi ramię. Tuż za mną stał dorosły James Stillman.

— Chodź. Chciałbym ci coś pokazać.

Choć niechętnie, wyszłam za nim z damskiej toalety.

James drałował korytarzem wypełnionym chmarami dzieciaków i ogłuszającym zgiełkiem. Mijał piętnaste— i szesnastoletnich ludzi rzucających się na wszystko, co wygląda ciekawie, kolorowo lub błyszcząco, na wszelkie pokusy, wielkości, a nawet zagrożenia. Płynęłam za nim przez ocean duchów przybyłych z czasów, które nagle powróciły z całą mocą.

Nikt z małałów nie zwracał na nas uwagi. Może dlatego, że jako dorośli, przechodząc przez ich świat, byliśmy niewidzialni. Traktowali nas jak powietrze.

— Gdzie idziemy?

— Na dwór.

Dotarliśmy do końca korytarza i tylnymi drzwiami wyszliśmy na szkolny parking. Poczulałam woń kurzu i świeżego asfaltu. Był upalny, duszny dzień. Gęste, ciężkie powietrze wróżyło niechybną zmianę pogody. Słysząc było cykanie koników polnych. Południowe słońce odbijało się od setek samochodowych szyb. James przystanął na moment, by się odnaleźć, a potem ruszył dalej. Choć pytania cisnęły mi się do głowy, widziałam, że zmierza w określonym kierunku, więc trzymałam język za zębami i szłam w milczeniu. Kluczyliśmy między samochodami i motocyklami. Od czasu do czasu poznawałam któryś z pradawnych pojazdów. Beżowy volkswagen Mela Parkera. Oblepiony nalepkami ford Ala Kapłana; jedna z naklejek głosiła: „Nie ufaj nikomu po trzydziestce!”

Dopiero gdy James skierował się na przeciwny kraniec parkingu, zorientowałam się, dokąd idziemy. Tuż przy wyjeździe na ulicę stał stary, zielony saab, który rodzice podarowali mu, kiedy zrobił prawo jazdy. Jakże mogłam zapomnieć? Zawsze go tam parkował, aby móc szybko zwiać ze szkoły. Zobaczyłam siedzących w aucie dwóch ludzi.

Jednym z nich był James. Osiemnastoletni James i policjant. Mimo upału podnieśli szyby do połowy okien, lecz słyszałam, o czym rozmawiają. Policjant był akurat przy głosie — mówił z prawdziwym smutkiem, wolno cedząc słowa.

— Ty i dziewczyna byliście w domu Swidów zeszłej nocy. Więc nie zapieraj się, James, bo obrażasz moją inteligencję. Widziano was i zapisano twój numer rejestracyjny. Powiesz mi, jak się nazywa ta dziewczyna? Czy wolisz utrudnić życie wam obojgu?

— Byłem tam sam, przysięgam! — James mówił z szacunkiem. Starał się pokazać, że mówi prawdę.

Gliniarz westchnął.

— Koniec żartów, synu. Przez lata przymykaliśmy oko na twoje wysoki, ale miarka się przebrała. Włamałeś się do domu zamożnego człowieka i są na to świadkowie. Tym razem nie wywiniesz się od pierdła, James. Może gdybyś mi powiedział, kim jest ta dziewczyna, mógłbym pogadać z sędzią...

— Jak pragnę zdrowia, byłem całkiem sam! Nie wiem, czemu widziano mnie z kimś.

Dorosły James obrócił się do mnie.

— Nie pamiętasz tego, prawda? — spytał.

— Nie.

— Ostatni rok. Dwa miesiące przed maturą. Powiedziałem ci, że chcę to zrobić... — Wskazał na samochód. — Wślizgnąć się do domu Swidów i trochę rozejrzeć. Zgodziłaś się, Mirando. Umówiliśmy się, że wejdziemy tam, a potem będziemy się kochać. To miał być nasz pierwszy raz. Noc, która miała wszystko zmienić. Ponieważ nazajutrz miano mnie aresztować. Aresztować i posłać do więzienia za włamanie z zamiarem kradzieży.

— Ale myśmy tego nie zrobili, James! Co ty wygadujesz? o co tu chodzi? — Mój ochrypliwy głos dygotał ze strachu. Nic nie wiedział, ale wszystkiemu zaprzeczał. Oślepiło mnie słońce. Choć odwracałam głowę na lewo i prawo, blask dźgał mnie w oczy niby oskarżycielski palec.

James pokręcił z rozdrażnieniem głową.

— Wszystko jest już zapisane, Mirando. Największa tajemnica życia: Nasz los jest zdeterminowany. Można mu się opierać albo nie zgadzać się z nim, ile dusza zapragnie. Ty jednak przez całe życie rzucałaś wyzwanie swojemu przeznaczeniu. i uchodziło ci to płazem! Ty i Hugh mieliście się rozejść. Miał wrócić do żony i mieć z nią tego małego chłopczyka. Właśnie temu służyła telewizyjna scenka — pokazaniu ci, jak miało się potoczyć jego życie. Ciebie i jego miał połączyć chwilowy, gorący romans. Na koniec pisałaś do niego pocztówki z egzotycznych krajów, wyznając, jak bardzo za nim tęsknisz. Ale nic z tego nie wyszło! Zdołałaś wpłynąć na bieg wydarzeń, Mirando. Po raz któryś z rzędu zmieniałaś los. Hugh został z tobą dłużej, niż było mu to przeznaczone, a następnie umarł. Nie pogodził się z żoną. Nie było ani małego Oakleya, ani matki Charlotte, ani ojca Hugh.

Umilkł nagle. Ciężkie letnie powietrze natychmiast wypełniło się szumem tysięcy pasikoników. Młody James i policjant kontynuowali rozmowę w samochodzie.

— A urodzinowe przyjęcie, które widziałam w dniu przeprowadzki? A ten mały chłopczyk?

— Nie było żadnego przyjęcia, gdyż chłopiec nie przyszedł na świat. Po prostu się nie urodził.

— Ale przynajmniej ty nie wylądowałaś w więzieniu! To już coś!

— Bynajmniej. W więzieniu miałem odnaleźć właściwą drogę. Całe to doświadczenie zmieniłoby mnie na zawsze. Przedtem tańczyłem wokół płomienia, pajacowałem,

nadstawiałem karku. Ale odsiadka wtrąciła mnie w sam środek piekielnego ognia. Po wyjściu na wolność miałem znaleźć pracę, którą lubię, i poznać kobietę, która mi odpowiada. Miałem dożyć sędziwego wieku. — James zaśmiał się, ale był to gorzki, ironiczny chichot. Przytknął palec do skrzydełka nosa. — Widzisz ten pieprzyk? Ten malutki? Na stare lata dostałem raka, ale zlekceważyłem go i to mnie zabiło. — Ten sam chichot, jeszcze bardziej zjadliwy. — Niezbyt bohaterska śmierć, ale zawsze lepsza niż rozbicie się na słupie przed trzydziestką, kiedy pędzi się do dziwki mającej wytatuowany na nadgarstku rosyjski wiersz.

W szkole rozległ się głośnie dzwonek. Po kilku sekundach huknęły otwierane drzwi i na parking wysypały się maolaty. Zawyły silniki, zagrały klaksony, dzieciaki darły gardła, kierując się w stronę ulicy i wolności. Odrobiły pańszczyznę i po wielu godzinach ślęczenia w klasie spieszyło im się do tego, co najlepsze.

James i ja obserwowaliśmy ich odjazd. Nie trwało to długo. Pamiętałam tamte dni: wylatywało się z budynku liceum i gnało na złamanie karku, byle jak najdalej od szkoły.

Kilka minut później paru maruderów nadal snuło się przy tylnych drzwiach, gawędząc ze starym chemikiem, panem Rolfem. Po drugiej stronie parkingu grupka młodych ludzi grała w koszykówkę. Pozostało tylko kilka samochodów, wśród nich zielony saab. Policjant i młody James ciągle rozmawiali. To miał być pierwszy dzień jego nowego życia.

Ale nie nadszedł. Przeze mnie.

## SANATORIUM FIEBERGLAS

McCabe i ja popatrzyliśmy na siebie, czekając, kto zrobi pierwszy krok. Wprawdzie dyżurna pielęgniarka poinformowała nas, którędy dojść do pokoju, jednak po wyjściu z windy stanęliśmy jak wryci, bo żadne z nas nie miało ochoty pójść przodem.

— Proszę bardzo.

— Nie, nie. Ty pierwszy.

— Który to był pokój? — 1063.

Odwiedziłam wiele szpitali i hospicjów, ale w żadnym nie unosiła się równie dziwna woń. Nie miała ona w sobie nic z owego nieokreślonego, dusznego odoru, jaki zazwyczaj panuje w takich instytucjach: mieszanka środków dezynfekujących, leków i chorób, która nie wróży niczego dobrego, pocieszającego. Nie mogłam się powstrzymać — uniosłam głowę i pociągnęłam nosem jak ogar węszący trop.

McCabe spojrział na mnie i stwierdził bez wahania:

— Indyk. Czuć pieczonego indyka. Zauważyłem to zaraz, jak tu weszliśmy. Chodź, poszukamy Frances. — Ruszył w głąb korytarza, oglądając się na boki w poszukiwaniu pokoju 1063.

Obudziłam się w domu w Crane's View. Byłam w ubraniu, miałam naciągniętą na siebie kołdrę, głowę na poduszce, ręce przy bokach. Zwykle upływał jakiś czas, zanim przytomniałam po obudzeniu, ale tamtego ranka było inaczej. Momentalnie przypomniałam sobie wszystko, co zaszło poprzedniej nocy: Hugh i jego rodzinę na ekranie kuchennego telewizora, wizytę z Jamesem w naszym starym liceum.

Całe życie powtarzano mi, że kiedy śpię, moje nieruchome ciało przypomina trupa. Raz ułożona na pościeli i pogrążona we śnie, w zasadzie nie ruszałam się przez całą noc. Tego ranka, leżąc w łóżku, zastanawiałam się, jakim cudem zdołałam w ogóle do niego dotrzeć. Rozmyślenia przerwał mi telefon. Nie poznałam McCabe'a, póki się nie przedstawił. Powiedział, że Frances Hatch jest w szpitalu. Zadzwoiła do niego z prośbą, abyśmy oboje szybko — jeśli to możliwe — przyszli ją odwiedzić. Jego głos zdradzał złość i niepokój.

— Nie mogę zrozumieć, czemu nie siedzi na Manhattanie. Przeniosła się gdzieś koło Bronxville, do miejsciny zwanej Fever Glass czy jakoś tak. Dziwna nazwa, ale mam wszystko zapisane na kartce. Frances wyjaśniła mi, jak się tam dostać. Wyrobisz się w godzinę? Chciałbym jechać jak najprędzej.

Budynek okazał się jedną z owych drogich, żalonych replik angielskiej rezydencji w stylu Tudorów, które obecnie kupują lub budują już tylko gwiazdy rocka i nuworysze. Najpierw przedarliśmy się przez wysoki, kunsztownie ostrzyżony żywopłot, zasłaniający posiadłość przed widokiem z ulicy. Dalej, na końcu długiego, zygzakowatego podjazdu, wznosiło się „Sanatorium Fieberglas”, wyrastające na pięknych ziemiach, których utrzymanie musiało kosztować majątek. Człowiek mógł odnieść wrażenie, że znalazł się na polu golfowym, w ośrodku naukowym lub na cmentarzu. A raczej we wszystkich tych miejscach naraz.

McCabe zaparkował na jednym z wielu pustych miejsc przed głównym budynkiem i zgasił silnik. Z głośnika jego odtwarzacza leciał dotąd Kool and the Gang i nagła cisza zrobiła na nas niepokojące wrażenie. Podkreślała, że dojechaliśmy na miejsce i że pora działać.

Spojrzał we wsteczne lustro i przeczesał ręką włosy.

— Tralala. Ten szpital to taka angielska mrzonka. Marzy im się zostać drugim Brideshead. Nie chciałbym być ich pacjentem. Pewnie z radością stosują lewatywę.

Zerknęłam przez okno.

— Jesteś pewien, że Frances leży tutaj? To miejsce nie bardzo mi do niej pasuje.

— Ani mnie. Ale to tu.

Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy ścieżką wysypaną śnieżnobiałym tłuczniem w stronę wejścia. McCabe przytrzymał drzwi i zaprosił mnie do środka. Byłam zdziwiona, zobaczywszy tłumy ludzi wałęsające się po holu. Jedni ubrani byli w szlafroki i papcie, inni w stroje wyjściowe. Podeszliśmy do recepcji i zapytaliśmy o numer pokoju Frances. Pielęgniarka przeniosła wzrok na monitor komputera i puknęła niemrawo w parę klawiszy. Kątem oka przyjrzałam się McCabe'owi. Był przystojnym mężczyzną, bez dwóch zdań. Chociaż nie bzikowałam na punkcie żelowanych włosów, to dwurzędowa marynarka, biała koszula i czarny jedwabny krawat szefa policji wyglądały naprawdę zabójczo.

— Przykro mi, ale w tej chwili nie wolno jej odwiedzać. McCabe wyciągnął swoją odznakę i podetknął ją kobiecie pod nos. Gdy się odezwał, mówił głosem cichym, życzliwym i jednocześnie nie znośnym sprzeciwu.

— Prosimy tylko o numer jej pokoju. I nazwisko lekarza. Kobieta wzdrygnęła się. Niewiele jednak mogła poradzić.

— 1063. Doktor Zabalino — odparła.

— Zabalino. Świetnie. Wielkie dzięki.

McCabe ujął mnie pod ramię. W milczeniu pokonaliśmy szpitalny hol i podeszliśmy do wind. Nadusił pomarańczowy guzik i spuścił wzrok na ziemię.

— A jeśli naprawdę jest zbyt chora, żeby widywać gości? Drzwi rozsunęły się. Kabina była pusta. Weszliśmy i drzwi zamknęły się z powrotem. Wcisnęłam trójkę.

— Jak długo znasz Frances, Mirando? — Stał blisko mnie, lecz nie przeszkadzało mi to, bo nie miało nic wspólnego ze sprawami damsko-męskimi ani seksem. McCabe zachowywał się bezpośrednio w każdej sytuacji — dotykał, poszturchiwał, klepał ludzi po plecach. Przypuszczam, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Mówił tonem głosu budzącym zaufanie: cokolwiek mu powiesz, on to zaakceptuje. Nawiązywał tak szeroki kontakt, że nawet jeśli coś przeskrobałeś, jego głos lub dotyk trzymały cię w ryzach. To było miłe.

— Niedługo. Parę miesięcy. Dlaczego?

— Jaja znam od dwudziestu pięciu lat. To najbardziej niezależna osoba na świecie. Ale kiedy już cię o coś prosi, zrób to, nie oglądając się na nic. Zadzwoń i powiedz, że chce się z nami zobaczyć, prawda? Biegniemy sprintem, Mirando.

Idąc korytarzem, mijaliśmy otwarte na oścież drzwi. W jednym z pokoiów leżał na łóżku starzec z zamkniętymi oczyma. Obok niego, na drewnianym krzeselku, siedziała mała dziewczynka. Na nadgarstku miała wielki czerwony zegarek, w który gapiała się z podniesionymi brwiami. Zorientowałam się, że odlicza starcowi sekundy. Tamten miał zamknięte oczy, ale się uśmiechał.

Dwoje drzwi dalej ujrzałam czarnego pieska warującego na idealnie pościętym łóżku. Poza tym pokój wydawał się zupełnie pusty. Zdumiona, pociągnęłam McCabe'a za rękaw i pokazałam mu psa. Stanął gwałtownie i zamrugał.

— A to co znowu?

Pies zobaczył nas i ziewnął. McCabe podszedł do drzwi i zerknął na małą tabliczkę, na której widniało imię i nazwisko pacjenta.

— Frederick Duffek. Czy Duffek to jakaś rasa psów? — Przesunął się w prawo, tak iż stanął w środku wejścia. — Hej, Frederick, gdzie twój pan?

— Słucham? — Zza drzwi wychynał olbrzymi mężczyzna w średnim wieku. Łysa czaszka lśniła mu jak naoliwiona, miał na sobie pizamę w odcieniu pożółkłej kości słoniowej.

McCabe nie zapomniał jednak języka w gębie.

— O, zobaczyłem pańskiego psa na łóżku i zastanawiałem się właśnie...

Wielkolud położył McCabe'owi łapę na piersi, wypchnął go z powrotem na korytarz i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Frannie popatrzył na mnie z zachwytem.

— Kurwa, to istne wariatkowo! Ten gość wyglądał jak Kojak. Może pies pełni rolę terapeutyczną?

— Może powinniśmy odnaleźć 1063?

Zanim jednak dotarliśmy do pokoju Frances, w pamięci utkwił mi jeszcze jeden obraz. Pozostałe drzwi w korytarzu były zamknięte. Z wyjątkiem pokoju przylegającego do 1063.

Ujrzelśmy zjawiskowo piękną, młodą kobietę i sporych rozmiarów głaz. Z początku była zwrócona do nas plecami. Ubrana w luźny czarny dres, stała na szeroko rozkraczonych nogach. Przywodziła na myśl odwróconą literę „Y”. Przed nią leżał wielki, szaroniebieski głaz, kształtem przypominający jajo. Gdzie indziej podobny widok budziłby zdziwienie. W tej cichej, zamkniętej placówce był wręcz nie do pomyślenia.

Kobieta wciągnęła głośno powietrze — huś, huś, huś — schyliła się i podniosła głaz na wysokość brzucha. Jak zawodowy ciężarowiec. Znowu sapnęła trzy razy i opuściła kamień na podłogę. Chwila przerwy, trzy wdechy i znowu w górę.

— Jezusieńku! — pisnął McCabe.

Głaz zawisł nad podłogą. Kobieta wypuściła go z rąk, tak że upadł z hukiem, sama zaś okręciła się na pięcie.

— Doktor Zabalino? — Miała czarowny uśmiech, który wyraźnie przygasł na nasz widok. — A, dzień dobry. Myślałam, że to moja lekarka.

McCabe wszedł do pokoju i zajrzał za drzwi, aby upewnić się, że nikogo tam nie ma.

— Po co podnosi pani ten kamień? W pokoju szpitalnym? Czy to pomaga?

— To część mojej medytacji.

— Medytacji? Kto jest pani guru, Arnold Schwarzenegger? Ohoo! — Uśmiechnął się oblesnie i włożył rękę do kieszeni. — Dzwoni mój telefon. Uwielbiam wibrujące komórki. Niechby sobie dzwoniła przez cały dzień. — Wyciągnął mały szary telefon. Aparat otworzył mu się w dłoni. — Halo? Jak się masz, Frances. Gdzie jesteśmy? Niedaleko. Będziemy u ciebie za jakieś, hmmm, osiem sekund. Tak, znaleźliśmy. Obok ciebie, z kobietą, która podnosi głaz. Jasne. Nie ma sprawy. — Złożył telefon i spojrzał na mnie. — Frances chce najpierw rozmawiać z tobą. Poczekam na zewnątrz.

Kobieta oparła ręce na biodrach i zmarszczyła brwi.

— Przepraszam, ale kim właściwie jesteście?

— Odwiedzamy pani sąsiadkę, Frances Hatch — odparł natychmiast McCabe, ruszając w jej stronę, jakby chciał ją zagadać. — Pozwoli pani, że spróbuję, zanim wyjdziemy? — Pochylił się, objął głaz rękami i naprężył mięśnie. Oczy wyszły mu z orbit i zakrzuszył się z wysiłku. Nie był w stanie poruszyć kamienia. — Ile to waży?

— Siedemdziesiąt kilo.

— Sto pięćdziesiąt funtów! I pani podrzuca to sobie w górę jakby nigdy nic? Jak pani to robi?

Pochwyciłam jego wzrok i pokazałam, że wychodzę. Kobieta poprosiła, żebym zamknęła drzwi. Po kilku krokach znalazłam się przed pokojem Frances. Nie zdążyłam dotknąć klamki, gdy tuż obok mnie ktoś syknął: „Psst!” Podniosłam wzrok.

W drzwiach na wprost stało dziecko Hugh i Charlotte. Chłopiec miał na sobie jedynie prążkowany strój kąpielowy, w którym widziałam go na ekranie telewizora. Był na bosaka. Co gorsza, pod jego stopami zbierały się kałuże błyszczącej wody. Jak gdyby przed momentem wyszedł z basenu.

Odruchowo spojrzałam na jego ręce. Nie chciałam znowu oberwać kamieniem.

— Nie zostawię cię w spokoju. — Jego głos, choć dziecinny, miał w sobie tę straszną zawziętość, do jakiej zdolne są tylko dzieci. Pamiętasz? Czy pamiętasz, jaką trwogą napawał cię „kolega” z klasy, którego nienawidziłeś, gdyż bałeś się go do szpiku kości? Wiedziłeś, że nigdy go nie pokonasz, bo jest silniejszy lub ładniejszy (albo jedno i drugie), sprytniejszy albo wyjątkowo okrutny. A ponieważ byłeś młody i nie miałeś pojęcia o życiu, wiedziłeś, że twój złośliwy rówieśnik będzie cię prześladował aż po ostatni dzień twojego życia.

Poczułam to w tamtej chwili. Ogarnął mnie paralizujący strach, gdyż ten chłopiec nie



istniał, a mimo to stał nieopodal i patrzył na mnie z nienawiścią. Zaczął podśpiewywać.

— *W miłym mieście Dublinie, które z pięknych dziewcząt słynie...* — Miał słodki, figlarny głosik.

Zrobiłam ku niemu krok.

— Czego ode mnie chcesz? Co mam zrobić? Czego żądasz? Nie rozumiem. — Nieświadomie wyciągnęłam do niego rękę dłonią do góry, w żebraczym geście: błagam, pomóż mi!

Lecz na jego twarzy nadal malowała się tępa obojętność. Obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem, po czym wyszedł z pokoju i zaczął się oddalać. Mokre stopy zostawiały ślady na linoleum korytarza. Podjął urwaną wcześniej piosenkę:

— *...po raz pierwszy ujrzałem słodką Molly Malone.*

— Zaczekaj!

Żadnej reakcji.

— Powiedz, co mam robić?

Nawet nie obrócił głowy. Doszedł do końca korytarza, pchnął obrotowe drzwi i zniknął za nimi.

Kiedy weszłam do pokoju Frances, stała nad nią rosła kobieta i mierzyła jej tętno. Miała kruczoczarne włosy upięte w kok, przypominający rożek topniejących lodów. Gęste brwi, wielkie oczy, łagodne rysy i biała skóra. Była ubrana w czarny kostium od Chanel, który kontrastował z niezliczonymi złotymi pierścieniami na jej palcach i bransoletkami na nadgarstkach. Gdybym ją zobaczyła na ulicy, pomyślałabym: Pieniądze, snobizm, kobieta interesu albo niedowartościowana żona. Atrakcyjna, lecz nie nadzwyczajna, o oczach, które mówiły, że doskonale wie, co robi. Wrażenie to potwierdzał mocny tembr jej głosu:

— Czym mogę służyć?

— Pani doktor, to moja przyjaciółka, Miranda Romanac. Mirando, to doktor Zabalino.

Lekarka pokręciła jedną z bransolet opasujących jej przedramię.

— Chłopiec mówi prawdę. Sam nigdy nie odejdzie. Musi się go pani pozbyć.

— Skąd pani o tym wie? — warknęłam. Przestraszyłam się, że wie, co się stało na korytarzu. — Kim pani jest?

Frances podparła się na łokciach.

— Nie bój się, Mirando. Wezwałam cię tutaj, gdyż jestem chora. Bardzo chora. Lekarze dają mi mało czasu, zatem muszę ci powiedzieć o kilku sprawach. Ważne, abyś o nich wiedziała. Po pierwsze, jeśli coś mi się stanie, możesz liczyć na pomoc Zabalino. Jeśli będziesz potrzebowała dobrej rady albo dachu nad głową, zawsze możesz przyjechać do Fieberglas. Tutaj nic ci nie grozi. Teraz jednak musisz wrócić i zamieszkać w domu. Zostań tam do czasu, aż poznasz, kim jesteś. Wtedy sama zadecydujesz, czy chcesz zostać czy wyjechać.

— Ale co mam tam robić? Pomóż mi, Frances. Daj mi jakieś wskazówki!

— Nie mogę, bo sama ich nie znam. Wiem tylko tyle, że klucz do wszystkich twoich pytań, Mirando, znajduje się w tym domu.

— Czy dlatego go nam podarowałaś? Pokręciła głową.

— Nie. Chodzi o to, że Hugh w nim umarł. To samo zdarzyło mi się pięćdziesiąt lat temu, w Wiedniu, kiedy żyłam z Shumdą. Musiałam tam zostać, aż odkryję, kim jestem. Przepróż Pranniego, nie mogę się z nim dzisiaj zobaczyć. Powiedz mu, że jego żona jest poważnie chora i musi przejść wszechstronne badania lekarskie. Będzie żyła, ale pod warunkiem, że niezwłocznie się przebada.

Drzwi otworzyły się i McCabe wparadował do środka jak pan na włościach.

— Się masz, Frances! Jak leci, dziewczynki? Chyba że wolicie, abym zaczekał w pokoju obok, razem z tą Siłaczką?

Usłyszałam coś. Nie mogłam rozpoznać tego dźwięku, lecz instynkt podpowiedział mi, że

to coś złego. Podobnie jest wtedy, gdy głowa odskakuje nam od smrodu zgnilizny, zanim mózg zdąży go w ogóle zarejestrować.

Szmer nasilił się.

— Co to jest?

Wszyscy popatrzyli na mnie. Kobiety wymieniły krótkie spojrzenia.

McCabe wzruszył ramionami.

— Niby co?

— Nie słyszycie? Tych oddechów? Tego głośnego dyszenia?

Potał ręką podbródek i uśmiechnął się.

— Nic nie słyszę.

Jednak ani Frances, ani lekarka nie uśmiechały się. Mój niepokój wyraźnie im się udzielił.

— Mirando, musisz już iść. Natychmiast, zabieraj się stąd! Weź z sobą Franniego. Wracajcie do Crane's View. Jedź prosto do domu.

Odwrócony plecami do obu kobiet McCabe gapił się na mnie.

— Co tu jest grane? — Wyglądał na radośnie zdezorientowanego, jakby robiono sobie z niego żarty.

Frances zawołała go i McCabe odwrócił się. Między nimi nic nie zaszło — żadnego spojrzenia, dotknięcia, słowa ani gestu. A mimo to szef policji okręcił się gwałtownie i ujrzałam jego nieprzytomnie przerażoną minę.

— Wyośmy się stąd! No już, Mirando. Dalej! — Chwytał mnie za rękę i usiłował popchnąć w stronę drzwi.

Zawahałam się. Mimo że się bałam, byłam zdecydowana dowiedzieć się, co się dzieje.

— Co to jest, Frances? Co to za oddechy?

— To ty — odparła groźnie Zabalino. — Część twojej jaźni, która czyha na zewnątrz. Musisz jak najszybciej poszukać odpowiedzi. Jeśli zaraz odejdziesz, ani tobie, ani nam nie stanie się krzywda.

— Przecież Frances mówiła, że jeśli wpadnę w tarapaty, to mogę zawsze tu przyjść...

— Później tak, ale nie teraz. Dopóki nie poznasz prawdy o sobie i nie postanowisz, co uczynić, żadna z nas nie jest przy tobie bezpieczna. Twoja jaźń czeka. Jej siła nie sięga tak daleko, ale chce, żebyś o niej wiedziała. Fieberglas to oaza spokoju, lecz jeszcze nie dla ciebie. Frances nie powinna cię była zapraszać. Najpierw musisz odkryć, kim jesteś. Tymczasem czeka cię to... — Zabalino wskazała za okno, gdzie przerażająca, nieznana część mojej jaźni napierała, dysząc głośno, na mury tego podejrzanego szpitala.

Ciężar strachu przytłoczył mnie, uczynił niezdolną do ruchu. Nie wiedzieć czemu, nagle z zakamarków pamięci wypełził zapamiętany z dzieciństwa fragment bajki i powtarzał się natarczywie w mojej głowie: była to groźba Wielkiego Złego Wilka skierowana do Trzech Małych Świnek, kiedy głodna bestia czai się przed ich chatką, wiedząc, że za moment je pożre: *Jak buchnę, jak chuchnę, wasz domek wnet zdmuchnę.*

— Idz i e m y, Mirando! — McCabe ujął mnie pod ramię. Odrąciłam jego rękę.

— Frances, czy to ja spowodowałam śmierć Hugh?

— Oczywiście, że nie.

— Ale musisz mi pomóc! Nie wiem, co się dzieje! Sapanie stało się głośniejsze. Oddech przyspieszył się, zgęstniał.

— Wróć do Crane's View, Mirando. Tam znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania. To jedyna rada, jaką ci mogę dać. — Chciała dodać coś jeszcze, ale Zabalino dotknęła jej ramienia, nakazując milczenie. Frances Hatch oblizwała wąskie usta i przyjrzała mi się współczująco. I z obawą.

W dzieciństwie zachorowałam na zapalenie opon mózgowych. Któregoś letniego dnia, po zabawie z Zoe Holland, wróciłam do domu i oznajmiłam matce, że boli mnie głowa i kark.

Akurat oglądała telewizję; nie odrywając wzroku od ekranu, kazała mi się położyć. Dodała, że zmierzy mi temperaturę, gdy program się skończy. Poszłam do swojego pokoju i zasnęłam jak kamień. Matka w żaden sposób nie mogła mnie dobudzić. Co ciekawe, chociaż zapadłam w śpiączkę, przez cały czas byłam świadoma tego, co się wokół mnie dzieje. Tyle że nie reagowałam na bodźce. Kiedy matka, nie mogąc mnie zbudzić, wpadła w panikę, słyszałam wszystko. Po prostu nie byłam w stanie otworzyć oczu i buzi i powiedzieć: „Jestem tutaj, mamo, nie musisz tak wrzeszczeć”.

Słyszałam lekarzy pogotowia, którzy starali się mnie ocucić, czułam, jak wynoszono mnie z domu i jak jedziemy karetką do szpitala, wszystko. Przypominało to nie tyle sen, co stanie za cienką kurtynką albo szybą, skąd człowiek obserwuje przebieg wypadków. Dwa dni później naturalna potrzeba wyciągnęła mnie ze śpiączki: musiałam udać się do łazienki.

Kiedy wracałam z McCabe'em do Crane's View, przypominałam sobie tamte dni i ów stan jednoczesnego uspienia i świadomości. Zarazem żyłam i nie żyłam, miałam świadomość wydarzeń, ale w nich nie uczestniczyłam. Teraz działo się ze mną coś podobnego. Od kiedy zobaczyłam przyjęcie urodzinowe widmowego chłopca, oglądałam swoje życie z drugiej strony czegoś nieprzenikalnego i tajemniczego. Moje życie było tam, nie tutaj. Przynajmniej to życie, które kiedyś znałam. Nie byłam w stanie go już odzyskać. Czy powrót do Crane's View naprawdę mógł mi pomóc? A czy miałam inny wybór?

Wypadek musiał się zdarzyć ledwie kilka minut przedtem, zanim wyszliśmy z zakrętu. Spod zgniezionej srebrnej maski wciąż wiała się smuga szarego dymu. Powietrze wypełniła gryząca woń gorącej ropy i metalu. Z wnętrza wraka dobiegała piosenka *Sally Go Round the Roses*. W pobliżu nie było nikogo. Dźwięki pieśni wwiercały się w dziwną ciszę spowijającą nas na tym wąskim odcinku drogi, kilka mil od Crane's View.

McCabe zmełł przekleństwo w ustach i skręcił w prawo, zahamował jakieś sto stóp za rozbitym autem. Podskoczyliśmy na nierównym poboczu i zatrzymaliśmy się w chmurze pyłu i drobnych kamyków. McCabe bez słowa wyskoczył z samochodu i pobiegł w kierunku miejsca wypadku: bmw wbił się w słup telefoniczny z takim impetem, że przód maski dyndał dwie stopy nad ziemią. Z tyłu auta sączyła się posepnie strużka jakiegoś ciemnego płynu. Wpierw myślałam, że to woda, dopóki nie zobaczyłam ciemnobrazowego koloru. Pobiegłam wzrokiem w górę słupa. Na czarnych drutach przycupnęły ptaki i rozglądając się, szczebiotały coś do siebie. Druty uginały się lekko pod ciężarem ich drobnych ciałek.

McCabe przypadł do drzwi pasażera i pochylił się, aby zajrzeć do wnętrza kabiny. Byłam tuż za nim, mocno przyciskałam ręce do boków. Odezwał się do kogoś spokojnie i cicho. Ciepło i łagodność przebijające z jego głosu wydawały się niemal piękne.

— Jesteśmy tutaj. Zaraz wam pomożemy. Czy ktoś jest ranny? Czy ktoś... — Urwał i odsunął się gwałtownie. — Kiepsko. Kiepsko.

Zanim się odwrócił, po raz pierwszy dostrzegłamabinę. Hugh Oakley wbił się na odsłoniętą kolumnę kierownicy. Głowę miał wykręconą w przeciwną stronę, toteż, dzięki Bogu, nie widziałam twarzy. Charlotte Oakley jechała bez pasów i siłą zderzenia cisnęła nią o przednią szybę. Wprawdzie nierozpryskowane szkło wytrzymało, lecz jej głowa rąbnęła z takim impetem, że cała szyba pokryła się pajęczą siecią pęknięć. To, co zostało z jej pięknej twarzy, przywodziło na myśl rozbity owoc. Na jej kolanach leżał powyginany fragment kierownicy, który przypominał jakieś dziwne narzędzie. Chłopiec, również martwy, leżał na tylnym siedzeniu. Spoczywał na plecach, z rękami nad głową, jedno oko było otwarte, drugie zamknięte. Miał na sobie koszulkę z Kojotem — odwiecznym wrogiem Strusia Pędziwiatra — trzymającym triumfalnie laskę dynamitu w łapie. Głowa chłopca była skrzyta pod śmiertelnym kątem. Co ważniejsze — był starszy niż godzinę wcześniej, kiedy zobaczyłam go na korytarzu sanatorium Fieberglas. Postarzał się.

Patrząc na dymiący wrak, zrozumiałam, co się stało.

Co by było, gdyby Hugh nie umarł, w końcu odszedł ode mnie i wrócił do Charlotte? Właśnie to.

Urodziłby im się ów chłopiec i przez kilka lat — jednaście, dwanaście lub trzynaście — żyliby jak szczęśliwa rodzina. Pewnego dnia wybraliby się za miasto swoją nową, elegancką, srebrną limuzyną. Przejazdźka miałaby tragiczny finał: twarz niczym rozkwaszona śliwka, Kojot na bawełnianej koszulce, skażone piękno popękanej szyby.

McCabe oddalił się do swego samochodu, żeby wezwać pomoc. Nadal byłam pogrążona w stanie „śpiączki”, która teraz mnie osłaniała. W innych okolicznościach, widząc martwego Hugh Oakley, postradałabym zmysły. Teraz czuwałam przy nim, nasłuchując nieziemsko pięknej pieśni dochodzącej z radia. Nie czułam się aż tak źle, wiedziałam bowiem, że stało się inaczej. Że Hugh odszedł cicho, głaszcząc mnie po głowie, kiedy byliśmy sami, wraz z końcem letniej burzy. Czyż tak nie było lepiej? W ciszy, w miłości, na półmetku życia z kobietą, która kochała go bardziej, niż uważała to za możliwe? Gotowa byłam uchylić mu nieba. Powstrzymać planety na orbitach, żeby tylko nam się udało. Patrzyłam na niego. Musiałam zadać pytanie, na które nie mógł odpowiedzieć, ponieważ nie żył. Był martwy, zarówno tutaj, jak i w moim życiu.

— Które życie byłoby dla ciebie lepsze? Które by ci pozwoliło przeżyć?

Nad naszymi głowami obojętne, rozszczebiotane ptaki lądowały na drutach i zrywały się do lotu, aby zająć się swoimi sprawami.

## PACNIĘCIE TERAŻNIEJSZOŚCI

Do Crane's View podrzucił mnie przyjaciel McCabe'a z ochotniczej straży pożarnej. Szef policji został na miejscu. Gdy wozy strażackie i ambulansy zrobiły swoje, Frannie poprosił przyjaciela o odstawienie mnie do miasteczka.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, zanim mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy, zapytał, czy znam ofiary. Zawahałam się, po czym zaprzeczyłam. Wówczas po— skrobał się za uchem i powiedział, że to okropna, straszna tragedia. Państwo Salvato byli takimi porządnymi ludźmi. Znał Ala od lat, a nawet głosował na niego, kiedy ten ubiegał się o urząd burmistrza.

Skonsternowana zapytałam, kogo ma na myśli. Wskazał kciukiem za siebie, w stronę miejsca wypadku.

— Salvatów. Ala, Christine, małego Boba. Diabelnie sympatyczna rodzina. Jeden błąd i wszyscy nie żyją. Płakać się chce. Do większości karamboli wzywa się straż. Zwłaszcza tych ciężkich. Ale to jest najgorsze. Przyjeżdżasz na miejsce wypadku, co już jest straszne, a potem patrzysz do samochodu i widzisz znajomych ludzi. Jezu, leżą tam, wszyscy martwi. Mówię pani, czasem odechciewa się człowiekowi tej roboty.

Obróciłam się w fotelu o sto osiemdziesiąt stopni i wyjrzałam przez tylną szybą. Po chwili wróciłam do poprzedniej pozycji.

— Zaglądał pan do wnętrza tego samochodu? Jest pan pewien, że widział tam swoich przyjaciół? — Zapytałam z naciskiem, bo przecież także ich widziałam: Hugh, Charlotte i ich syna. Całą grozę nieszczęścia.

— Jasne, że widziałem! A o czym ja mówię przez cały czas, droga pani? Jestem strażakiem! Zdejmowałem Ala z kolumny kierownicy, która wbiła mu się dwie stopy w pierś! Do jasnej cholery, stałem sześć cali od jego twarzy.

Zamilkł. Obserwowałam go, aż stało się oczywiste, że więcej się nie odezwie. Ponownie okręciłam się na fotelu i spojrzałam za siebie. Dojeżdżaliśmy do Crane's View.

Gdy znaleźliśmy się w centrum, przypomniałam sobie, jak bardzo oboje z Hugh byliśmy podekscytowani w dniu przeprowadzki. Chcieliśmy zrobić wszystko od razu — wyładować nasze rzeczy z ciężarówki, obejrzeć sklepy, przespacerować się po Crane's View, poczuć klimat miasteczka. Ponieważ była piękna pogoda, zdecydowaliśmy się na spacer i poszliśmy nad rzekę obserwować przepływające łodzie.

— Nic nie może się z tym równać — stwierdził Hugh. Wziął mnie za rękę i uściśnął. Potem zaczął się oddalać.

Kiedy spytałam, dokąd idzie, nie odpowiedział. Śledziłam go wzrokiem: kluczył wpatrzony w ziemię, aż wreszcie schylił się i podniósł mały brązowy patyk wielkości cygara. Trzymając go w palcach, pomachał nim do mnie, aby się upewnić, że go widzę.

— Czekałem tylko na właściwą chwilę, żeby go poszukać. Teraz ona nadeszła. Jesteś ty, woda, dzień... Idealny moment, aby włączyć pierwszy patyk Mirandy do mojej kolekcji.

Podszedł i podał mi go. Przesunęłam kciukiem po drewnienku, a potem — spontanicznie — pocałowałam je.

— Mam nadzieję, że to nie ostatni.

Odebrał ode mnie patyk i wsunął go do kieszeni dżinsów. — Wiele dla mnie znaczy. Muszę o niego dbać.

Wysiadając, zastanawiałam się, gdzie się podział ów patyk Hugh. Oczekałam, aż samochód zniknie za rogami przecznicy, a potem spojrzałam na front naszego domu. Czuję pełną pustkę — żadnego lęku, niepokoju, nawet odrobiny ciekawości. Wydarzenia ostatnich dwóch dni nauczyły mnie, że nie mam innego wyboru, jak tylko wejść do domu i

stawić czoło czekającej mnie tam niewiadomej.

Gdy tak gapiłam się na budynek, który jeszcze niedawno uważałam za nasz dom, za rodzinne ognisko, przypomniałam sobie o pewnym zajściu zaaranżowanym przez Hugh, które mną poruszyło.

Jednego wieczoru, w moim nowojorskim mieszkaniu, Hugh zawołał mnie do sypialni. Kiedy tam przyszłam, zatrzymał mnie w drzwiach, kładąc rękę na framudze.

— Zrób dokładnie to, co ci powiem, okay? Spójrz szybko na stolik obok łóżka i powiedz mi, co widzisz. Nie zastanawiaj się. Rzuć okiem i powiedz.

Zaintrygowana zgodziłam się. Tam, gdzie zazwyczaj stała moja nocna lampa, ciemniał jakiś osobliwy kształt. Zmrużyłam oczy, by lepiej mu się przyjrzeć, ale nie zdało się to na wiele. Nie miałam zielonego pojęcia, co to takiego. Ciągle zachodziłam w głowę, gdy Hugh opuścił rękę, podszedł do łóżka i włączył lampę. To bowiem była moja lampa, tyle że leżała bokiem, wskutek czego z daleka nie można jej było poznać.

— Czy to nie dziwne? Wystarczy drobna zmiana położenia, jeden mały ruch, i wszystko, co wydaje nam się pewne i oczywiste, znika bez śladu. Coś podobnego trafiło mi się dziś rano. Mamy w biurze uroczy wazon projektu Lalique'a. Stoi u nas już wiele lat, ale dzisiaj ktoś go przewrócił albo coś. Kiedy go zobaczyłem, na boku, wyglądał kompletnie inaczej. Nie umiałbym nawet powiedzieć, co to za przedmiot. No więc sterczałem w korytarzu jak słup soli i zastanawiałem się, „co-to-jest-do-jasnej-cholery?” Wtedy podeszła do niego Courtney, postawiła go — i ukazał się wazon.

Jego opowieść nie powaliła mnie z wrażenia i musiał to odczytać z mojej miny, gdyż objął moją twarz dłońmi i uściśnął mi policzki.

— Nie rozumiesz? Nigdy nic nie jest w pełni skończone. Wszystko ewoluuje: każda rzecz ma setki kątów i załomków, których nie dostrzegamy. Tracimy ostrość widzenia, aż tu nagle stajemy zakłopotani wobec takiego dysonansu jak dziś rano, czasem nawet wkurzamy się albo zachwycamy. Właśnie taki chcę być: zachwycać się tym, czego nie znam.

Była to urocza uwaga w jego stylu, lecz nie miałam z niej większego pożytku. Pocałowałam go, ustawiłam lampę na stoliku i wróciłam do robienia kolacji.

Tej samej nocy czyjś dotyk wyrwał mnie z głębokiego snu. Czułam go na twarzy, między nogami, na biodrach. Moje drżące ciało i zaspany umysł odpowiedziały szczęśliwym unisono — jęknęłam przez sen. Odgłos lub jego przyczyna sprawiły, że na moment stężałam, po czym z całej siły trzepnęłam ręką w bok. Moja dłoń pacnęła Hugh w czoło z donośnym ŁUP! Zaskoczony krzyknął i odsunął się, łapiąc się za głowę. Po chwili oboje śmialiśmy się i dotykaliśmy, w końcu zaś zrobiliśmy to, co Hugh zamierzał uczynić od samego początku.

Później zasnął; zostałam sama na jawie. Aby zwalczyć nudę godziny trzeciej nad ranem, zrobiłam w głowie szybki przegląd wydarzeń minionego dnia, przypominając sobie przewróconą lampę oraz to, co Hugh w związku z nią powiedział. Podobnie stało się przed chwilą, gdy zbudził mnie jego dotyk. Ja jednak, inaczej niż Hugh, nie zachwyciłam się tym, czego nie znałam. Wprost przeciwnie — w odpowiedzi na niespodziewane nocne pieszczoty zaatakowałam mojego kochanka. Niezdolna zatrzymać myśli, przywołałam też inne wspomnienia, uświadomiłam sobie, że owa posępna konstatacja dotyczy całego mojego życia. Leżałam w łóżku i czułam się sztywna i zdrętwiała jak szyja starej kobiety.

Wciąż stałam na chodniku przed naszym domem. Co by powiedział Hugh? Jak postąpiłby na moim miejscu w ciągu tych ostatnich dni? Nie wiedziałam już, co się dzieje w moim życiu. Hugh nie żył, a ta sama przekrzywiona lampa dalej tkwiła przy naszym łóżku. Mieliśmy taki elegancki dom — konserwatywny i solidny, niczym ciotka, na której zawsze można polegać. Weranda była wymarzonej miejscem na hamak, pogaduszki i mrożoną herbatę latem; o ścianę opierał się wysłużony rower. Na tym ganku mogłyby harcować dzieci. Ilekroć zamknęłam oczy, widziałam dzieciaki bawiące się w berka na drewnianej podłodze.

Ostrożnie! Nie tak szybko! Ile mielibyśmy dzieci? Ile rowerów latem lub saneczek zimą stałoby opartych o ścianę domu?

Dałam jeden niepewny krok, zawahałam się, zrobiłam następny. W końcu ruszyłam zdecydowanie. Gdzieś nieopodal zatrafił samochód. Odwróciłam głowę, lecz wbiegłam na schody — osiem, dziewięć, dziesięć. Rozmyślnie unikałam zaglądania do okien. Obawiałam się ujrzeć coś nowego, co odstraszy mnie od wejścia do domu.

Wbiłam rękę w tylną kieszonkę i wyłowiłam pęk kluczy z breloczkiem New York Mets, który podarował mi Clayton Blanchard, kiedy u niego pracowałam. Myśl o Claytonie nieco mnie uspokoiła. Skoro ciągle istniał on, to istniał też Nowy Jork i stare książki, ostał się jakiś ład, gorąca kawa i zimna woda sodowa. Można było nadal wejść gdzieś, skąd nie spadało się raptem poza kraniec płaskiej ziemi. Gdzie mieszkała miłość i normalność. Musiałam wrócić do tego miejsca, przez wzgląd na siebie i nasze dziecko. Ono i wspomnienia stanowiły wszystko, co Hugh pozostawił mi w spadku. Żadne nie potrafiło zafunkcjonować w tej dziwnej rzeczywistości, w jakiej się znalazłam.

Wsadziłam klucz w zamek i przekręciłam go. A raczej usiłowałam przekręcić. Klucz utknął i ani drgnął. Spróbowałam jeszcze raz, bez powodzenia. Nacisnęłam klamkę. Nie ustąpiła, ale była ciepła, jakby ktoś przed chwilą ją trzymał. Potrząsnęłam nią, naparłam na drzwi, spróbowałam przekręcić klucz, znów nadusiłam klamkę. Nic.

Zostawiłam klucz w zamku, podeszłam do okna i zajrzałam do środka. Nic. Wnętrze tonęło w mroku. Z trudem dostrzegłam rozmyte kontury mebli w pokoju gościnnym: nowe krzesło Hugh i kanapa. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła mnie potrzeba znalezienia się wewnątrz, bez względu na to, co mnie tam czeka. Wróciłam do wejścia i zaczęłam od nowa mocować się z drzwiami, tym razem z wściekłością wywołaną zniecierpliwieniem: zamek, klamka, pchnięcie, szarpanina. Ciągle nic.

— Wolnego! Powoli! Chcesz zamordować te biedne drzwi?

Nie wypuszczając klamki z rąk, obejrzałam się przez ramię. McCabe stał na chodniku i trzymał się pod boki. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął paczkę papierosów.

— A co ty tutaj robisz? Myślałam, że musiałeś zostać... tam. — Zrobiłem, co do mnie należy. Mówisz im, co widziałeś, oni spisują raport, a potem puszczają cię wolno. Martwiłem się o ciebie, więc pomyślałem, że zanim pojedę na posterunek, wpadnę zobaczyć, czy wszystko w porządku.

— Dzięki za troskę. Słuchaj, czy znałeś tych ludzi z wypadku?

— Salvatów? Oczywiście. Ona i ten dzieciak byli bardzo mili, ale ludzkość nie będzie rozpaczać po Alu.

— Salvato? Tak się nazywali? Pochodzą z Crane's View?

— Owszem. Al był właścicielem paru sklepów w centrum. „Zielone światło Ala Salvato”. Razem się wychowaliśmy. Czemu pytasz?

— Bo... no, nie wiem. Kiedy zajrzałam do wraka, wydali mi się znajomi.

McCabe nabrał powietrza i wolno je wypuścił. Policzki nadeły mu się jak balony.

— To trudna chwila dla wszystkich. Zwłaszcza za pierwszym razem. Ja nigdy do tego nie przywykłem. Podejrzewam, że byłaś skołowana.

Nie miałam wątpliwości, że w samochodzie znajdowali się Hugh i jego rodzina. Było to zupełnie oczywiste.

— Widziałem, że walczysz z zamkiem. Coś się stało? Wskazałam wymownie na drzwi i roześmiałam się zrezygnowana.

— Nie mogę się dostać do własnego domu. Chyba zamek się zepsuł. Nie mogę przekręcić klucza, klamki zresztą też.

— Pozwolisz? — McCabe cisnął na wpół wypalony papieros, wspiął się na ganek, ujął klucz i spróbował go obrócić. Jeden raz. Nic. Był to mały gest, ale spodobał mi się. McCabe nie zgrywał się na SUPERMEŻCZYZNĘ, który po pięciu minutach zmagania się z zamkiem

zmusza go do kapitulacji, żeby się pochwalić. Spróbował raz, a gdy nic nie wskórał, oddał mi klucz.

— Masz dwie możliwości: albo zadzwonimy po ślusarza za pięćdziesiąt dolców, chociaż znam faceta, który zejdzie z ceną. Albo udasz, że nie widzisz tego... — Wyciągnął coś z kieszeni i pokazał mi. Wytrych. Widziałam takie w setkach programów telewizyjnych. — To co, próbujemy szczęścia?

— Chętnie zaoszczędzę pięćdziesiąt dolarów. — Dobrze, zobaczymy.

Wsunął podłużny, szydłowaty wytrych do zamka i powiercił nim przez chwilę. Znieruchomiał i wykonał drobny ruch dłonią, przy czym dało się słyszeć wyraźne pstryknięcie. Nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się.

— Cza–cza–cza. — Odsunął się i omiół wejście szerokim gestem. — Sezamie, otwórz się. Stałam w pół kroku.

— Słuchaj, wiem, że masz milion spraw na głowie. Ale czy nie zechciałbyś wejść ze mną na kilka minut? Byłabym spokojniejsza, gdyby ktoś przez jakiś czas dotrzymał mi towarzystwa.

Spojrzał na swój luksusowy zegarek.

— Jasne, mam czas. Zajrzyjmy do środka. — Nie czekając, wszedł do domu.

Po sekundzie wahania ruszyłam za nim.

— Ojjoj, zostawiłaś coś na kuchence?

— Nie.

— Lepiej zacznijmy od kuchni. — Bezbłędnie skierował się we właściwą stronę.

Na moment zbiło mnie to z tropu, zanim przypomniałam sobie, że przecież McCabe był wiele razy w domu Frances.

— Kiedyś panowały tu dziwne zapachy — odezwał się, jak gdyby czytał w moich myślach. — Jak tu wchodziłaś, nigdy nie wiedziałaś, co poczujesz. Czasem była to ambrozja, a czasem Perth Amboy. Czy Frances upiekła ci tort pekanowy? Raz był pyszny, a raz gorszy niż karma dla psów. Trzy dni nie mogłem doszorować zębów. Frances była fatalną kucharką. Pyszne zupy, koszarne mięso. Nie wolno jej dopuścić do garnków. Kiedyś na urodziny przyrządziła mi... — Pchnął drzwi kuchenne, ale się nie otworzyły. — Zamknęłaś je?

— Nie.

Popatrzyliśmy na siebie.

— Ciekawe. — Napał na drzwi, lecz te nie ustąpiły. Zaczął pogwizdywać piosenkę Beach Boysów Help Me Rhonda. Włożył ręce do kieszeni, ale natychmiast wyjął je z powrotem. Kopnął lekko dolną krawędź drzwi — stuknięcie rozeszło się, aż nadto głośno, po całym domu. Nie przestał gwizdać. — To ciekawe. Może zaraz się wyjaśni, dlaczego nie mogłaś dostać się od zewnątrz. — Wyciągnął z kieszeni karmazynową kartę kredytową, wsunął ją w szczelinę między drzwiami a framugą i przesunął do góry. Zza drzwi dobiegło ciche, metaliczne „klik”. — Gotowe! Pamiętam ten druciany haczyk, bo sam go tam zakładałem Frances dawno, dawno temu. — Popchnął drzwi.

Najpierw pojawiła się woń spalenizny, a potem dym. Niezbyt dużo, ale wystarczająco, aby mnie zaskoczyć i przestraszyć. McCabe wkroczył odważnie do kuchni. Po kilku sekundach rozległ się chrzęst metalu i trzask, po czym szef policji upadł na ziemię tuż przede mną.

— O w mordę...

Po podłodze walały się kawałki metalu i szkła. Jedne w całości, inne złamane i pocięte. Największy z nich można było bez trudu rozpoznać — srebrne wieko bagażnika z wtopionymi w nie insygniami bmw. Nie był to jedyny srebrny fragment pochodzący z wraka samochodu Hugh.

McCabe pozbierał się i stał z pokaleczonymi rękoma. Spojrzał na mnie oszołomionym wzrokiem.



— Skąd się tu wziął ten bajzel?

Wiedziałałam skąd. Wiedziałałam doskonale. Nie powinnam była wciągać McCabe'a do domu. Ktokolwiek tu był, ktokolwiek za to odpowiadał, chciał, żebym była sama. Nieświadomie naruszyłam reguły gry. Teraz oboje, biedny McCabe i ja, zapłacimy za mój błąd.

Odwrociłam się i pobiegłam do drzwi frontowych. Ma się rozumieć, były zamknięte. Chwyciłam klamkę i spróbowałam ją obrócić, ale nie ruszyłam jej nawet o milimetr. Jak gdyby ktoś przyspawał ją do zamka. Zdałam sobie sprawę, że wszelkie próby znalezienia drogi wyjścia skazane są na porażkę.

Wróciłam do kuchni. McCabe stał nad zlewem i obmywał dłonie. Robił to wolno, metodycznie. Mimo napięcia najwyraźniej się nie spieszył. Nic nie przychodziło mi do głowy — cokolwiek bym powiedziała, w tej sytuacji zabrzmiałoby absurdalnie.

McCabe, odwrócony do mnie plecami, wymruczał:

— Ona znowu tu jest, prawda? Wróciła. — Z haczyka przy oknie zdjął czerwoną ściereczkę. Osuszając ręce, czekał na odpowiedź.

— Nie wiem nawet, kim ona jest. Wiem tylko, że odkąd Hugh i ja wprowadziliśmy się do tego domu, dzieją się tutaj dziwne rzeczy.

— Czy dlatego Frances chciała, abyśmy ją odwiedzili? Powiedz prawdę, Mirando.

— Tak. Ale skąd ty to wiesz? Co to za ona?

— Frances nazywała ją „Surinamską Ropuchą”. Pisze o niej Coleridge, ten poeta, w jakimś wierszu. Frances kazała mi się nauczyć tej linijki na pamięć. „Myśli pęcznią mi jak surinamska ropucha, której z pleców, boków i brzucha wypryskują małe ropuszki, która rozrasta się w pełzaniu”. Kiedy byłem młody, usiłowała mnie zabić, ale Frances uratowała mi życie. To działo się tutaj, w tym domu. — Usiadł przy stole. Niespiesznie zlustrował panujący w kuchni bałagan i nadał usta. — Zaczyna się od nowa. Myślałem, że co było — minęło, ale ta pierdolona ropucha wróciła.

Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam pudełko plastrów. Podałem je McCabe'owi i usiadłam naprzeciw niego.

— Możesz mi opowiedzieć wszystko po kolei?

— Teraz muszę ci opowiedzieć. Pamiętasz, jak mnie spytałaś, czy znam kogoś obdarzonego niezwykłymi zdolnościami? Frances jest jedną z takich osób. Czasami...

Rozległ się donośny zgrzyt. Podskoczyłam na krześle i spojrzałam w kąt kuchni. Pokrywa bagażnika poruszała się. Powoli sunęła w naszą stronę po podłodze. Inne szczątki także się ożywiły. Kuchnia wypełniła się okropnym chrzęstem i szczękiem, przeraźliwym piskiem ostrych krawędzi złojących podłogę. Sunący krzywo bagażnik zostawiał za sobą głęboką, białą bruzdę.

Sięgnęłam przez blat stołu, wyjęłam McCabe'owi ściereczkę z ręki i przykryłam dłonią jego rany. Brocząca nieustannie krew oblepiła mi palce. Wstałam, podeszłam do metalowej szafki i pomazałam ją krwią. Ruch, hałas — wszystko nagle ustało. Zaległa głęboka cisza.

McCabe wetknął ręce pod pachy, jakby usiłował je schować.

— Co zrobiłaś? Dlaczego to się skończyło?

Nie umiałam mu odpowiedzieć. Sama nie byłam pewna. Instynktownie udało mi się zatrzymać szczątki wraku, ale nie miałam pojęcia, skąd wiedziałam, jak tego dokonać. Mój rozpalony umysł starał się znaleźć jakiś porządek.

Dom! Miałam wrażenie, iż spędziłam w nim całe życie. Składał się z pewnej liczby pokoi, które znałam jak własną kieszeń — każdy kąt, widok z każdego okna. I oto nagle przybywa temu domowi dwa razy tyle pokoi, wypełnionych nie znanymi przedmiotami. Ale to wciąż mój dom. Zawsze należał do mnie, po prostu nie wiedziałam o owych dodatkowych pomieszczeniach i o tym, co się w nich znajduje.

McCabe patrzył na mnie kwaśno, nie wyjmując rąk spod pach.

— No więc? Ty też wiesz co nieco, prawda, Mirando? Skąd wiedziałaś, co robić?

— Krew to zatrzymuje. Ja... ja tylko wiedziałam, że krew wszystko zatrzyma.

— O, świetnie. I co dalej? Co jeszcze się do diabła wydarzy? — Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z kuchni. Słyszałam, jak robi to samo, co ja przed chwilą: podchodzi do drzwi frontowych i próbuje je otworzyć. Usłyszałam jego kroki, potrząsane drzwi, przekleństwa, gdy nie udało mu się ich otworzyć.

Ponownie rozległy się jego kroki, zamiast jednak przybliżyć się do kuchni, skierowały się w górę schodów. McCabe mówił coś, ale nie mogłam dosłyszeć słów. Obrzuciłam wzrokiem szczytki w kuchni i nagle zachciało mi się śmiać. Złomowisko Mirandy. Witajcie w mojej kuchni, gdzie znajdziecie zderzak do waszego bmw. Później poczęstuję was obiadem. Człowiek trochę mniej się boi, kiedy świat — jeszcze przed chwilą normalny — teraz staje na głowie.

Skoro Hugh przyszedł na podwórko za domem, to może nadal gdzieś tu jest? Nie miałam nic do stracenia.

— Hugh? Jesteś tam?

Nic.

— Hugh? Słyszysz mnie?

Drzwi kuchni uchylły się. Ale to był McCabe.

— Chodź ze mną — rzucił. — Pospiesz się.

Wyszłam za nim z kuchni i zobaczyłam, że znów wspina się na piętro.

— Lubisz lalki?

Pytanie było tak absurdalne i zaskakujące, że stanęłam w połowie schodów.

— Że co?

— Czy lubisz lalki? Pytam, czy je lubisz. — W jego głosie brzmiał ton śmiertelnej powagi, jakby cała sytuacja zależała od mojej odpowiedzi.

— Lalki? Nie. Dlaczego?

Zmrużył oczy i wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

— Naprawdę? Jeśli tak, to niedobrze. Bo one są w tym samym pokoju, co przedtem. Domyślałam się więc, że powtarza się ta sama cholerna kabała! Tylko że tym razem Frances nas z niej nie wyciągnie.

— O czym ty mówisz, McCabe?

— Zaraz zobaczysz.

Wtedy przypomniałam sobie.

— Czekaj. Kiedyś uwielbiałam lalki. Zbierałam je, jak byłam małą.

Kiedy przemierzyliśmy korytarz, szef policji podszedł do drzwi sypialni i otworzył je na oścież.

— Ktoś tutaj lubi lalki.

Zanim przenieśliśmy się do Crane's View, kupiliśmy sobie nowe łóżko. W sypialni powinny znajdować się jedynie dwa sprzęty: nasze łóżko i mała skórzana kanapka, którą trzymałam od wielu lat. Nic więcej.

Tymczasem sypialnia była zastawiona lalkami. Łóżko, kanapa, większość podłogi. Zabawki czepiały się ścian, wisiały na suficie i stały na parapecie. Zasłaniały prawie całe światło wpadające przez okno. Setki, może tysiące lalek. Były dosłownie wszędzie. Wielkie, małe, o twarzach płaskich i okrągłych, z biustem i bez, ubrane w dzinsy, stroje ludowe, wieczorowe suknie i w błazeńskie kostiumy...

Wszystkie miały jedną twarz — moją.

— Zostaw mnie samą, Frannie.

— Co?! Zwariowałaś?

— Chcą tego. Chcą, żebym została sama.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, ale milczał.

— Frances miała tę samą „przygodę”, zgadza się? Właśnie w tym pokoju. To samo. Czy to też były lalki?

McCabe spuścił wzrok.

— Nie. Ludzie. Ludzie, których znała z dawnych czasów. Tak twierdziła.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, gdyż odezwał się pierwszy głos. Dziecięcy głosik, do którego dołączały kolejne, tak że po chwili załala nas ogłuszająca kakofonia głosów. Staliśmy w drzwiach, zasłuchani, aż wreszcie zaczęłam rozróżniać niektóre z nich.

— Czemu musimy zawsze chodzić do ciotki Mimi? Ona śmierdzi. — Przecież obiecałaś, że kupisz mi psa.

— Tatusiu, czy gwiazdy są zimne czy gorące?

I tak dalej. Jedne były czyste i wyraźne, inne rozpląwały się w szumie tonów, jęków i szeptów. Ale wiedziałam już. Wszystkie te słowa i zdania były moje, wypowiedziałam je różnymi głosami, które zmieniały się, w miarę jak dorastałam. Pierwszym zdaniem, jakie rozszyfrowałam, było pytanie o gwiazdy. Świetnie je pamiętałam, gdyż mój ojciec, astronom, uwielbiał je i powtarzał znajomym przez całe moje dzieciństwo.

Ciotka Mimi naprawdę śmierdziała. Odwiedziny u niej stanowiły dla mnie istną torturę.

Rodzice w końcu się ugięli i dali mi psa, którego po trzech tygodniach mi skradziono. Miałam wówczas dziewięć lat.

Gdybym została w sypialni dostatecznie długo, przypuszczam, że usłyszałabym wszystkie słowa, jakie w życiu wyrzekłam. Zamiast patrzeć na przesuwające mi się przed oczami życie, słyszałam słowa. Choć niektóre trącały struny pamięci, większość była pustym słowotokiem z dwunastu tysięcy dni przeżytych na ziemi. Czytałam gdzieś, że człowiek wypowiada za życia około miliarda słów. Teraz słyszałam je wszystkie naraz.

— Wyjdź stąd. Zaczekaj na dole.

— Miranda...

— Proszę cię, Frannie. Wyjdź.

Zawahał się, a potem położył rękę na klamce.

— Będę na korytarzu. Przed sypialnią. Jeżeli będziesz mnie potrzebować.

— Dobrze. W porządku.

Drzwi zamknęły się za nim i w pokoju nastała cisza.

— Mirando, czy wyświadczysz mi wielką przysługę? Ledwie przed kilkoma sekundami panowała tutaj taka wrzawa, tak wiele głosów zderzało się z sobą, że owo proste pytanie, wyrosłe z nagłej ciszy, budziło szczególnie niepokój. Tym bardziej, że zadał je mężczyzna o jakże znajomym głosie.

— Jasne. Wymasować ci plecy?

— Nie. Chciałbym, abyś poszła ze mną do apteki.

— Teraz? Psie, zlituj się. Za parę godzin muszę być na lotnisku, a wiesz, ile mam jeszcze spraw na głowie.

— To ważne, Mirando. To bardzo ważne dla mnie.

Stałam plecami do drzwi. Obejrzawszy się za siebie, ujrzałam całkiem inne pomieszczenie: hotelowy pokój w Santa Monica w Kalifornii. Doug Auerbach siedział na łóżku. Z telewizora dobywały się okrzyki teleturniej owej publiczności. Doug śledził mnie wzrokiem, kiedy wyszłam z łazienki, z głową owiniętą białym ręcznikiem. To był ten dzień, kiedy poszliśmy do apteki, bo Pies całe życie marzył, że zrobimy to razem. Dzień, kiedy odlatywałam do Nowego Jorku i gdy w drodze na lotnisko ujrzałam kobietę na wózku.

Stałam w kącie sypialni i patrzyłam, jak po raz wtóry rozgrywa się fragment mojego życia. Tyle że tym razem byłam tutaj w dwóch osobach: jako przeżywająca tamtą chwilę i jako obserwatorka.

— Co się nie zgadza na zamieszczonym obrazku? — zapytał James Stillman, wychodząc z łazienki. Doug Auerbach i Miranda kontynuowali rozmowę, nieświadomi jego obecności. —

Gdzie Waldo? — James uśmiechnął się z przekąsem; wyraz jego twarzy, którą tak dobrze zapamiętałam, był przerażający.

— Dlaczego tu jestem, James? Co mam robić?

— Przestań skomleć i zadawać pytania. Jesteś tutaj, bo ktoś tak chciał. Rusz głową, Mirando! Przestań zachowywać się jak mały ślepy szczeniak. Marnujesz tylko czas, wrzeszcząc: „Czemu ja?!”

Jego głos był chłodny i okrutny. Przeszłam go spojrzeniem, ale wytrzymał mój wzrok. Obeszłam hotelowy pokój, uważnie przyglądając się wszystkiemu, mając nadzieję na znalezienie jakiejś wskazówki, przysłuchując się rozmowie tamtych dwojga. Wlewające się przez okno światło błyszczało na wypełnionej do połowy wodą szklance na nocnym stoliku. Na podłodze leżał zmięty pomarańczowy papierek po czekoladce. Książka. Zielona skarpetka na łóżku.

— Czy mogę dotykać tych rzeczy?

Znów się uśmiechnął po swojemu.

— Rób, co chcesz. Oni nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam ramienia Douga. Nie zareagował. Potrząsnęłam nim, a raczej spróbowałam to uczynić, ale w ogóle się nie poruszył. Nadal kłapał paszczą. Chwyciłam popielniczkę i rzuciłam nią w głąb pokoju. Rąbnęła głośno o ścianę, a mimo to żadne z nich nie usłyszało trzasku.

Wyjrzałam przez okno. Popołudniowe słońce miało barwę spłowiałej żółci. Na chodniku włóczęga w czarnym berecie i pstrokatym poncho pchał sklepowy wózek obładowany gratami. Dwa dzieciaki śmignęły obok niego na deskorolkach. Menel krzyknął coś za nimi. o dziwo, chociaż okno było zamknięte, słyszałam każde słowo, które tamten mówił. Niespodziewanie, jak policzek wymierzony w twarz, zorientowałam się, że wiem o tym człowieku wszystko. Nazywał się Piotr „Pudel” Voukis. Miał sześćdziesiąt siedem lat i był bułgarskim emigrantem z Babjaka. Przez dwadzieścia lat pracował jako woźny na University of California w Los Angeles, zanim wylano go za pijaństwo. Miał dwóch synów, z których jeden zginął w Wietnamie. i tak dalej, i dalej: zalała mnie fala szczegółów dotyczących życia tego mężczyzny. Poznałam jego najskrytsze tajemnice i obawy, imiona kochanek i wrogów, kolor modelu motorówki, który skleił i puszczał na stawie w Echo Park, wraz z synami, kiedy ci mieli po kilka lat, a życie nie doświadczyło go tak ciężko jak później. Następnie zobaczyłam go w sali szpitala uniwersyteckiego, gdzie spędził długie, posępne miesiące, czuwając przy łóżku chorej żony; jej wnętrzości toczył rak żołądka, aż w końcu zamienił je w czarny, cuchnący budyń.

Wszystko — widziałam każdy szczegół, który mu się roił w jego na wpół przytomnej, pijackiej głowie.

Odwrociłam się z trwogą. W tej samej sekundzie fala zniknęła i znowu byłam sobą. Tylko sobą.

Przez moment.

James powiedział coś, a ja bez namysłu spojrzałam na niego. Ujrzałam krajobraz przesuwany się za szybą jego samochodu, który pędził na spotkanie śmierci w Filadelfii. Znałam już słowa wytatuowane na nadgarstku jego ostatniej kochanki, Kiery. Teraz doznałam uczuć, jakie żywił do Mirandy Romanac: nostalgii, pretensji, starej miłości... Przylegały do siebie ściśle jak liście kapusty.

Gdy tylko spojrzałam na Jamesa Stillmana, stałam się nim, tak jak przed chwilą stałam się menelem.

Wrzasnęłam ze strachu, który nie był moim strachem, i zachwiałam się na nogach: James bał się mnie jak ognia. Stając się nim, zrozumiałam, dlaczego jest tak przerażony i jak można mu pomóc. Nie zaliczam się do ludzi odważnych, nigdy nie strugałam bohaterki, dlatego to, co następnie uczyniłam, jest największym aktem odwagi w moim życiu. Od tej pory stale go

żałuję. Wprawdzie natychmiast zauważyłam to, czego szukałam, ale byłam tak zdenerwowana, że obejrzałam pokój dwukrotnie, zanim to sobie uświadomiłam. Lustro. Małe owalne lustro nad biurkiem. Przejrzałam się w nim.

Środek sceny ogromnego teatru zajmował mężczyzna w czarnym garniturze i jedwabnej pelerynie sięgającej mu do kostek. Wysoki i przystojny, zarazem pociągły i przerażał. Czerni okrywała go od stóp do głów: ubranie, skórzane trzewiki, włosy lśniące jak lukier. Nawet jego śnieżnobiała skóra akcentowała ową ciemność. Zobaczyłam go i od razu wiedziałam, że człowiek ten jest zdolny do prawdziwej magii.

Wpatrzony we mnie, mężczyzna wypowiedział moje imię grzmiącym głosem. Skąd mógł wiedzieć, jak mam na imię, skoro tego wieczoru widziałam go po raz pierwszy? Skinął na mnie niedbale, pokazując, bym dołączyła do niego na scenie. Spojrzałam na matkę i ojca siedzących po moich bokach. Oboje uśmiechnęli się na znak zgody i entuzjazmu. Ojciec położył mi nawet rękę na plecach, żebym dłużej nie zwlekała. Z widowni podniosły się oklaski. Uwaga publiczności bardzo mnie peszyła, ale jednocześnie dodawała animuszu. Prześlizgnęłam się między rzędami siedzących i zesłam szeroką nawą aż do schodków prowadzących na scenę. U wejścia stał, oparty o statyw, obszerny afisz głoszący imię artysty:

Niesamowity Shumda  
Shumda der Enorm  
Bauchredner Extraordinaire

Kiedy wchodziłam po schodkach, oklaski się nasiliły. Obawiając się, że się potknę i wyjdę na fajtłapę, ostrożnie stawiałam kroki, zbliżając się do mężczyzny w czerni. Ten uniósł rękę i aplauz momentalnie zamarł. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której wszyscy czekaliśmy na następny ruch artysty. On jednak nie robił nic. Stał tylko z założonymi na plecach rękoma. Chwila przedłużała się. Mężczyzna wpatrywał się w publiczność. Czekaliśmy niecierpliwie na dalszy ciąg występu.

Gdy ludzie zaczęli szeptem wyrażać swoje niezadowolenie, wierząc się na krzesłach, na scenę wybiegł mały dalmatyńczyk. Przez jakiś czas kręcił się wte i wewte, obwąchując podłogę sceny, a potem podszedł do nas. Część publiczności parsknęła śmiechem, reszta szczydziła na cały głos.

Shumda nie próbował powstrzymać chichotów i drwin. W dalszym ciągu milczał i gapił się przed siebie. Mimo że obserwowały nas setki ludzi, od chwili mojego wejścia na scenę nic się nie wydarzyło, nie licząc pojawienia się psa. Kiedy już, już się zdawało, że napięcie i rozdrażnienie publiczności rozsądzi gmach teatru, dalmatyńczyk skoczył w powietrze i wykonał koziołka w tył. Gdy wylądował, huknął pięknym, tubalnym głosem:

— Cisz! Cóż to za maniery? Co jest z wami, ludzie?

Shumda, z kamienną twarzą, spojrzał na psa, a potem na mnie. Niepostrzeżenie puścił do mnie oko. Obrócił się z powrotem ku publiczności i z tą samą surową miną wsunął ręce do kieszeni spodni.

Kiedy dalmatyńczyk przemówił, ludzie westchnęli głośno i krzyknęli ze zdumienia. Pies usiadł na scenie, moszcząc się wygodnie. Nadal mówił przyjemnym męskim głosem, który bynajmniej nie przypominał głosu brzuchomówcy.

— Jako że wydajecie się państwo rozczarowani Shumda, odtąd ja poprowadzę spektakl. Czy pozwolisz, maestro?

W odpowiedzi Shumda skłonił się głęboko, najpierw publiczności, potem zaś psu. Ten skinął leciutko łbem, jakby odpowiadał na ukłon. Czarny brzuchomówca okręcił się na pięcie i zszedł ze sceny. Kiedy zniknął, oddalając się na dobre pięćdziesiąt stóp od zwierzęcia, dalmatyńczyk ponownie się odezwał:

— Przechodząc do następnej sztuczki, chciałbym prosić tę oto młodą damę, żeby...

Pandemonium! Jak to możliwe, że pies gada ludzkim głosem, skoro brzuchomówcy nie ma na scenie?

Zwierzę odczekało cierpliwie, aż publiczność ochłonie.

— Chciałbym prosić tę młodą damę, żeby podeszła na skraj sceny i wyciągnęła obie ręce na boki.

Zrobiłam tak. Cztery stopy od krawędzi sceny zatrzymałam się i wolno podniosłam rękę. Wysunęłam się tak daleko do przodu, że straciłam z oczu mówiącego psa. Spojrzałam ponad morzem zaintrygowanych twarzy i zdałam sobie sprawę, że patrzą tylko na mnie, na mnie, na mnie. Przepęłniło mnie poczucie szczęścia.

— Jaki jest twój ulubiony ptak?

— Pingwin! — wykrzyknęłam radośnie.

Publiczność wybuchnęła gromkim śmiechem i zabiła brawo. Ogólną wesołość przerwał dopiero kolejne odezwanie się psa.

— Zaiste, nadzwyczajny to ptak. Obdarzony wielką osobowością. Nam wszakże potrzebny jest mistrz podniebnych lotów. Ze skrzydłami anioła, zdolny przelecieć kontynenty bez lądowania.

Polizałam usta i zastanowiłam się.

— Może być kaczka? Kolejna salwa śmiechu.

— Genialny wybór. A zatem, moja droga, zamknij oczy i pomyśl o lataniu. Jest wczesny ranek: niebo ma odcień brzoskwiń i śliwek. Wyobraź sobie, że wzbijasz się ponad ziemię i przyłączasz do swoich kaczych pobratymców, odlatujących na zimę do południowych krain.

Zamknęłam oczy i w tym samym momencie poczułam pustkę pod nogami. Zerknęłam w dół — pode mną rzeczywiście była pustka: wisiałam stopę, dwie stopy, pięć, dziesięć nad sceną i unosiłam się coraz wyżej. Byłam latającym dzieckiem.

Szybowałam nad widownią. Ujrzałam zadarte głowy ludzi wybałuszających zdumione oczy. Usta rozdziawione lub zakryte dłonią, ściśnięte policzki, wyciągnięte w górę ręce, dzieci podskakujące na fotelach, kapelusz zsuwający się z kobiecej głowy... Przeze mnie.

Gdzie moi rodzice? Nie mogłam ich odszukać wśród mrocznej masy głów.

Leciałam dalej, aż znalazłam się pośrodku teatru. Wtedy wzbiłam się jeszcze wyżej. Jak ptaki to robią? Ludzie są tacy ociężali! Płynęłam łagodnie, trzymając ręce przed sobą, ale niezbyt daleko — jakbym grała na fortepianie. Na powietrznym fortepianie. Zaczęłam przebierać paluszkami.

Gdy moje ciało zatrzymało się w środku teatralnej sali, unosiłam się siedemdziesiąt stóp nad widownią. Nie miałam przyczepionych do pleców żadnych linek ani sekretnych urządzeń, poruszałam się za sprawą magii gadającego psa.

Czas stanął w miejscu. W teatrze zrobiło się zupełnie cicho.

— Co ty wyprawiasz? Oszalałeś? — Poniżej Shumda wmaszerował energicznie na scenę, spoglądając to na mnie, to zaś na skulonego nagle dalmatyńczyka.

— Ależ, maestro...

— Ile razy mam ci powtarzać? Psy nie potrafią wykonywać tych sztuczek! Nie wiesz, co robisz!

Nieśmiały śmiech na sali.

— Sprowadź ją na ziemię! W tej chwili!

Ja jednak nie miałam ochoty opaść na ziemię. Chciałam pozostać lekka jak piórko do końca przedstawienia, tak aby ludzie w dole spoglądali na mnie z zazdrością. Żeby gapili się całą wieczność, w zachwycie, na mnie, anioła, wróżkę... P o t r a f i ę l a t a ć !

— Sprowadź ją na ziemię!

Runęłam w dół.

Widziałam jedynie twarze. Przerażenie, zdumienie, niedowierzanie odcisnięte na twarzach

ludzi, którzy patrzą, jak na nich spadam. Twarze rosły. Z jaką prędkością spada dziecko? Ile czasu mija do chwili zetknięcia się z ziemią? Pamiętam zarówno szybkość, jak i powolność. Zanim się przeraziłam, nim zdążyłam krzyknąć, rozbiłam się.

I umarłam.

## MALUJĄC NIEBIOŚA

— Kochanie, nic ci nie jest?

Słowa napłynęły mi wolno do głowy jak gęsty, kleisty sos. Brązowa zawiesina.

Z ledwością otworzyłam oczy i usiłowałam skupić wzrok. Malowidło było okropne. Rozbite, gryzące się kolory układały się w jaskrawy, efekciarski, bezsensowny galimatias. Gdyby to były instrumenty dęte, ich rzenie i buczenie sprawiłoby niewątpliwie, iż zakryłabym uszy i wzięła nogi za pas.

Gdy nieco mi się przejaśniło, przypomniałam sobie z uczuciem dojmującego zawodu, że obraz należy do mnie — ja go namalowałam. Pracowałam nad nim od wielu miesięcy, lecz moje wysiłki, by go poprawić, spęły na niczym. Zawsze.

Może z tego powodu coraz częściej traciłam przytomność. Co dzień dłużej leżałam na plecach, malując fresk na suficie kościoła, który kupił mi Tyndall. Ten fresk miał przekonać innych, że jestem malarką z prawdziwego zdarzenia. Nie tylko ogólnodostępną kochanką. Nie tylko zgrabną dupą, którą sławni artyści tolerowali, gdyż zawsze była chętna i gotowa. „Art.– Pizdą”, jak nazwał mnie Pollock, prosto w oczy. Kiedy skończę, sami się przekonają. Zobaczą, że jestem o całe niebo lepsza, niż któremukolwiek z nich się śniło. Mój fresk będzie niezbitym dowodem.

Zrazu był to cudowny pomysł — i jedyna przyczyna, dla której nadal spotykałam się z Lionelem Tyndallem. Pozwalałam, aby pieprzył mnie, ile dusza zapagnie, i żeby dostał fioła na moim punkcie. Stałam się jego narkotykiem. Później, kiedy popadł w uzależnienie, wykorzystałam go. Posłużyłam się jego pieniędzmi i stosunkami, by zdobyć to, na czym naprawdę mi zależało: szacunek takich ludzi, jak Willem de Kooning, Eleanor Ward, Lee Krasner czy Jackson Pollock. Tak, nawet ten sukinsyn. Jedno z niewielu interesujących spostrzeżeń, jakie Tyndall poczynił na temat tych największych: Nie zostawiali miejsca na pustkę. Miał rację. Moim marzeniem było przyprowadzić ich tutaj i pokazać im moje dzieło. Pochwalić się niebiosami, które namalowałam na suficie kościoła będącego własnością Lionela Tyndalla. Kościoła, który od niego wydebiłam, jedną ręką sięgając mu do kieszeni, a drugą do rozporoka.

W szkicowniku odnotowałam uwagę Matisse’a, która stała się moim życiowym credo: „Skłaniam się ku temu, co czuję: ku rodzajowi ekstazy. Wtenczas znajduję spokój ducha”. Odkąd zajęłam się pracą w kościele, starałam się, jak tylko mogłam, pójść za głosem instynktu, „skłonić się ku temu, co czuję”. Niestety, moje uczucia rozminęły się z namalowanym freskiem. Co gorsza, nie potrafiłam sobie wyobrazić, by kiedykolwiek jeszcze się do niego zbliżyły. „Nie zostawiali miejsca na pustkę”? Moje dzieło, przestrzeń wokół niego nie były niczym innym jak pustką.

Nie ma nic gorszego od życia w poszukiwaniu namiętności, która wciąż się wymyka. Od świadomości, czego się chce, i niemożności spełnienia się. Od piętnastu lat chciałam zostać malarką i robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby dopiąć celu. Jednakże nie udało mi się i wyglądało na to, iż nigdy mi się nie uda.

— Kochanie? Nic ci nie jest?

Płaczliwy głos, dobiegający z dołu, sprawił, że zadrżałam. Tyndall miał gdzieś, czy coś mi jest, czy nie. Chciał, abym zlazła na dół, żebyśmy wyszli na dwór i kochali się w jego aucie, pod drzewem, w wodzie, gdziekolwiek bądź. Taka była nasza niepisana umowa. On kupił ten opuszczony kościół na przedmieściach Easthampton i zaopatrzył mnie w niezbędne przybory malarskie. Ja miałam w zamian schodzić na ziemię i oddawać mu się, ilekroć sobie tego zażyczył.

A co z moimi omdleniami? Z tymi niebezpiecznymi chwilami, które zdarzały się raz lub dwa w miesiącu, kiedy to świat po prostu się zapadał, i po których przychodziłam do siebie



bez pamięci?

— Nie zejdziesz na dół? Zjemy obiad. Siedzisz tam od siódmej rano.

Gapiąc się w sufit, myślałam o jego dłoniach, oddechu na moim karku, o subtelnym zapaszku piżma, którym tchnęło jego ciało, kiedy się podniecał.

Przekulnęłam się na bok, aby spojrzeć na niego. W tym momencie usłyszałam głośny, ostry trzask. Przestraszona chciałam obrócić się na brzuch, ale nie zdążyłam. Rozległ się następny trzask, piskliwe „wiiijuu!” pękającego metalu, i całe rusztowanie zawało się.

Upadłam.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, zanim stalowy pręt, odłamawszy się od rusztowania, przeszył mi gardło, była jedna z twarzy namalowanych przeze mnie na suficie.

Szum. Wszędzie panował szum, w którym mieszały się ludzkie i nieludzkie odgłosy. Parosekundowy wizg i skrzypienie metalu, a potem cisza. Tym razem nic nie łamało się ani nie pękało, tylko gorący metal skrzypiał przez ułamki sekund. Lecieliśmy. Wagonik mknął jak rakietka. Gdy otworzyłam oczy, oślepił mnie blask słońca, który zajaśniał po czerni tunelu. Wirowaliśmy, podskakiwaliśmy, przewracaliśmy się. Siedzące obok nas dzieci eksplodowały świeżym podmuchem wrzasków. Wyjechaliśmy w górę, w górę, w górę, niemal stanęliśmy, po czym wykręciliśmy skomplikowaną beczkę na szynie kolejki.

Spojrzałam na Jamesa. Włosy przykleiły mu się płasko do głowy. Patrzył przed siebie i uśmiechał się adrenalinowym uśmiechem szaleńca. Podczas przejażdżki nie spuszczałam go z oka, usiłując odczytać z jego twarzy to, co cały dzień było wyczuwalne, lecz niezupełnie jasne. James spojrzał na mnie i już wiedziałam: przestałam go kochać.

Obchodziłam osiemnaste urodziny. James zaproponował, żebyśmy uczcili je w lunaparku. Dzień był prześliczny. Za dwa tygodnie rozjeżdżaliśmy się do różnych uczelni i nigdy nie byliśmy sobie bliżsi. Wiedziałam jednak, że nie przetrwamy tych dwóch tygodni. Choćbyśmy nie wiem jak się zarzekali, że będziemy do siebie pisać i dzwonić, że wakacje zimowe tuż, tuż... Nie kochałam go.

Gdy kolejka zawróciła i pomknęła ku widocznemu już końcowi przejażdżki, z piersi wyrwał mi się spazm szlochu, dziwny i gwałtowny jak szczeknięcie psa.

— Wiesz, co w tobie kocham?

Siedzieliśmy na ławce, zajadając watę cukrową i gapiąc się na przechodniów. Udałam, że nie mogę odkleić różowej słodyczy od palców i umieścić jej w ustach. Nie chciałam wiedzieć, co James we mnie kocha ani teraz, ani nigdy.

— W twoich ramionach czuję się sławny.

— Co?

— Nie wiem. Po prostu czuję się sławny, kiedy mnie trzymasz w ramionach. Kiedy mnie obejmujesz. Czuję, że jestem kimś. Że coś znaczę.

— Dziękuję za komplement, Jamesie. — Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. On jednak wyciągnął mi watę z ręki i obrócił twarzą do siebie.

— To prawda. Nie masz pojęcia, jak bardzo będę za tobą tęsknił w przyszłym roku.

— Ja też.

Skinął głową. Jego przeświadczenie, że oboje mamy te same smutne myśli, jeszcze bardziej zepsuło mi humor. Poczułam ścisk w gardle i wiedziałam, że zaraz się rozpłaczę. Toteż mocno zacisnęłam powieki.

Po zgiełku panującym podczas przejażdżki kolejką cisza była nagła i ogromna. Zobaczyłam trzydziestoletniego Jamesa: siedział w wykuszowym oknie sypialni w Crane's View i przyglądał mi się. Lalki zniknęły. Pokój znowu przypominał sypialnię, którą — zbyt krótko — dzieliłam z Hugh Oakleyem.

— Witaj z powrotem. Czego się dowiedziałas w trasie?

— Wszystkie te kobiety były mną. Latająca dziewczynka, malarka, ja i ty w lunaparku... Każda miała inne życie, ale w środku była tą samą... osobą. I każda myślała wyłącznie o sobie. Wszystkie to skończone egoistki. Czy były też inne? Czy żyłam również w innych wcieleniach, James?

— W setkach. Chcieli pokazać ci więcej, ale okazałaś się pojętna: zorientowałaś się po trzech ostatnich.

— Wszyscy ci ludzie byli jakoś ze sobą związani. — Zetknęłam koniuszki palców. — Shumda był narzeczonym Frances. Mała dziewczynka udawała się na jego występ. Natomiast ta kobieta malująca fresk to Lolly Adcock, prawda?

James przytaknął, po czym dodał z sarkazmem:

— Która zginęła tragicznie, zanim świat poznał się na jej talencie. Umarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim. W tym samym roku urodziła się Miranda Romanac. Dziewczynka zmarła w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, czyli roku urodzenia Lolly.

— Wdepnąłeś w tę aferę z falsyfikatami. Tymczasem Frances posiadała oryginalny obraz. Wycelował we mnie palcem.

— Tak samo Hugh, który o tym nie wiedział. Pamiętasz te cztery obrazki z kobietą, które wisiały w jego domu? To Lolly je namalowała, gdy pobierała naukę w Studenckiej Lidze Artystycznej.

— Przedstawiają tę dziewczynkę, która miała wypadek w teatrze, zgadza się? Tak by wyglądała, gdyby przeżyła upadek i dorosła. Lolly sądziła, że obrazy narodziły się w jej wyobraźni. Dlatego robiły na mnie takie dziwne wrażenie. Jakbym skądś znała tę kobietę, choć przecież nigdy jej nie widziałam.

James skrzywił się i zachłysnął powietrzem.

— Skąd o tym wiesz?

— Skąd! Na miłość boską, James, nie widzisz, przez co przesłama? O co w tym wszystkim chodzi? Nie igraj ze mną jak kot z myszą. Myślałam, że chcesz mi pomóc.

— Nie, to ty masz mi pomóc, Mirando! Wyciągnąć mnie z tego cholernego bagna! Nie dla ciebie tu jestem, ale dla siebie. Błagam, puść mnie wolno! Zrobiłem wszystko, co mogłem. Pokazałem ci, co wiem. Wiedziałaś o obrazach i o tym, kogo one przedstawiają. Ja o tym nie wiedziałem. Nie rozumiesz? Jestem skończony. Dałem ci wszystko, co miałem. Więc teraz pozwól mi odejść. Uwolnij mnie!

— Dlaczego mnie to spotyka? Czemu akurat teraz?

Potrząsnął głową.

— Nie wiem.

— Gdzie jest Hugh?

— Nie wiem.

— Kim jestem?

Zerwał się na nogi i z furią ruszył w moją stronę.

— Nie wiem! Miałem ci tylko przekazać moją wiedzę. Że odrodziłaś się w obecnym wcieleniu. Że wszystko, co przeżyłaś w minionych żywotach, łączy się ze sobą. Wszystko. I że zawsze troszczyłaś się jedynie o siebie. Dziewczynka w teatrze była małą, rozpieszczoną egoistką. Lolly Adcock używała ludzi jak papieru toaletowego. Ty zaś... No, powiedz, jak mnie potraktowałaś po tym, jak uświadomiłaś sobie, że jestem ci obojętny? Doug Auerbach. Ten facet z kamerą wideo, który cię spoliczkował w twoim sklepie. Rozbiłaś małżeństwo Hugh, bo nie chciałaś się nim dzielić... Zawsze ty, na pierwszym miejscu. Bez względu na koszty.

— Dlaczego kazali ci po mnie przyjść? Kto za tym stoi?

— Miranda? Wszystko w porządku? — Głos McCabe'a, dobiegający zza drzwi, sprawił,

że oboje się odwróciliśmy. James wskazał na niego kciukiem.

— Twój przyjaciel czeka na ciebie.

— Kim oni są, James? Powiedz mi tylko to.

Uniósł podbródek i przekrzywił głowę na bok jak zdezorientowany pies.

— Mirando, otwórz drzwi!

— Nic mi nie jest, Frannie. Już wychodzę.

— Błagam, pozwól mi odejść — zaskomlał żałośnie James.

Nie patrząc, otworzyłam lewą dłoń. Spoczywał na niej mały, srebrnobiały patyczek. Zobaczyłam na nim idealnie czytelne, brązowe litery: James Stillman.

Patyk zaczął dymić. Po chwili zajął się jasnym płomieniem. Mimo że palił się na mojej dłoni, nie czułam ani gorąca, ani bólu. Patrzyłam zahipnotyzowana, niezdolna odwrócić oczu. Ogień pełgał, rósł, ogarniał całą moją rękę. Nadal nic nie czułam.

Ktoś mnie zawołał — usłyszałam niewyraźny męski głos. Czy to James? McCabe? Podniosłam wzrok. Byłam sama. James zniknął.

Dopiero wtedy nastąpił wybuch bólu. Wrzeszcząc, zaczęłam wymachiwać ręką, lecz podmuch tym silniej rozniecił płomień.

Moja skóra najpierw poczerwieniała, a potem stała się pomarańczowa, płynna i lśniąca jak oliwa.

A jednak gdzieś w głębi ducha ktoś nieznamy, kim niegdyś byłam, podpowiedział mi, jak zatrzymać ból. Strzepnij ogień jak popiół z żarzącego się papierosa. Wolną ręką strąciłam płomień, który ześlizgnął się i spadł na podłogę niczym czerwony dżem.

Za plecami usłyszałam trzask otwieranych drzwi. McCabe wpadł do sypialni i zaczął wywlekać mnie za kołnierz. Ledwo mogłam się ruszyć. Ręka mnie już nie bolała. Chciałam patrzeć, jak płomień rozszerza się na podłodze, jak wspina się po kapie na łóżku i wskakuje na pościel.

— Szybciej! Szybciej! — McCabe szarpnął mnie tak mocno, że zatoczyłam się do tyłu.

Sypialnia wypełniła się dymem i ogniem, strzelające z łóżka języki ognia lizały i osmałyły sufit.

Frannie włókł mnie za sobą. Wiedziałam, co się ze mną stało, lecz mój umysł nie mógł tego ogarnąć. W chwili gdy James poprosił, bym go uwolniła, i bez ostrzeżenia poczułam w ręce patyk, byłam drugą osobą. Tą, która wyczarowała patyk i płomień. Która przeżyła wszystkie żywoty i rozumiała dlaczego. Która słyszała niewiarygodne szmery w kamienicy Frances Hatch. Którą niebawem poznam aż za dobrze i będę się jej bała.

Ona wiedziała, jak uwolnić Jamesa Stillmana i ulżyć w bólu płonącej ręce. Ale na dźwięk mojego imienia, gdy uniosłam oczy, stałam się z powrotem Mirandą Romanac, która była zwykłym śmiertelnikiem.

Znaleźliśmy się w korytarzu. McCabe zatrzaskał drzwi i rozejrzył się zatroskanym wzrokiem.

— Mam próbować to ugasić czy wynosimy się stąd do wszystkich diabłów?

— Nie wyjdziemy stąd, Frannie. Dom nas nie wypuści. Jest nawiedzony. Przez moje duchy. Ściągnęłam je tutaj, kiedy się wprowadziłam.

Szef policji milczał. Ogień buzował o dwie stopy od nas. — To samo przydarzyło się Frances, kiedy byłem małym gówniarzem.

— To samo?

— No, nie całkiem, ale w sumie na jedno wychodzi. Masz rację, nie wydostaniemy się stąd. Chyba że ty wymyślisz jakiś sposób.

— A co zrobiła Frances?

— Poszła na strych. Ale nie powiedziała mi po co.

Spojrzałam na sufit.

— Tu nie ma strychu.

McCabe podniósł głowę.

— Ależ tak, byłem tam ze sto razy.

— Zniknął. Nie ma już strychu, Frannie. Ten dom się zmienia.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz przerwał mu stłumiony huk wybuchu dobiegający z za drzwi sypialni.

— Kurwa, co my teraz zrobimy, Mirando?! Musimy się gdzieś schować!

— Piwnica. Jest w piwnicy.

— Co jest w piwnicy?

— Nie wiem, Frannie. Powiedziałałabym ci, ale nie wiem. Chodźmy do piwnicy. — Popatrzyłam na rękę, która parę minut wcześniej płonęła. Nie było na niej nawet śladu oparzeń.

— Zaczekaj chwilę. Jedną sekundkę, dobrze? — McCabe puścił się biegiem przez korytarz i znikł za rogiem.

Wszystko cuchnęło dymem, który wpadał przez szczelinę pod drzwiami i snuł się tuż nad podłogą.

W piwnicy byłam parę razy. Składała się z dwóch obszernych pomieszczeń. Hugh stwierdził, że kiedy zarobimy trochę grosza, jakoś urządzimy tę wolną przestrzeń. Hugh. Hugh. Hugh... W obu pomieszczeniach było światło — i jeszcze jedno u szczytu schodów. Spróbowałam przypomnieć sobie, czy wewnątrz piwnicy znajduje się cokolwiek ważnego.

Frannie przydreptał z powrotem. Sprawiał wrażenie zmieszanego.

— Miałaś rację: tam nic nie ma. Kiedyś w suficie były ryglowane drzwi, z których wysuwała się składana drabina. Nic nie zostało. Cały strych szlag trafił!

— Daj spokój. Idziemy.

— Cały dom się spali, a my będziemy tkwić w tej pieprzonej piwnicy!

Ruszyłam przodem. Zejście po schodach, zakręt w lewo i tuż przed kuchnią — białe drzwi do piwnicy. McCabe sięgnął do klamki, ale go powstrzymałam.

— Pójdę pierwsza.

Poczułam stęchłą wilgotnej ziemi i kamieni. Miejsce, dokąd nie docierało powietrze i gdzie nigdy nie wiała bryza. Pstryknięcie światła u wejścia nie zdało się na wiele. Sześć—dziesięciowatowa żarówka oświetliła jedynie kilka pierwszych stopni, reszta schodów tonęła w brązowym mroku. Złapałam się chybotałej poręczy i dałam krok w dół.

— Na Boga, mam nadzieję, że ktoś wezwał straż pożarną. Chłopcy mają dziś pracowity dzień.

— Cicho, Frannie.

Odtąd słychać było tylko głuchy stukot naszych kroków na drewnianych stopniach. Podłoga na dole była nierówna i twarda jak klepisko. Schody od pierwszego pomieszczenia dzieliło około dziesięciu stóp. Nie domknięte drzwi wypuszczały słaby promyk światła, który kładł się na podłodze. Podeszłam i otworzyłam je na oścież.

Kilkanaście dni wcześniej pomogłam Hugh znieść tutaj parę rzeczy. Wcześniej pomieszczenie było puste, nie licząc kilku połamanych krzesel i tarczy strzelniczej na jednej nodze. Rzuciliśmy kartony i walizki pod zapleśniałe ściany i dyskutowaliśmy, czy nie trzeba by tu trochę posprzątać. Po latach zaniedbań piwnica zamieniła się w cuchnącą graciarnię, gdzie wywala się różne rupiecie i niezwłocznie zapomina o ich istnieniu.

Rzęsiście oświetlony pokój, do którego teraz weszłam, w niczym jednak nie przypominał dawnego lochu. Na ścianach, pomalowanych w radosne, różowopomarańczowe kolory, wisiały obrazki z bohaterami kreskówek Walta Disneya, ogromnymi bulterierami George'a Bootha, Tin Tinem i Milou, postaciami z *Czarodzieja z Oz*. Na wypolerowanym parkiecie piętrzył się stos wypchanych zwierzątek i rysunkowych postaci: Olive Oyl, Myszka Minnie, Daisy.

Na środku pokoju stała najniezwyklejsza kołyska, jaką kiedykolwiek widziałam.

Wykonana z czarnego mahoni, musiała mieć co najmniej kilkaset lat. Misterne rzeźbienia, pokrywające każdy cal jej powierzchni, przywodziły na myśl średniowiecze. Anioły i zwierzęta, chmury i słońca, planety, gwiazdy, Droga Mleczna i proste niemieckie słowa wyrzeźbione z najwyższą dbałością o szczegóły: *Liebe, Kind, Gott, Himmel, unsterblich...* Ile czasu zajęła snycerzowi budowa tej kołyski? Całe życie. Ludzka dłoń nie była w stanie pełniej wyrazić uczucia miłości. To była miłość wyrzeźbiona w drewnie. Zachwycona ruszyłam w stronę niespodziewanego arcydzieła; myślałam wyłącznie o nim.

— Bądź ostrożna, Mirando!

Głos McCabe'a zbiegł się z tym, co ujrzałam w kołysce.

— O Boże! O mój Boże!

To była nasza córeczka. W kołysce leżało dziecko, które nosiłam w łonie, dziecko Hugh. Rozpoznałam ją natychmiast. Dotknęłam ręką brzucha i nie panując nad sobą, zaczęłam dygotać. Choć to niemożliwe, wiedziałam z absolutną pewnością, że spoglądałam na nasze dziecko. Czułam, jak drży mi szczęka, kiedy zdołałam cicho wyszeptać:

— Jak się masz, kochanie.

Dziewczynka leżała na plecach, ubrana w śpioszki tej samej barwy co ściany piwnicy. Bawiła się paluszkami, na przemian uśmiechając się i marszcząc brwi w głębokim skupieniu. Była podobna do Hugh. Była podobna do mnie. Najpiękniejsze dziecko na świecie. Nasze.

Nie spojrzała na mnie nawet wtedy, gdy pochyliłam się nad kołyską. Ochłonawszy, wyciągnęłam rękę, by jej dotknąć. Kiedy byłam tuż obok, zaczęła się rozwiewać. Nie umiem inaczej tego opisać. Im bardziej się zbliżałam, tym bardziej bladła, bieląca, stawała się przezroczysta.

Za pierwszym razem cofnęłam szybko rękę. Zmaterializowała się ponownie. Nawet jej różowe śpioszki stały się znów namacalne. Kołyska, pierzynka, pokój — wszystko trwało na swoim miejscu, z wyjątkiem naszej córeczki. Nie mogłam jej dotknąć. Było to objęte zakazem.

„Muszę jej dotknąć!” — zaprotestowałam w głębi serca. „Jakże mam nie dotknąć własnego dziecka?!”

— Nie możesz.

Spojrzałam na McCabe'a. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie wściekłości.

— Nie rozumiesz? To jedna wielka zmyłka, Mirando. Potrząsają za twój łańcuch. Jeszcze się nie połapałaś? Musisz znaleźć stąd jakieś wyjście. Stoimy pod palącym się domem. To jedyna rzeczywistość, innej nie ma.

Nie mogłam się z tym pogodzić. Znowu wysunęłam rękę i znów stało się to samo. Dziewczynka rozplynęła się w powietrzu. Nawet na mnie nie spojrzała. Moja ręka zastygła w bezruchu.

— Nie widzi mnie. Dlaczego ona mnie nie widzi?

— Ponieważ jej w ogóle nie ma! Ten pokój, to dziecko, wszystko jest iluzją. Wyośmy się stąd! Zajrzyjmy do drugiego pomieszczenia, a potem wyośmy się do jasnej cholery.

— Ja nie mogę. Muszę tu zostać.

— Nie ma mowy. — McCabe przeszedł obok mnie, podniósł kołyskę i cisnął nią o przeciwległą ścianę. Odbiła się, spadła na podłogę i wywróciła do góry nogami. Jakiś drewniany odprysk doleciał aż do mojej stopy.

Przerażona, skoczyłam ku kołysce i odwróciłam ją. Była pusta. Zaczęłam obmacywać jej wnętrze, ale trafiłam jedynie na puste, gładkie drewno; dziecko, koc i pierzynka zniknęły. Z rozpaczny zapomniałam nawet o McCabe i o tym, co zrobił. Gdzie dziecko? Gdzie mam go szukać?

— Możemy już iść? Czekają na nas. — Głos za moimi plecami brzmiał całkiem obco.

Obróciłam się i zobaczyłam mężczyznę, którego w pierwszej chwili nie poznałam. Shumda. Niesamowity Shumda, Brzuchomówca Extraordinaire, kochanek Frances Hatch,

człowiek odpowiedzialny za śmierć małej dziewczynki, która niegdyś była mną. Po McCabe, rzecz jasna, wszelki ślad zagaął.

— To była twoja sprawa od samego początku. Ogień w sypialni i mówiące lalki, cały ten pokaz rzeczywiście był iluzją. McCabe w ogóle nie wrócił do miasteczka, kiedy opuściłam miejsce wypadku.

Shumda uklonił się.

— Zgadza się. Naśladowanie głosów to moja specjalność. Niemniej naprawdę musimy stąd wyjść.

— Dokąd? Co się stało z moim dzieckiem? Gdzie ona jest?

— Sama musisz odgadnąć. Zbierajmy się!

— Nigdzie nie idę.

— Och, nie masz wyboru. Czeka cię oświecenie, Mirando! — zawołał dramatycznym głosem marnego aktorzyzny, który nagle pojawia się na scenie.

Stałam bez ruchu. Jego wielki uśmiech ściągnął się w wyraz niezadowolenia.

— To było moje dziecko, prawda?

— Owszem. Chodź ze mną, a zobaczysz je w sąsiednim pokoju. Ona tam jest.

— Nie wierzę ci.

— Możesz mu wierzyć. — W drzwiach ukazał się Hugh, trzymając niemowlę na rękach. Dziewczynka uśmiechała się, okładając go po nosie otwartymi rączkami. — Mirando, musisz to zrobić. Nie ma innej drogi.

Wyciągnęłam obie ręce. Do Hugh. Do naszego maleństwa. Hugh uśmiechnął się.

— W porządku, Mirando. Shumda mówi prawdę: idź z nim, a wszystko zrozumiesz. — Zanim się odwrócił na odchodnym, jego spojrzenie padło na pustą kołyskę. Podszedł do odłamanego kawałka drewna, leżącego przy mojej nodze. Popatrzył na mnie i wiedziałam, że powie coś ważnego.

— W porządku.

Wszyscy troje wyszli. Podniosłam drewnienko i wsunęłam je do kieszeni. Powlokłam się ciężkim krokiem przez piwnicę. Było cicho, powietrze cuchnęło wilgocią i brudem. Miałam rozplomioną twarz. Czułam własny pot.

Drzwi do drugiego pomieszczenia były zamknięte. Chwyciłam klamkę i szarpnęłam. Drzwi drgnęły z trudem i zazgrzytały przeraźliwie na nierównej podłodze. Otworzyłam je do połowy i przerwałam, żeby zaczerpnąć tchu. Nie byłam przygotowana na taki wysiłek. Serce parę razy dziwnie zatrzepotało mi w piersi. Pociągnęłam ponownie, z całych sił, i wreszcie drzwi rozwarły się do końca.

Spodziewałam się pomieszczenia tej samej wielkości co poprzednie. Nic więcej. Nie miałam pojęcia, co w nim będzie, a już nie śniło mi się nawet to, co zobaczyłam.

Rampa: szeroka betonowa rampa prowadziła w stronę światła. Jaskrawe lampy na tle nocnego nieba oświetlały coś, czego nie mogłam na razie dojrzeć, a co przypominało... Stadion? Boisko sportowe? Gigantyczne bloki reflektorów, ustawione w równych odstępach, świeciły na obiekt, który musiał być chyba boiskiem. Wyszłam z piwnicy i wkroczyłam na szarą rampę.

Stałam i rozejrzałam się na boki. Miałam rację, to stadion. Z obu stron odchodziły dróżki łączące pozostałe rampy. W college'u często bywałam na meczach futbolowych, później zaś chodziłam na stadion Yankee z chłopakiem, który szalał na punkcie bejsbola. Stadion był ogromny. Przeszłam przez drzwi piwnicy mojego domu w Crane's View i znalazłam się w trzewiach kolosalnego stadionu sportowego.

Wokół nie było ludzi, przez co pustka wydawała się tym bardziej złowieszczą i niepokojącą. Trzydzieści stóp dalej zobaczyłam jasno oświetloną budkę z napojami, ale nie było przy niej ani sprzedawców, ani kupujących.

— Halo?

Nic.

Co teraz? Wspięłam się kawałek po rampie, mając nadzieję, że może coś z tego zrozumieć. Hugh powiedział, że tak trzeba. Shumda obiecał, że jeśli tutaj wejdem, znajdem nasze dziecko.

Serce ciągle miało mi się w piersi. Położyłam na nim uspokajającą dłoń. Dobrze już, dobrze. Po kilku krokach stanęłam i obejrzałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy drzwi do piwnicy nadal są na miejscu. Były. Jeszcze mogłam zawrócić. Wahałam się. Przecież niczego tam nie zostawiam, wszystko jest przede mną. Pomaszerowałam naprzód. W górę rampy, na stadion.

Echo kroków niesło się wokół mnie do chwili, gdy weszłam na koniec rampy. Wówczas na stadionie powstała dzika wrzawa. Słyszałam ją wielokrotnie: kiedy podczas meczu bejsbola lub na koncercie rockowym wracasz na swoje miejsce po kupieniu hot doga lub wyjściu do toalety. Wprawdzie szum trwa cały czas, ale chwilowo wtapia się w tło. Twoje kroki brzmią donośniej, ale tylko do chwili, gdy osiągniesz szczyt rampy i wejdiesz na stadion. W ułamku sekundy spowijają cię odgłosy życia dwudziestu tysięcy ludzi. Rozmowy, śmiechy, szelesty, gwizdy... Jeden wielki jazgot.

Stadion wypełniony był ludźmi. Stałam w wejściu i chłonełam rozciągający się przede mną widok. Tysiące ludzi. Wszystkie miejsca były najwyraźniej zajęte. W pierwszym odruchu niezbyt uważnie przyglądałam się siedzącym, bo objęłam wzrokiem cały stadion. Zdziwiłam się, widząc puste boisko: bez słupków bramek, linii dziesięciu jardów i strefy końcowej. Próżno by szukać pola bejsbolowego z bazą–metą i białymi liniami ścieżek. Zamiast tego ciągnęła się wymuskana murawa, porośnięta soczyście zieloną trawą — tym zieleńszą, że oświetloną przez oślepiająco jasne reflektory. Usłyszałam strzępy rozmów i śmiechu, szuranie butów na kamiennych płytach, odgłosy klaskania, odległe wiwaty. Więcej. Znacznie więcej. Gwar setek tysięcy ludzi huczących jak w ulu.

Hugh wyszedł na płytę boiska, tuląc do piersi nasze dziecko. Byli sami, tyciuteńcy na tle ogromnej murawy. Hugh patrzył w moją stronę, lecz nie uczynił żadnego gestu, aby mnie przywołać. Pomachałam mu nieśmiało. Pokiwał mi rączką dziecka. Co robić? Czemu się tutaj znaleźliśmy? Kim są ci wszyscy ludzie? Co oznacza ten stadion?

Podczas gdy podobne pytania kotłowały mi się w głowie, szum stopniowo opadał, przycichał, a w końcu niemal zniknął. Zrobiło się prawie zupełnie cicho. Rozejrzałam się wokół, bo byłam ciekawa, jak inni zareagują na ową nagłą, upiorną ciszę. Ale także dlatego, iż poczułam wodę kolońską. Subtelny aromat męskiej wody kolońskiej, który kazał mi poszukać jej źródła. Pamiętałam nawet, jak się nazywa: „Racines”.

Gdy spojrzałam w lewo, doznałam podwójnego szoku. Po pierwsze, wszyscy wpatrywali się tylko we mnie. I po drugie, zobaczyłam starego przyjaciela, Clayтона Blancharda — człowieka, który wprowadził mnie w tajniki handlu książkami i przedstawił mi Frances Hatch. To jego wodę kolońską poczułam. Siedział zaledwie trzy stopy ode mnie, jak zwykle elegancki, w wyprasowanym ciemnym garniturze, kolorowym jedwabnym fularze i w białej koszuli. Bezgłośnie wymówiłam jego imię: „Clayton? Tutaj?” Uśmiechnął się.

Obok niego siedział chłopiec, którego z początku nie poznałam. Potem wspomnienie, jak pływak wynurzający się z bezdennej toni, wypłynęło pomału na powierzchnię, a gdy się przebiło, wiedziałam już, kim jest ów chłopiec. Miał śmieszne nazwisko: Ludger Pooth. W 1922 roku jego rodzina mieszkała z nami przy Mariahilferstrasse w Wiedniu. Pewnego razu on i jego przyjaciel, Kuno Sandholzer, zwabili mnie na strych naszego domu i kazali mi zdjąć majtki. Sądziły, że zmuszają mnie do jakiejś potworności, ale ja nie miałam nic przeciwko temu. Przynajmniej zwracali na mnie uwagę. Ludger nosił brązowy, tweedowy kaszkiet z daszkiem, za który bez przerwy ciągnął. Bardzo dobrze zapamiętałam ten gest.

Przy nim siedziała osoba, którą też rozpoznałam dopiero po chwili: Viktor Petluchen — pierwszy mężczyzna, z którym Lolly Adcock poszła do łóżka. Lustrując setki, tysiące wgapionych we mnie twarzy, wkrótce znałam już wszystkich obecnych. Nazwiska. W miarę jak napływały coraz to nowe nazwiska, przypominałam sobie łączące się z nimi historie.

Znałam tych ludzi w poprzednich żywotach. Nadal pamiętałam, w jakich okolicznościach poznaliśmy się i rozstaliśmy, jaką rolę każdy z nich odegrał w moim życiu. Wszyscy zgromadzili się na tym stadionie.

Ilu ludzi poznajemy za życia? Ilu wywiera na nas wpływ i vice versa? Wyobraź sobie, że raptem otaczają cię ludzie, których kiedykolwiek znałeś, nieważne, czy całe życie, czy przez moment. Patrzą na ciebie, stanowią bowiem jedyne wspólne ogniwo. Jesteś osnową ich życia.

A teraz wyobraź sobie, że istnieje reinkarnacja. Że wszyscy ci ludzie pochodzący z twoich dawnych wcieleń zjawiają się równocześnie...

Cisza pogłębiła się. Tu i ówdzie rozlegało się krótkie kasznięcie, skrzyknięcie podeszwy, podniecony szept. Czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Nie mogłam się powstrzymać od zerkania na boki — każda nowa twarz niosła ze sobą kolejną porcję wspomnień.

Ludzie ci nosili stroje swojej epoki, składające się na cały wachlarz stylów i wyglądów. Mężczyźni byli ubrani w robotnicze kombinezony, płócienne sukmany, żebracze szmaty i dwurzędowe marynarki z „Huntsmana” przy Savile Row. Sumiaste wąsy, ogolone głowy, futrzane czapy, baranki i czapki do bejsbola, drewniane chodaki, japonki, kamasze i skórzane buty do kolan. Jedni mieli rewolwery, inni trzymali walizeczki. Kobiety miały wypudrowane peruki, czepki, kwaciaste spódniczki lub krynoliny, różowy garnitur od Coco Chanel, podkoszulek reklamujący grupę rapową Black Eyed Peas. Nazwiska ludzi, które wymówiłam dziesiątki razy przed setkami lat, przypominały mi się jak zapomniane fakty: Viktor Petluchen, Henry Allison, Elżbieta Dudzińska, Jasna i Flenda Sukalo. Moja przyjaciółka Bessie Kimbrough, córka angielskiego ambasadora, która spadła z Reichsbriicke i utopiła się w Dunaju w Nowy Rok 1918 roku. 1949, 1971, 1827, 1799... Każde moje życie, cała przeszłość, wszyscy żywi i umarli, których kiedykolwiek znałam, znajdowali się na tym oto stadionie. Tysiące istnień ludzkich.

Kiedy doszłam do siebie, ponownie obróciłam się twarzą ku płycie boiska. Czułam na sobie ich wzrok, oczekiwanie, co uczynię. Na dole Hugh stał obok młodej kobiety, której bez wątplenia nie znałam. Nie trzymał już dziecka. Wyteżyłam pamięć, przyglądając się nieznajomej, ale jej twarz nic mi nie mówiła.

— To twoja córka, kiedy dorośnie. — Syn Hugh, moje nemezis, wchodził po schodkach, zbliżając się w moim kierunku.

Obrzuciłam go nieufnym spojrzeniem. Wyczuł moją niechęć i natychmiast spochmurniał.

— To prawda. Jak nie chcesz, to nie wierz. Idź i się przekonaj.

Obeszłam go szerokim łukiem. Na końcu schodków była mała, otwarta bramka. Przeszłam przez nią i wstąpiłam na murawę. Hugh i młoda kobieta obserwowali mnie, uśmiechając się. Spojrzała na Hugh, a on kiwnął skwapliwie głową. Dotknęła jego ramienia, a potem ruszyła w moją stronę. Stałam i wstrzymałam oddech.

Była wysoka, raczej przeciętnej urody i miała wielkie dłonie. Moje dłonie. Na jej twarzy widniał krzywy, bolesny uśmiech. Miała brązowe oczy Hugh i brwi, których końcówki wznosiły się do góry.

— Mamo?

Już miałam odpowiedzieć: „Tak, to ja, twoja matka”, gdy nagle światem wokół nas wstrząsnął wybuch. Na ułamek sekundy nasze oczy się spotkały; jestem pewna, że obie miałyśmy tę samą przerażoną minę. To była eksplozja tłumu. Tysiące zebranych na stadionie ludzi wrzeszczało, pałając do mnie wściekłością, nienawiścią i gniewem.

Każdego z nich bowiem, kiedy żyli, wykorzystywałam dla własnych, egoistycznych celów.



Posłużyłam się nimi w większym lub mniejszym stopniu, żeby zdobyć to, na czym w danym momencie mi zależało. Pokochałam ich, oszukałam, znienawidziłam i zlekceważyłam, skradłam im serca bądź je odtrąciłam. Właziłam w ich życie na oślep albo z pełną świadomością. Czerpałam ich miłość, nadzieję, czas i traktowałam je bez cienia szacunku.

Jedni prosili mnie o drobniąg, inni o znaczną przysługę. Zawsze dawałam im to, co chciałam lub na czym mi zbywało, bez szkody dla siebie. Oni zaś dawali mi rzeczy najdroższe, bez których nie mogli żyć lub które podtrzymywały ich wiarę. W zamian otrzymywali wielkie zero, opakowane w srebrną folię i umieszczone w pięknym, pustym pudełku. Większość ludzi kradnie, bo uważa, iż przedmiot kradzieży powinien należeć do nich. Ja nie zajmowałam się kradzieżą, lecz handlem wymiennym: oddam ci coś, czego mi nie potrzeba, jeśli dasz mi to, czego w tobie pragnę. Uczciwy interes.

Wygrazali mi pięściami, ich twarze powlekała purpura albo trupia bladość. Jakaś kobieta szlochała z bezsilnej wściekłości. Pewien mężczyzna, z obłędem w oczach, ciskał czymś w moją stronę. Choć miał puste ręce, nie ustawał w wysiłkach, by rzucić czymś we mnie. Robił to wciąż od nowa. Ich nienawiść była paląca jak płomień, żal ciężki jak głaz.

I to ja byłam wszystkiemu winna.

Wśród panującego harmideru syn Hugh wyszedł na płytę boiska i stanął niedaleko mnie. Moja kolejna ofiara. Dziecko, które nie urodziło się z powodu mojego egoizmu. Chłopiec uniósł zaciśnięte pięści i przyłożył je do kącików ust. Po chwili jego dwa palce wskazujące wysunęły się ku ziemi. Niczym zęby. Dwa kły.

— Jesteś wampirem.

Usłyszałam to słowo, mimo ogłuszającego ryku, tylko dlatego, że zdążyłam sobie uświadomić, iż chodzi właśnie o to.

Okręciłam się na pięcie, aby zobaczyć, czy usłyszeli je też Hugh i dziewczyna, ale oboje już zniknęli. Stałam, patrząc na bezmiar zielonej trawy, i ze wszystkich sił pragnęłam zobaczyć ich jeszcze raz, żebym mogła coś powiedzieć, jakoś się wytłumaczyć. Jednak nie doszło do żadnych wyjaśnień. Słyszać było jedynie owo czarne słowo, które streszczało całą prawdę. Wampiry wysysają z ludzi esencję życia. Czasem jest to krew, a czasem nadzieja, miłość, ambicja lub wiara. Ja wysysałam je wszystkie.

Wycie tłumu ustało. Ucichł nawet wiatr. Gdy się odwróciłam, na murawie stał samotny chłopiec. Trybuny kompletnie opustoszały. Stał tam, gdzie przedtem, trzymając ręce po bokach.

Dałam krok, a wtedy on — po raz pierwszy — cofnął się. Obawiał się, że go dotkne.

Chciałam się odezwać, lecz w gardle tkwiła mi wielka, sucha gruda.

— Jak masz na imię?

— Declan — odparł w sposób cudowny, melodyjny, jakby to było najprostsze słowo do wymówienia na świecie. — Tak nazywał się jeden święty.

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie Hugh i jego świętych.

— Pójdę już, Declanie. Rozumiem, dlaczego chcieli mnie tu przyprowadzić, ale więcej nie muszę już widzieć. Wszystko pojmuję. Nie obrazisz się? Mogę odejść?

— No. Nie wiem.

Przemierzyłam boisko, przeszłam przez bramkę i wspierałam się schodami, mijając puste miejsca. Na szczycie omal się nie zatrzymałam, by rzucić za siebie ostatnie spojrzenie, wiedziałam jednak, że może mnie to zabić, a przed śmiercią miałam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

## HISTORIA CIENI

Gdy dotarłam na szczyt piwnicznych schodów, nasz dom się nie palił. Nic dziwnego. Zdumiało mnie wszakże to, jak postrzegałam go i znajdujące się w nim przedmioty. Zanim Hugh i ja zbliżyliśmy się do siebie, kiedy biłam się z myślami, czy pozwolić sobie na miłość, powiedziałam mu: „Nie chcę się w tobie zakochać. To zbyt wielkie wspomnienie”.

Teraz, gdy szłam przez nasz dom, każdy przedmiot stawał się zbyt wielkim wspomnieniem. Począwszy od starego mosiężnego nożyka do rozcinania listów, leżącego na kredensie, a skończywszy na czterech obrazach przedstawiających młodą Łoilę Adcock, które wisiały na ścianie pokoju gościnnego — miałam wrażenie, że przechadzam się po muzeum mojej jaźni. Każda rzecz przywoływała ostre, ciężkie wspomnienia czasów, w których nie znałam jeszcze prawdy o sobie; kiedy byłam zwykłą kobietą zakochaną w mężczyźnie, z widokami na wspólne życie, które uważałam za dobre i realne.

Nie mogłam się opanować: zaczęłam dotykać różnych przedmiotów. Nożyczki, którymi otwieraliśmy pudła, kartka pocztowa z elektrowni uznająca nas za legalnych użytkowników prądu. Zbiory mojego muzeum, eksponaty i bibeloty z epoki kamienia łupanego, kiedy naiwnie wierzyłam zarówno w sprawiedliwego Boga, jak i w to, że ludzie mają tylko jedno życie, a słowo „zło” ogranicza się do Biblii, książek historycznych albo bzdurnych filmów. Piękny i niezwykły jak ręcznie rzeźbiona kołyska, nasz dom i cała jego zawartość były cudownym snem, który przyśnił ci się ostatniej nocy, lecz który, na przekór pamięci, nieuchronnie zapominasz w ciągu paru minut.

Obok pokoju gościnnego coś we mnie drgnęło — i weszłam tam, aby odszukać książkę, którą Hugh kiedyś mi pokazał. *Ulubione irlandzkie imiona dziecięce*. Sprawdziłam imię chłopca.

Niebo zesłało świętemu Declanowi czarny dzwoneczek, by odnalazł statek dla siebie i swoich wyznawców. Następnie dzwoneczek zawładnął statkiem i wskazał Declanowi miejsce, nieopodal wybrzeża Waterford, gdzie święty winien założyć klasztor. Declan Oakley. Piękne imię — jedno z tych, których dzieci nie cierpią z powodu dziwnego, obcego brzmienia, szczególnie w Ameryce. Jemu jednak, kiedy dorośnie, spodoba się. Declan. Wyrzekłam je głośno.

— Ściśle biorąc, wymawia się Deaglan. Z akcentem na drugiej sylabie. — Shumda stał na werandzie. Mimo że okno było zamknięte, usłyszałam go wyraźnie. Za pierwszym razem, w piwnicy, nie zwróciłam większej uwagi na jego wygląd. Na oko miał jakieś trzydzieści pięć lat i przypominał portret na tym starym afiszu, który Hugh wyszperał dla Frances. Ale to by znaczyło, że skoro Shumda liczył sobie trzydzieści pięć lat w latach dwudziestych, dzisiaj musiałby mieć dobrze ponad setkę. Stojący na werandzie mężczyzna nie wyglądał na stuletniego staruszka.

— Zapraszam na dwór. Jest piękna noc.

— Co ty tu robisz? Gdzie James?

— Przecież go uwolniłaś, Mirando. Nie pamiętasz? Zamienił się w kłębek dymu. Dobra robota! Ponadto James nie jest jednym z nas. Nie należy do grona wybrańców. Jest najzwyczajniej martwy. Umarli zajmują dość niską pozycję w naszej hierarchii.

— Po co przyszedłeś?

— Kazali mi przeprowadzić cię przez kolejny etap twojej, nazwijmy to, pielgrzymki. To ciut bardziej skomplikowane, ale na razie niech starczy tytułem wyjaśnień. Pewnie słyszałaś te opowieści o życiu po śmierci? O tym, jak najbliżsi witają cię i prowadzą w stronę Światła? Piękne bajeczki, ale niestety, kłamliwe. Chociaż, w twoim przypadku, nie do końca. Mimo że nie umarłaś. Ja zresztą też nie. — Podniósł ręce w geście zaprzeczenia. — W tym cały urok. Och, myślę, że ci się spodoba. Trzeba tylko trochę przywyknąć. Na pewno nie wyjdiesz na

dwór? A może ja mam wejść? W przeciwnym razie, jak buchnę, jak chuchnę, twój domek wnet zdmuchnę! — Nadał policzki jak balony i zamknął oczy.

— Odejdź.

Opuścił ręce wzdłuż boków i zamknął dłonie. Kiedy je wolno otworzył, w każdej leżał mały czarny dzwoneczek. Dzwonek świętego Declana. Wziął je w palce i potrząsnął. Rozległo się cichutkie, krystaliczne „dzyń–dzyń”.

— Mogę odejść. Ale jeżeli będziesz miała pytania?

— Nie życzę sobie, abyś odpowiadał na moje pytania.

Z nadąsaną miną ponownie zabrzęczał dzwoneczkami.

— Odważna dziewczynka. Głupiutka dziewczynka. — Postawił dzwonki na parapecie, przeciął ganek i szedł schodami na ulicę.

Czym prędzej podeszłam do okna, aby upewnić się, że zniknął.

Potem podniosłam słuchawkę i wykonałam dwa telefony. Chciałam zamówić taksówkę i chciałam mieć pewność, że Frances Hatch nadał przebywa w sanatorium Fieberglas.

— Ale mówię od razu: ten kurs będzie panią kosztować kupę forsy. To jakieś pół godziny, czterdzieści pięć minut drogi stąd.

— Rozumiem. Czy możemy już jechać?

— Mowa.

Przejechaliśmy dłuższy odcinek, zanim taksówkarz znów się odezwał.

— Słyszała pani o roztoczach?

— Proszę?

— Roztocza. Czy słyszała pani o nich? — Skrzyżowaliśmy spojrzenia we wstecznym lusterku. — Ja dowiedziałem się o nich przedwczoraj. W telewizorze pokazywali taki film edukacyjny o alergiach. Zauważyła pani, że ludziom wydaje się, że pozjadali wszystkie rozumy, bo oglądają kanał Discovery? To nie dla mnie, ja po prostu lubię wyszukiwać różne ciekawostki o tym świecie. No więc, przedwczoraj był ten program o alergiach. Uczni wymyślili nową teorię, że właśnie roztocza wywołują u ludzi dużo alergii. To takie małe żyjątka, co żyją na łózkach, prześcieradłach, poduszkach... Nie są niebezpieczne ani nic takiego, ale zostawiają po sobie odchody. No, wie pani. I ludzie reagują alergicznie na te ich odchody. Dziwne, nie?

Zaskoczona, prychnęłam obcesowo:

— Pan to wymyślił?

— Nie, skądże, widziałem to w tym programie! Podawali nawet, jak się ochronić, jeśli ma się alergię. Trzeba zapakować materac i pościel w plastik i założyć filtr powietrza, żeby wyłapywał krążące w powietrzu odchody, i tak dalej. Nie, nie, to prawda.

Znowu popatrzyliśmy razem w lusterko, przy czym kierowca skinął entuzjastycznie głową.

— To straszne!

— Nie dla roztoczy.

Roześmiałam się. Później jednak, mimo chaosu otaczającego moje życie, nie mogłam przestać myśleć o roztoczach. Oczami wyobraźni zobaczyłam piękną kobietę kładącą się do świeżo posłanego łóżka i zapadającą w sen. Następne ujęcie przypomina film Davida Lyncha: kamera podjeżdża tuż do jej poduszki, coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie widzimy tysiące małych, białych żyjatek, które biegają tam i siam, nie bacząc na ogromną ludzką głowę sterczącą pośród nich.

Na lekcjach biologii w ogólniaku dowiedziałam się, że świat wprost roi się od ohydnych, mikroskopijnych stworzonek, żyjących na ludziach, w ludziach i obok ludzi, ale dzięki Bogu, nie możemy ich dostrzec. Pędzej czy później jednak stykamy się z ich odchodami, zarazkami lub przejawami życia. Jeżeli mamy szczęście, kończy się na kichaniu. Jeśli pecha, żyjątka nas zabijają. Metafora, zwłaszcza w tamtej chwili, była groźna i jednoznaczna.

Świadome kłamstwa i obietnice bez pokrycia, małe i wielkie okrucieństwa, które popełniamy. Niewdzięczność, krytykanctwo, nie odwzajemniona życzliwość. Egoizm, świadoma ignorancja, bezsensowna kradzież, postawa typu „Mam cię w dupie”, które tak dalece zatruwają nasze życie. Wszystkie one to roztocza, które sami hodujemy. Dorastamy z nimi na co dzień. Uznajemy, iż są stare jak świat. Że stanowią nieodłączną część życia. Ale to nieprawda — jeśli tylko się zastanowimy, natychmiast zrozumiemy, że można uniknąć mnożenia tego świństwa. W kontaktach z ludźmi nauczymy się „pakować naszą pościel w plastik”, nauczymy się przed nimi chronić. Ważniejsze jednak jest filtrowanie naszych słów i zachowań, abyśmy swymi „odchodami” nie zarażali innych chorobą.

W jednym straszliwym momencie, na stadionie, dowiedziałam się, że życie raczej nie wali się od jednego ciosu, nagłego nokautu czy aktu barbarzyństwa. Za to niszczą je tysiące roztoczy lęgnących się — przez obojętność, okrucieństwo i nietakt — w łózkach ludzi, których znamy lub kochamy.

— Ma pan jakąś muzykę? Taksówkarz spojrział na siedzenie obok.

— Owszem, ale chyba nie w pani guście. Mam Voodoo Główny Skulls i Rocket from the Crypt.

— Mógłby pan włączyć radio? — Jasne.

Uprzejmie przesłuchał kanały, aż znalazł stację nadającą muzykę klasyczną. *Karnawał rzymski* Berlioz na moment uciszył mi serce. Wieczorny krajobraz przesunął się w mroku, punktowanym od czasu do czasu rozbłyskami światła. Senne miasteczka, ludzie wracający do domów. Mężczyzna wychodzący ze sklepu monopolowego. Przed nami, na drodze, pedałowal zaciekle jakiś chłopiec, który raz po raz odwracał się, aby zobaczyć, gdzie jesteśmy. Za wszelką cenę starał się utrzymać prowadzenie, światełka w pedałach roweru błyskały czerwono. W oknie domu zapłonęło światło jak otwarte oko. Półciężarówka skręciła na podjazd, plując szarymi spalinami w czerń wieczoru.

— Dziwne.

— Co takiego?

— Widzi pani to kino dla zmotoryzowanych? Zwykle z końcem lata zamykają budę. Komu chciałoby się oglądać filmy pod gołym niebem? Jest za zimno.

Pobiegłam wzrokiem za jego palcem, ale początkowo widok wydał mi się bezsensowny. Ogromny ekran pokazywał sklep pełen krzających się ludzi. Nagle w kadrze pojawił się Hugh Oakley. Stał tyłem przed podłużnym lustrem i przymierzał czapeczkę do bejsbola. Był to ten dzień, w którym zamiast po raz pierwszy się kochać, poszliśmy na zakupy do nowojorskiego GAP-a i pocałowaliśmy się w przebieralni. Podchodzę do Hugh, trzymając spodnie w rękę, i coś mówię. On kiwa głową i rusza za mną na tył sklepu.

W kinie pod gołym niebem, gdzieś w stanie Nowy Jork, wyświetlano na dwunastometrowym ekranie scenę ukazującą jeden dzień mojego życia.

— Pani tylko popatrz na to! Żadnych samochodów. Dla kogo leci ten film?

Parking był opustoszały.

— Czy mógłby pan trochę pogłośnić tę muzykę?

Parking przed sanatorium Fieberglas nie był opustoszały. Gdy tam przyjechaliśmy, była dziewiąta wieczorem, lecz nie brakowało samochodów. Zatrzymaliśmy się pod jasno oświetlonymi drzwiami frontowymi. Spojrzałam na budynek i ze zdziwieniem stwierdziłam, że w moim sercu gości spokój.

— Odwiedza pani kogoś?

— Tak. Starą przyjaciółkę.

Kierowca schylił głowę, aby lepiej widzieć gmach przez przednią szybę.

— Trzeba mieć pieniądze, żeby zameldować się w takim miejscu.

Spojrzałam na jego głowę. Włosy zostały niedawno obcięte, gdyż białą skórę pokrywał

równy odrost. Z tyłu wyglądał na żołnierza albo małego chłopca.

— Jak pan ma na imię?

— Na imię? Erik. Erik Peterson. Dlaczego?

— Mógłbyś poczekać tu na mnie, Eriku, dopóki nie wrócę? Zapłacę ci za postój.

— Wie pani, i tak zamierzałem czekać. Pomyślałem sobie, że raczej nie zasiedzi się pani w takim miejscu, zwłaszcza o tej porze. Wraca pani do Crane's View? — Odwrócił się i uśmiechnął do mnie. Przyjazny, życzliwy uśmiech sąsiada, pod którym nie kryje się żaden podstęp.

— Tak. Dziękuję. To może trochę potrwać.

— Nie ma sprawy. — Podniósł miniaturowy telewizorek marki „Watchman”. — Za dziesięć minut będzie ostatni odcinek *Neverwhere*. Nie mogę go przepuścić.

Wysiadłam z taksówki i podążyłam w kierunku drzwi. Zza pleców dobiegło mnie jego wołanie:

— A p a n i jak ma na imię?

— Miranda.

— Zaczekam na ciebie, Mirando. Nie ma pośpiechu. — Po czym, gdy zrobiłam parę kroków, dorzucił: — Jak będziemy wracać, opowiem ci o arach hiacyntowych.

— Są spokrewnione z roztoczami?

— Nie, to papugi. Ten film widziałem po roztoczach. — Spuścił wzrok. Na jego twarzy zatańczyły refleksy siennej poświaty bijącej od telewizora. Cieszyłam się, że trafiłam akurat na niego.

Ledwie otworzyłam ciężkie frontowe drzwi, uderzyła mnie cisza i spokój. Moje skórzane obcasy robiły mnóstwo hałasu na kamiennej posadzce. W recepcji siedziała pielęgniarka w średnim wieku i czytała książkę. Poza tym nie było widać nikogo. Podeszłam do niej i czekałam, aż mnie zauważy, ale nie odrywała się od książki. Czytając jedną stronę do góry nogami, zobaczyłam, że to tomik poezji. Pierwszy wers głosił:

„Ugnij plecy, sir: całą noc bowiem padał będzie śnieg”.

Pielęgniarka wciąż mnie ignorowała.

— Halo, przepraszam. — Tak?

— Chciałabym się zobaczyć z Frances Hatch.

— Który pokój?

— Nie pamiętam.

Kobieta westchnęła przeciągle i zajrzała do komputera. Podała mi numer i momentalnie wróciła do przerwanej lektury.

— To ładny wers. Spojrzała na mnie.

— Co proszę?

— „Ugnij plecy, sir: całą noc bowiem padał będzie śnieg”. Ładny wers. Nic dodać, nic ująć.

Zerknęła na mnie, na tomik i znów na mnie. Zatrzasnęła książkę i zrobiła podejrzliwą minę. Oddaliłam się.

Winda zatrzymała się na parterze z głośnym „ping!”, a kiedy drzwi się rozsunęły, stała w niej lekarka Frances.

— Wróciła pani.

— Tak. Muszę porozmawiać z Frances. Najpierw jednak chciałabym o coś spytać panią: Czym właściwie jest to miejsce? Komu służy?

— To hospicjum. No, w pewnym sensie.

— Ludzie przyjeżdżają tutaj, aby umrzeć? Czy Frances umrze?

— Tak. Jest bardzo osłabiona.

— Ale dlaczego tutaj? Przecież Frances uwielbia swoje mieszkanie. Czemu zdecydowała się na to hospicjum?

— Czy mogę pójść z panią? Tylko na piętro Frances. Potem zostawię panią samą.  
— Oczywiście. — Weszłam do windy.

Lekarka nadusiła guzik.

Kiedy drzwi się zamknęły, obróciła się ku mnie i zapytała cicho:

— Czy wie pani już o swoich wcieleniach?

— Tak.

— Czy wolno zapytać, jak się pani o nich dowiedziała?

W paru słowach opowiedziałam jej o powrocie do Crane's View, o pożarze domu, stadionie i o słowie, którego użył Declan i które wszystko wyjaśniało. Nie wspomniałam o naszym dziecku. Lekarka, słuchając mnie, skrzyżowała ręce na piersiach i opuściła nisko głowę. Gdy skończyłam, stałyśmy przed drzwiami do pokoju Frances.

Powoli pokręciła głową.

— Niewiarygodne. Za każdym razem to wygląda inaczej.

— Czy to p o w s z e c h n e ?

— Mirando, wszyscy nasi pensjonariusze doświadczyli tego co ty. Tylko że manifestuje się to w różny sposób. Twoje wcielenia przywiodły cię tutaj. Musisz podjąć zasadniczą decyzję. Możesz tu zostać, jak długo chcesz — będziesz bezpieczna. W tym czasie my będziemy cię ochraniać, to nasze zadanie. Poza tym opiekujemy się tymi, którzy postanowili zakończyć swoje żywoty. Hospicja dla ludzi podobnych tobie występują w najstarszych zapisach historycznych. Hotel w Pirenejach, schronisko młodzieżowe w Mali, szpital w Montevideo. Nad jednym z grobowców w Dolinie Królów w Egipcie umieszczono inskrypcję, która...

— O jakiej decyzji pani mówi?

— Frances ci powie, ale przypuszczam, że już się domyślasz. Zgromadzeni na stadionie ludzie nienawidzili cię, bo zabrałaś im istotną część ich życia. Ludzie używają słowa wampir, gdyż oznacza ono coś tak obcego, niewyobrażalnego, że najpierw drżymy ze strachu, a potem śmiejemy się do rozpuku. Drakula? Potwór wysysający krew i śpiący w trumnie? Dobry żart! Ale po odszukaniu hasła w słowniku okazuje się, że wampir to po prostu ktoś, kto żyje kosztem innych. Wszyscy to robią, ale my znajdujemy gładkie, racjonalne uzasadnienia. Uważam, że musisz porozmawiać z Frances. Ona odpowie na nurtujące cię pytania.

Lekarka odwróciła się, aby odejść. Dotknęłam jej ramienia.

— Chwileczkę! Ale kim jest p a n i ?

— Kimś takim jak ty. Byłam w podobnej sytuacji, lecz dawno temu podjęłam decyzję. — Musnęła moją rękę. — Przynajmniej będziesz wiedziała, na czym stoisz, Mirando. To bardzo ważne, choćby nawet koniec przedstawiał się niewesoło.

Bezszelestnie oddaliła się korytarzem i zniknęła za ostatnimi drzwiami. Tymi, którymi wcześniej wyszedł syn Hugh. Dzisiaj. Wszystko to zdarzyło się w ciągu jednego dnia.

Zapukałam delikatnie do drzwi pokoju Frances. Gdy tylko je uchyliłam, owionął mnie aromat perfum. Woń przywodząca na myśl najcudowniejszą kwiaciarnię. Zawahałam się, nim otworzyłam drzwi szerzej. Feeria barw i kształtów przyprawiała o oczopląs. Przez sekundę nie mogłam nawet znaleźć łóżka. Uśmiechnęłam się: Frances siedziała podparta na poduszce i czytała czasopismo, jakby w ogóle nie dostrzegając otaczającego ją raję.

Wtedy usłyszałam muzykę. Klasyczny utwór, melodyjny i pogodny, którego nigdy przedtem nie słyszałam. Przypominał *Akwarium* Camille'a Saint-Saënsa. Zanim się odezwałam, pozwoliłam nasycić się nim swoim oczom i uszom.

Nadal kartkując magazyn i nie podnosząc oczu, Frances powiedziała wyraźnie:

— Zamknij drzwi, dziewczyno. Nie chcę, żeby ludzie oglądali mnie w tej koszuli nocnej.

— Ten pokój jest przeuroczy, Frances. Zawsze potrafisz urządzić swoje otoczenie.

— Dziękuję. Wejdz i usiądź. Gdzieś tu powinno być krzesło. Przesuń parę kwiatów.

— Kto ci je przysłał?

— Gnojki. Ale w tej chwili musimy omówić inne sprawy. Domyślam się, że to dlatego zjawiała się tutaj w środku nocy?

— Tak. Ale czy mogłabyś najpierw wyłączyć muzykę? Wlepiała we mnie zdziwione oczy, jak gdybym powiedziała coś strasznie skomplikowanego w obcym języku.

— Muzykę! Ach, tak. Niestety, nie mogę tego uczynić. Nadają ją do wszystkich pokoi. Nie mam wyłącznika.

— A jeśli ktoś nie ma ochoty na słuchanie?

Zaczęła coś wyjaśniać, ale urwała.

— Można się przyzwyczaić. Mniejsza o muzykę, Mirando. Powiedz, co się z tobą działo. Nie pomiń żadnego szczegółu, one są bardzo istotne.

Opisałam jej wszystko, łącznie z Hugh i naszym dzieckiem. Nie trwało to długo. Kończąc, czułam niepokój, że aż tak krótko. Ostatecznie wszyscy mamy do opowiedzenia tylko jedną historię. Potrzeba całego życia, aby ją przeżyć, ale niekiedy można ją opowiedzieć w niespełna godzinę.

Frances tylko raz okazała wzruszenie — gdy wspomniałam o Shumdzie. Zbombardowała mnie pytaniami na temat jego wyglądu, tego, co mówił, jak się zachowywał. Zazwyczaj bardzo błada, słuchając mnie, nabrała rumieńców. Pod koniec przyłożyła rękę do ust i trzymała ją tam, póki nie zacytowałam słów, które Shumda powiedział do mnie przed zejściem z werandy. Zapatrzyła się w okno, jakby usiłowała pogodzić ze sobą myśli i emocje.

— Wówczas w Wiedniu nazywałaś się Elisabeth Lanz. Twoja śmierć okazała się najgłośniejszym skandalem epoki, ponieważ kiedy upadłaś w teatrze, na widowni zasiadało wiele osób. Shumda cieszył się szaloną popularnością. Żeby go obejrzeć, ludzie ściągali z całej Europy. Na tamtym przedstawieniu był szef policji, który osobiście go zaarrestował.

Frances umilkła na moment.

— *Landesgericht*. Shumda powtarzał to słowo, ilekroć odwiedzałam go w celi. Oczywiście mówił bezbłędnie literacką niemiecką. Był genialnym brzuchomówcą, bo uwielbiał języki. Władał czterema. Bawiło go wymawianie różnych obcych słów, delectował się ich brzmieniem. Niektórym smakuje czekolada, Shumda rozsmakowywał się w słowach. *Landesgericht*, *crepuscule*, *piombo*, zwinka. Ciągłe jeszcze go widzę, jak leży na łóżku, gdy skończyliśmy się kochać, i z uśmiechem na ustach formułuje trudne słowa. Lubił gadanie tak samo, jak lubił seks. Żył zaczarowanym życiem, więc tak naprawdę nie wierzył, że poniesie karę za twoją śmierć. Ale tamtego roku wypadły wybory polityczne, a politycy potrzebują chłopca do bicia. Oto wpadł im w ręce słynny magik, rumuński brzuchomówca, który na oczach setek ludzi zabił małego wiedeńskiego aniołka. Wyrok mógł być tylko jeden. Z pewnością by go powieszono, gdybym nie uratowała mu życia.

— W jaki sposób?

— Oddałam za niego moje życie.

— Oddałaś... Co masz na myśli?

— Spójrz na swoją rękę. Spojrzałam, ale nic nie zobaczyłam.

— Nie, obróć ją. Dłonią do góry.

Nie miałam linii papilarnych. Wszystkie bez wyjątku zniknęły. Dłoń była gładka jak kartka papieru, jak skóra okrywająca części ciała inne niż dłonie. Gdzie przeznaczenie i wola kreślą mapę twojej przeszłości i przyszłości.

Gapiałam się w niedowierzaniu, gdy Frances odezwała się ponownie:

— Mirando!

— Jak to możliwe? Dlaczego...

— Posłuchaj mnie: miałaś linie na dłoni, kiedy weszłaś na stadion. Straciłaś je z chwilą, gdy uświadomiłaś sobie, kim jesteś.

— Wampirem, tak? Gdy uświadomiłam sobie, że żyłam w tamtych wcieleniach? Wtedy linie zniknęły? — Musiałam powtórzyć słowa Frances, żeby znaleźć dla nich jakiś punkt

zaczepienia w moim rozchwianym umyśle. Chociaż starałam się zachować zdrowe zmysły, głos drżał mi niepokojąco. Z trudem panowałam nad sobą.

Miałam wrażenie, że mój mózg staje się areną Wielkiego Wybuchu. Wszystko, co wiedziałam, rozpryskiwało się, pędząc ku najdalszym obrzeżom kosmosu. Może za parę miliardów lat owe fragmenty zwolnią i ostygną na tyle, by życie mogło się odrodzić, ale w tej chwili pędziły gnane siłą odśrodkową. Frances uniosła prawą rękę, pokazując mi swoją dłoń. Pokrywały ją linie i wypukłości, sieć przecinających się autostrad: szczegółowa, acz chaotyczna mapa ukazująca długie życie Frances Hatch.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Frances? Wolno podniosła lewą dłoń. Była gładka. Szybko zerknęłam na moją lewą dłoń, ale była równie gładka jak prawa. Zetknęła obie dłonie i położyła je na kolanach.

— Chiromanci różnią się w opiniach, co oznaczają poszczególne linie, ale większość się zgadza, że te na lewej dłoni wskazują na zdolności, z jakimi człowiek przychodzi na świat, te zaś na prawej, co z nimi zrobił. Lewa dłoń. — Uniosła gładką, białą dłoń. — Prawa.

— Dlaczego obie moje dłonie są pozbawione linii?

— Ponieważ odkryłaś, kim jesteś, i nie ciąży już nad tobą los. Od tej pory sama o sobie decydujesz. — Przełknęła ślinę i oblizwała usta. — Zmieniłaś się.

— Ale z tego, czego się dzisiaj dowiedziałam, wynika, że byłam inna przez całe życie. Przez wszystkie życia! — Ostatnie słowo wysyczałam jak podrażniona żmija.

— Teraz jednak znasz prawdę o sobie. To wszystko zmienia. Odtąd masz wpływ na swoje życie, Mirando.

Jeszcze raz przyjrzałam się swoim gładkim dłoniom; nie wiedziałam, co powiedzieć ani o co zapytać.

— Opowiedz mi o sobie i o Shumdzie.

— Nie wiedziałam go od siedemdziesięciu lat. Od dnia, w którym uratowałam mu życie. Tak to już jest: gdy poświęcisz się dla drugiego człowieka, nigdy więcej go nie zobaczysz. Zwykle dlatego, że on nie chce widzieć ciebie. Ludzie nie lubią, kiedy im się przypomina, że coś ci zawdzięczają. A dzieci w ogóle nie zdają sobie sprawy, co się stało, gdyż to przekracza ich rozumienie. Pod innymi względami — da się wytrzymać. Po prostu stajesz się normalnym człowiekiem i prowadzisz normalne życie. Miewasz katar, płacisz podatki, rodzisz dzieci, jeśli chcesz... Prędzej czy później umierasz. Na zawsze. Witaj w objęciach śmierci. Koniec z lożą dla VIP-ów. Uwaga na cholesterol. Ja miałam wielkie szczęście, Mirando. Co prawda oddałam Shumdzie nieśmiertelność, ale potem miałam bajeczne życie. Właśnie dobiega ono końca. Nie mam do nikogo pretensji. — Zdradziły ją oczy. Ledwie skończyła mówić, pobiegły ku kwiatom, jakby piękne bukiety i wiązanki znały tajemnicę, której Frances nie chciała ujawnić.

— Ależ, Frances, ja umarłam! Zginęłam w teatrze. Spadłam z rusztowania w kościele...

— Po czym wróciłaś. Nie raz, nie dwa. Zwykli ludzie żyją jeden raz i umierają. My natomiast żyjemy, umieramy i wracamy. Tylko my. Dlatego zresztą ludzie wierzą w reinkarnację — ponieważ niektórzy rzeczywiście się odradzają, choć niekoniecznie ci, których się o to podejrzewa. *Unsterblich*.

— Co?

— Nieśmiertelny. To niemieckie słowo. Shumda je uwielbiał. Zwykł mówić, że trzeba je owinać językiem jak soczysty pocałunek.

— Widziałam je na kołysce. Było wyrzeźbione na kołysce naszego dziecka.

— Nic dziwnego. Wszystkie nasze doświadczenia jakoś się ze sobą wiążą. Poszczególne żywoty, najdrobniejsze detale, nic nie zostaje pominięte. Poznałaś Hugh dzięki dyskusji o Jamesie i obrazach Lolly Adcock. Mnie także poznałaś za sprawą jej malarstwa. Pamiętasz te kolorowanki z kropeczkami tworzącymi obrazek, które malowałaś w dzieciństwie? To właśnie my. Wszystko się łączy.



— Ale czemu teraz, Frances? Dlaczego dowiaduję się o tym akurat teraz?

— Ponieważ kochasz, słoneczko. Ponieważ w końcu się zakochałaś i masz okazję wyżyć się egoizmu. To zdarza się tylko raz w życiu. Którymkolwiek życiu. Są miłości wielkie i małe, ale tylko jedna jest w pełni bezinteresowna. Obdarzyłaś nią, jak sądzę, swoje dziecko. Myślałam, że chodzi o Hugh, ale myliłam się, bowiem doznałaś tego objawienia już po jego śmierci.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Poczulałam, że zaraz zwymiotuję. Czym prędzej zakryłam usta ręką, aby powstrzymać falę nudności. Zdażyłam w ostatniej chwili.

Odkąd się dowiedziałam, że jestem w ciąży, wydarzenia potoczyły się w przyspieszonym tempie, tak iż nie miałam czasu się nad nimi zastanowić. Wiedziałam, że Frances ma słuszną rację. Maleństwo, które w sobie nosiłam, było dla mnie wszystkim. Córeczka poczęta z mężczyzną, z którym planowałam spędzić resztę życia. Dziecko, które zawsze chciałam mieć, lecz celowo nie zaprzętałam sobie tym głowy, ponieważ możliwość długotrwałej miłości i dzieci stawała się coraz mniej realna, w miarę jak przybywało mi lat. Była to radość, o której starałam się nie myśleć. Starzenie się oznacza, że coraz trudniej zacząć wszystko od nowa. Dzieci stanowią zupełnie nowy początek, bez względu na to, ile człowiek ma lat i jakich nabrał przyzwyczajęń.

W dniu, kiedy dowiedziałam się o ciąży, doznałam całkiem innego rodzaju objawienia. Jadąc pociągiem do Crane's View, zastanawiałam się, jak poinformować o moim stanie Hugh. W pewnym momencie, podczas owych rozważań, opanowała mnie myśl: „Już nigdy nie będę sama. Gdy dziecko raz pojawi się w moim życiu, nigdy już nie będę sama”. Było to najcieplejsze, najintymniejsze, najbardziej pokrzepiające uczucie, jakiego kiedykolwiek zaznałam.

Podczas gdy Frances mówiła, ja bezwiednie położyłam obie ręce na brzuchu — nie wiem, czy po to, żeby go osłonić, czy aby się poczuć bezpiecznie. Zapytałam szeptem:

— Co w tym złego, że jest się normalnym człowiekiem?

— Nic. Ale nie ma porównania z tym, co znałaś dotychczas.

— Tak? Dlaczego?

Zamyśliła się. Jej ręka wzbijała się znad pościeli, jak gdyby chwytając coś w locie. Dopiero kiedy opadła jej z powrotem na kolana i gdy Frances jeszcze chwilę pomyślała, usłyszałam odpowiedź.

— Człowieczeństwo to głębsze, bogatsze i znacznie smutniejsze doświadczenie niż to, które jest twoim udziałem. Gdzieś w głębi duszy, w genach, w komórkach ciała ludzie czują, że to się musi skończyć. Ale zazwyczaj nie potrafią rozwikłać, czym jest owo t o . Twój duch jest spokojny, ponieważ wie, że kiedy ten taniec dobiegnie końca, poproszą cię do następnego. A potem jeszcze jednego.

— Co dokładnie miałabym poświęcić?

— Nieśmiertelność. Ofiarowałabyś ją swemu dziecku. Oddaje się ją osobie, którą kocha się równie mocno jak siebie samego. Ja moją oddałam Shumdzie. Groziła mu śmierć. Nie mogłam do tego dopuścić, gdyż kochałam go bardziej niż własne życie.

— Jak oddaje się nieśmiertelność? Czy jest jakiś specjalny sposób?

Pokręciła głową.

— Nie. Sama się zorientujesz, kiedy nadejdzie właściwy moment. Nie ma sensu zawracać sobie tym głowy.

— A ty, Frances, co zrobiłaś? Zamknęła oczy.

— Podpaliłam psa.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Ale to było konieczne. Uświadomiłam sobie, że muszę to zrobić, i jednocześnie pojęłam, iż w ten sposób wywołam pożądaną zmianę. No i stało się. Jak tylko to uczyniłam, zjawił się prawnik, który stwierdził, że może uratować Shumdzie życie. Herr

Doktor Pongratz. Nieprędko zapomnę to nazwisko. Oświadczył, że czytał o sprawie w wiedeńskich gazetach i odnalazł mało znany przepis w austriackim orzecznictwie sądowym, który oczyści Shumdę z zarzutów. I dotrzymał słowa.

— Czy ktoś inny nie mógł poszukać tego przepisu? Frances wyprostowała się i obciągnęła pościel na kolanach. — Nie, bo przepis ten nie istniał, dopóki Pongratz go nie znalazł.

— Czy nieśmiertelność można podarować każdemu, czy też musi to być ktoś, kogo kochasz?

— Każdemu. Odkąd uzmysłowisz sobie, kim jesteś i co posiadasz, sama decydujesz, co zrobić ze swoją nieśmiertelnością. Możesz ją oddać, komu ci się żywnie podoba.

Zamilkłyśmy. Siedziałyśmy wśród kwiatów i muzyki sączącej się z głośników. Na usta cisnęły mi się wciąż nowe pytania.

— Czy mogę urodzić dziecko jako nieśmiertelna? Nie oddając nieśmiertelności?

— Oczywiście! Ale wiedz, że je zniszczysz, Mirando. Będziesz je kochać i opiekować się nim, nie szcędząc starań, aby miało cudowne życie. Lecz koniec końców je zniszczysz, ponieważ jesteś tym, kim jesteś. Twoje ego ma absolutne pierwszeństwo. Przekonałaś się już, że nie zawsze jest to takie oczywiste. Choćbyś próbowała, nie zwalczysz naturalnego instynktu. To tak, jakbyś chciała przesunąć ocean. Cokolwiek dasz córce, w końcu odbierzesz jej podwójnie. Często nie będziesz nawet o tym wiedziała, ale ona będzie. Zburzysz podstawy jej szczęścia, tak jak zburzyłaś podstawy innych ludzi. Zmącisz jej sny, podepczesz jej poczucie wartości. Wyssiesz z niej wszystkie soki. Kiedy będzie w twoim wieku, będzie rozpowiadać cyniczne, gorzkie historie o swojej matce-jędzy. Na koniec oznajmi, że cię kocha, naturalnie że tak, ale im rzadziej cię widuje, tym lepiej. Kiedy dorośnie, będzie wierzyła w to, co się wypisuje w kobiecych magazynach, i uważała, że omijają całą urodę życia. Będzie wkładała zbyt dużo biżuterii, a z upływem lat, kiedy zda sobie sprawę, że coraz mniej ludzi słucha tego, co mówi, jej głos stanie się natarczywy. Rozejrzyj się, Mirando. Zobacz, jak ludzie odnoszą się do siebie. Na każdym kroku pozerają się nawzajem w imię miłości, rodziny albo ojczyzny. Ale to zwyczajna wymówka — są zgłodniali, chcą nasycić apetyt. Przeczytaj ich twarze, gazety, zobacz, co mają napisane na koszulkach! „Gównu mnie obchodzi, za kogo mnie bierzesz”. „Moi starzy pojechali do Londynu i przywieźli mi tylko ten syfiasty T— shirt”. „Tak wiele kobiet, tak mało czasu”. „Wygrywa ten, kto w chwili śmierci będzie miał najwięcej zabawek”. Siłą się na dowcip, zabawę, postmodernistyczny humor. Ale w gruncie rzeczy, Mirando, stwierdzają prosty fakt: ja. Najpierw ja. Precz mi z drogi.

— Więc wampiry są wszędzie?

— Wszędzie. Choć nie mają kłów i nie śpią w trumnach.

— Co się stanie, jeśli oddam córce moją nieśmiertelność? Czy będzie miała szczęśliwe życie?

— Tego nie można zagwarantować. Ale dasz jej ogromną szansę, ponieważ otrzyma wszystkie twoje wcielenia. To rodzaj szczęścia. Mało kto z nas złożył siebie w podobnej ofercie. Z reguły nie oddajemy naszej nieśmiertelności, nawet jeżeli spotkamy tę jedyną, najukochańszą osobę.

Powiedziałam Frances, że po drodze ujrzałam kawałek mojego życia wyświetlony na ekranie przydrożnego kina.

— Sama to wywołujesz. Twoja nieśmiertelna część posiada niezwykłą moc. To ona uwolniła Jamesa Stillmana. Czaiła się też przed budynkiem sanatorium, kiedy odwiedziłaś mnie poprzednim razem. Wie, że zbliża się chwila decyzji, i lęka się, że dokonasz niewłaściwego wyboru.

— Dlaczego pokazała mi akurat tę scenę? Hugh nie żyje, nic na to nie mogę poradzić.

— Nie wiem. Ale dziwne rzeczy będą się działy tak długo, aż podejmiesz decyzję. Wierz mi, twoja magiczna natura potrafi być bardzo przekonująca.

— Zaraz zbzikuję od tej muzyki. Frances, możesz zadzwonić do recepcji i poprosić, żeby ją wyłączyli?

Podniosła palec, nakazując mi ciszę. Pokój wypełnił się pastelową, eteryczną muzyką — którą mogli skomponować Saint-Saëns, Berlioz lub Delius — idealnie harmonizującą z niezwykłym przepychem kwiatów. Obserwowałam twarz Frances. Pozostawała beznamiętna, tylko chwilami marszczyła się lub uśmiechała słabo.

— Przypomina mi o rzeczach dawno zapomnianych i o tym, co stracę po śmierci. „Jedynie w piekle pamięć się nie myli”. Zdaje się, że zaczyna się moja podróż do piekła. O tylu sprawach — cudownych chwilach i opowieściach — zapominamy w ciągu życia. Dlaczego, Mirando? Czemu pozwalamy im przepaść bez walki? Przecież nas kształtują, formują, określają naszą osobowość. A my przeżywamy te chwile, by później o nich zapomnieć. Zapodziewamy je niczym pęk kluczy. Jak tak można poniewierać własnym życiem? Przed twoim przyjściem przypominałam sobie, po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat, pewne październikowe popołudnie, które spędziłam z Shumdą. Było to wkrótce po naszym przyjeździe do Wiednia i Shumdą nie zaczął jeszcze występować na scenie. Dojechaliśmy tramwajem na ostatni przystanek w Grinzing, po czym ruszyliśmy spacerkiem przez winnice w stronę Lasu Wiedeńskiego i Cobenzl. Rozciąga się stamtąd zapierający dech w piersi widok na całe miasto. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do *Heurigen* i zamówiliśmy pieczonego kurczaka i młode białe wino. Shumdą był urodzonym gadułą. Jak raz otworzył buzię, nie można jej było zamknąć. Ale w połowie obiadu, akurat gdy odrywał kęs kurczaka, zobaczył coś za moimi plecami — i zdębiał! Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tak zareagował. Obróciłam się gwałtownie na krzesło, ale nie zobaczyłam nic szczególnego poza dwójką niepozornych mężczyzn pijących wino przy stole. Shumdą starannie otarł usta serwetką, a potem wyjął z plecaka książkę, którą czytał przez całe lato. Poza zasadą przyjemności Freuda, dopiero co wydana. Shumdą zapytał, jak wygląda. Odparłam, że dobrze; co ci się stało? Przygryzł dolną wargę, widać było, że jest zdenerwowany. Shumdą nigdy się nie denerwował. Był jednym z najbardziej opanowanych ludzi, jakich znałam. Wziął książkę, podniósł się i przeszedł przez podwórze, kierując się w stronę pijących wino. Kiedy się zbliżał, spod stołu wyszedł szpic rasy chow-chow i wlepił w niego oczy. Najwyraźniej pies szykował się do obrony obu mężczyzn i przez moment myślałam, że go ugryzie. Był jednak na smyczy, a właściciel przyciągnął go do siebie. Shumdą spojrział najpierw na psa, a potem na mężczyzn. Podniósł trzymaną w ręce książkę, ale zamiast samemu się odezwać, sprawił, że pies przemówił za niego. Szpic powiedział: „Doktorze Freud, napisał pan arcydzieło. Jestem pana dozgonnym dłużnikiem”. Freuda, który nie słynął z poczucia humoru, całkiem zamurowało. Pochrząkując, podziękował za komplement, spojrział podejrzliwie na psa, w końcu spytał Shumdę, czy ten jest brzechomówcą. Shumdą potwierdził nieśmiało i zaprosił Freuda na swój pierwszy występ w teatrze Ronacher. Freud próbował się uśmiechać z wdzięcznością, ale zupełnie stracił rezon. Z *Heurigen* wyszliśmy przed nimi. Kiedy przechodziliśmy obok ich stolika, oczy moje i Freuda się spotkały. Pochyliłam się nad sławnym doktorem, który jak dla mnie mógł być Marsjaninem, i rzuciłam: „Powinien pan przyjść na jego występ. To prawdziwy geniusz”. Często zastanawiałam się, czy Freud był w teatrze tego wieczoru, kiedy upadłaś.

— Mówiłaś, Frances, że zawodzi cię pamięć. Wygląda na to, że jest wręcz odwrotnie.

— Teraz pamiętam wszystko. To ta muzyka tak na mnie działa. Niesie zapach Freuda, gdy się nad nim pochyliłam. Żółc kasztanów leżących na podwórku przy *Heurigen*. Spadały z drzew w kolczastych łupinach. Po ich obraniu wyciągało się lśniący, brązowy kasztan. Ludzie zbierali je i karmili nimi zwierzęta w zoo Schonbrunn.

— Czy lubisz wspominać tamte czasy? Opowiadasz o nich ze smutkiem.

— No cóż, trudno o wesołość, kiedy twój dom zamienia się w pogorzelnisko. Nie możesz temu zaradzić, musisz stać i patrzeć. Pamiętasz zostawione w środku przedmioty, które tracisz

na zawsze. To trudne, ale przypomina mi, jak bogate było moje życie. Boże, żyłam naprawdę pięknie!

— Patrzę na twoją twarz, Frances. Wspominasz nie tylko dobre chwile, prawda?

Nie odpowiedziała.

Czy lepiej pamiętać wszystko to, co utraciliśmy? Zwłaszcza kiedy wiemy, że straty są nieodwracalne? A co ze złymi wspomnieniami? Trudnymi czasami, złymi ludźmi, nietrafnymi wyborami, kiepskimi planami? Czy powinno się nam o nich przypominać?

Nie uważałam tego za celowe, szczególnie w przypadku Frances. Nawet wokół jej najlepszych wspomnień, takich jak ta historia z Freudem, unosił się duszny smrodek melancholii i żalu. Mimo że pokój był wypełniony kwiatami.

— Pójdę już. Wracam do Crane's View.

Zamknęła oczy i skinęła głową. Wiedziała, że nie mam innego wyboru.

— Jeżeli odjedziesz dziś wieczór, nie będziesz mogła tu wrócić przed podjęciem decyzji. Będziesz pozbawiona ochrony.

— Nie potrzebuję ochrony. — Nachyliłam się i ucałowałam staruszkę w czoło. Pachniała talkiem. — Dziękuję ci za wszystko, Frances. Nawet po tym, co się stało, nadal bardzo cię kocham.

— I ja kocham ciebie. Zawsze żałowałam jedynie tego, że nie urodziłam dziecka. Teraz, gdy ciebie poznałam, wiem, co to znaczy, i żałuję tym bardziej.

Pogłaskałam ją po policzku i wyszłam, zamykając za sobą drzwi. Zrobiłam dwa kroki na korytarzu i znieruchomiałam, trzęsąc się jak galareta. Nie byłam jeszcze gotowa. Myliłam się, sądząc, że mogę odejść. Jeszcze tylko pięć minut z Frances. Tylko parę pytań. Potrzebowałam pięciu dodatkowych minut z przyjaciółką. Potem poczuje się lepiej, na tyle dobrze, aby przejść do następnej rzeczy, która mnie czeka. Frances zrozumie. Poradzi mi, jak opanować roztrzęsione nerwy i poskromić demony.

Wróciłam i otworzyłam drzwi jej pokoju. Muzyka wciąż grała. Frances trzymała twarz w dłoniach i szlochała tak gwałtownie, że całym jej ciałem targały wstrząsy.

— O Boże, Frances!

Podniosła oczy. Miała purpurową twarz. Policzki błyszczały od łez. Machnęła ręką, każąc mi wyjść. Nie wiedziałam, jak jej pomóc, jak uratować przyjaciółkę przed niechybnym, beznadziejnym losem. Mogłam przecież pójść po lekarkę. Może poda jej coś, co ją uspokoi lub przynajmniej pozwoli jej odpocząć.

Doktor Zabalino rozmawiała w holu z dyżurującą pielęgniarką. Gdy zobaczyła, że biegnę w jej stronę, natychmiast zorientowała się, że coś się stało. Zanim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić, lekarka ruszyła prędko ku windom. Chciałam pójść za nią, lecz powstrzymała mnie zdecydowanym ruchem ręki.

— Nie! Jeśli chcesz być chroniona, nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę! Nie wolno ci iść ze mną. Pomyśl o Frances. Musiałaś jej powiedzieć coś, co ją zdenerwowało. Jest bardzo osłabiona, nie chcę, żeby cię widziała. — Cofnęła jedną dłoń, ale trzymała obie ręce po bokach, gotowa mnie zatrzymać, gdybym znów spróbowała jej towarzyszyć. Weszła do kabiny windy i obróciła się twarzą do mnie. Drzwi zaczęły się zasuwać. — Nie odchodź stąd. Tutaj jesteś bezpieczna.

Nad drzwiami zapaliła się lampka z numerami piętra. Gdy winda zatrzymała się na poziomie Frances, odwróciłam się i podeszłam do recepcjonistki. Tym razem nie potraktowała mnie jak powietrze, czytając poezję. Miała ruchliwe, roziskrzona oczy, jak małe zwierzątko, które raptem zdało sobie sprawę, że znajduje się o krok od znacznie większego zwierzęcia.

— Co teraz będzie?

— Słucham?

Trzasnęłam rękami w biurko, tak że pielęgniarka aż się skuliła.

— Dostyc tego kitu! Co teraz będzie?

— Lekarze zwykle opanowują sytuację. Doktor Zabalino jest bardzo dobrą specjalistką. Na pewno pomoże pani przyjaciółce. Trudniej będzie pomóc pani, bo jeszcze się pani nie zdecydowała. To okropne — tak wiele powodów przemawia za i przeciw. Dlatego powinna pani zostać tutaj do chwili podjęcia decyzji. W Fieberglas jest pani całkowicie bezpieczna. Na zewnątrz grozi pani wielkie niebezpieczeństwo. Są tam rzeczy, o których...

— Powiedz doktor Zabalino, że odjechałam.

— Nie może pani!

— Nie chcę tu siedzieć. Muszę... po prostu powiedz jej, że odjechałam.

— Ale...

Ponownie w ciszę szpitala wdarł się stukot moich obcasów na kamiennej posadzce. Przez szybę dojrzałam siedzącego w taksówce Erika Petersona; na jego twarzy migotała poświata od przenośnego telewizora. Pchnęłam ciężkie frontowe drzwi. Chłodne powietrze miało zapach sosny i kamieni. Nie pragnęłam powrócić do „bezpiecznego” zacisza sanatorium.

— Erik? Jedziemy do domu.

Spojrzał na mnie.

— Koniec odwiedzin?

— Tak. Czy miałbyś coś przeciwko temu, abym usiadła obok ciebie?

— Skądże. Wskakuj. — Wysunął rękę ponad fotelem pasażera i otworzył drzwi. Nad lusterkiem zaświeciła się żółtawa lampka.

Obeszłam przód samochodu i wsiadłam, ale nie zatrzasnęłam drzwi. Musiałam trochę odczekać, zanim moje życie wróci do normy.

— Jak ci poszło, Mirando? Jak tam twoja przyjaciółka?

— Jest chora. To twoja rodzina? — W desce rozdzielczej tkwiła mała metalowa ramka z trzema owalnymi zdjęciami. Chłopiec, dziewczynka i żona. Ubrana w sportową bluzę dziewczynka wdziały się do aparatu. Piękna kobieta spoglądała wprost w obiektyw, z obojętnym wyrazem twarzy. Chłopiec...

— Tak. To moja żona Nina, nasza córka Nelly i Isaac.

— Podobny do ciebie.

— Isaac zmarł dwa lata temu na zapalenie opon mózgowych. Któregoś wieczoru źle się poczuł i poszedł wcześniej spać. Nazajutrz już nie żył. — Erik pokazał, żebym zamknęła drzwi.

Zawahałam się jeszcze na moment, aby ponownie przyjrzeć się chłopcu w skąpym świetle lampki. Erik zapuścił silnik. W powietrzu rozeszła się ostra woń spalin.

— To przykre. Jakim był chłopcem?

— Ciekawe, że pytasz. Większość ludzi zwykle mówi, że im przykro. Krępują się zadawać pytania. Są zakłopotani. Jaki był Isaac? To było żywe srebro. Chłopak nie mógł usiedzieć w miejscu. Co dzień budził się o piątej rano i dokazywał, dopóki nie wrzuciło się go z powrotem do łóżka i nie zamknęło mu oczu. Pewnie był hiperaktywny, ale moja żona mówiła, że jest zbyt ciekawy świata, żeby spokojnie siedzieć. Tęsknimy za nim.

Zamknęłam drzwi i zostawiliśmy Fieberglas za sobą. Koła taksówki kruszyły żwir z głośnym chrobotem. Kiedy wjeżdżaliśmy na jezdnię, spojrzałam na swoje dłonie na kolanach i zobaczyłam, że zaciskają się w pięści. Bałam się, że coś nas zatrzyma lub nam przeszkodzi, ale okazało się, że to jedynie paranoja i egoizm. Nic nas nie zatrzymało. Nie napotkaliśmy niczego oprócz czarnej nocy w światłach reflektorów.

— Kiedy Isaac był małym dzieckiem, ale naprawdę małym, wszedłem do łazienki i zobaczyłem, że stoi boso obok sedesu. Deska była podniesiona, a on stał i majtał nad nią nogą. Zapytałem, co robi, bo po tym szkrabie wszystkiego można się było spodziewać. Odparł, że założył się z sobą, że nie odważy się wsadzić nogi do sedesu. Z jakiegoś dziwnego powodu strasznie się tego bał. Więc stał nad kibelkiem i próbował przełamać

strach.

— Czego się lękał? Czy spuścił wodę?

— No jasne. — Erik zdjął rękę z kierownicy i wykonał zamaszysty gest. — Ale wiesz, jak to jest, kiedy ma się parę lat: dręczą cię inne potwory niż dorosłych.

Przesunęłam się na fotelu i zbliżyłam twarz do fotografii. Jakkolwiek chłopiec przypominał ojca, nawet na zdjęciu jego oczy błyskały dziko, potwierdzając, że był autentycznym żywym srebrem.

Do Crane's View wróciliśmy tą samą drogą. Kiedy przejeżdżaliśmy obok kina, obawiałam się, że znowu coś zobaczę na ogromnym ekranie, ale była tam tylko pustka. Erik mówił o swoim synu. Aby podtrzymać rozmowę, zadawałam pytania. Nie chciałam myśleć, co zrobię po powrocie do domu, gdyż wiedziałam, że całe moje życie będzie zależało od tej jednej decyzji.

— Mogę zapalić, Mirando?

— Tak. Boże, papierosy! Chętnie bym się poczęstowała. Wyciągnął paczkę marlboro z za osłony przeciwsłonecznej i wręczył mi.

— Chyba zostały mi jeszcze dwa. Zobacz. Wyluskałam papierosy.

Erik wcisnął zapalniczkę w desce rozdzielczej.

— Mówią, że to jedna z rzeczy, które nam szkodzą. Wiesz, co ja na to? Papierosy są booskie!

Zapalniczka wyskoczyła i Erik podał mija. Po raz pierwszy od lat przypalałam papierosa. Zaciągnęłam się głęboko. Ostry dym podrażnił mi gardło, lecz smakował wybornie. Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na nocny świat przesuwany się za szybami.

— Kawalek stąd jest „7-11”. Czy możemy się tam na sekundę zatrzymać? Kupiłbym papierosy i parę drobiazgów do domu. Obiecałem żonie, że je przywiozę, będzie wściekła, jak tego nie zrobię.

— Proszę bardzo, zatrzymajmy się. Westchnął.

— To właśnie coś, co zmieniło się na niekorzyść po śmierci Isaaca. Nina wkurza się o byle głupstwo. Przedtem była cicha jak sarenka, a teraz, jeśli coś pójdzie nie tak, zaraz się złości. Zresztą nie mam o to do niej pretensji. Myślę, że każdy z nas tęskni za bliskimi na swój sposób. Ja na przykład myślę o tym, że nie będę mógł zabrać mojego chłopca na mecz Knicksów, obserwować jego postępów w nauce. Czasem, kiedy jestem sam w domu, idę do jego pokoju i siadam na łóżku. A także rozmawiam z nim, wiesz? Mówię mu, co u nas słychać i jak bardzo za nim tęsknię. Wiem, że to głupie, ale wciąż mi się wydaje, że siedzi tam koło mnie. Nina wysprzątała pokój po jego śmierci, więc jest to teraz małe, puste pomieszczenie, ale mnie się wciąż zdaje, że Isaac gdzieś tam jest i może mnie słyszy.

— Za czym tęsknisz najbardziej, Eriku? Czego ci najbardziej brakuje? — Pytanie, które sama zadawałam sobie wielokrotnie, odkąd umarł Hugh.

— Przytulęń. Ten dzieciak to była mała przylepka. Jak raz cię uściśnął, to nie wypuścił cię z rąk. Niewielu ludzi potrafi cię tak przytulić. — Uśmiechnął się smutno. Wyglądało na to, że całe jego obecne życie wyraża się w tym uśmiechu. — I nie tak wielu ludzi potrafi cię naprawdę kochać.

Poczułam ucisk w gardle i musiałam odwrócić wzrok.

— Przepraszam, Mirando. Bajdurzę bez sensu. To ten sklep. Za moment wrócę.

Zwolniliśmy i wjechaliśmy na obszerny parking. „7-11” płonął jasnym światłem, a wyłożone na półkach towary promieniowały intensywnymi kolorami. Patrzyłam, jak Erik wchodzi do sklepu. Przystanął, by zamienić kilka słów ze sprzedawcą, po chwili obaj się roześmiali. Przesunęłam spojrzeniem po parking. Stał na nim tylko jeden pojazd — stary pick-up, który wyglądał, jakby wziął udział w trzeciej wojnie światowej, po czym przykulał się z powrotem. Ustawiłam lusterko wsteczne tak, aby móc się przejrzeć, i ze zdziwieniem stwierdziłam, że moja głowa jest nadal na swoim miejscu, a gwiazdki nie wirują wokół niej

jak u rysunkowej postaci, która dopiero co dostała między oczy.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Po przeciwnej stronie parkingu ukazało się dziecko jadące wolno na rowerku. „Co on robi o tej godzinie na dworze?” — przemknęło mi przez głowę, ale gdy dzieciak podjechał bliżej, osłupiałam z wrażenia. To był Isaac, syn Erika Petersona.

Miał na sobie pomarańczowo— błękitną kurtkę i spłowiałe dzinsy. Podjeżdżał do samochodu, wykręcając na parkingu esy—floresy. Nie dowierzając własnym oczom, raz jeszcze przyjrzałam się zdjęciu na desce rozdzielczej. To był on. Erik ponownie zniknął między półkami w sklepie. Na parkingu, o dwadzieścia stóp dalej, jego martwy syn robił piruety na rowerze.

Otworzyłam drzwi i obróciłam się do wyjścia. Chłopiec zatrzymał się zniemacka i postawił obie nogi na ziemi, aby się nie wyrwać. Patrząc na mnie, pokręcił głową. Nie ruszaj się. Siedziałam bez ruchu, on zaś wolno podprowadził ku mnie rowerek.

— Tam jest mój tatuś. — Miał wysoki, słodki głos. Seplecił.

— Zgadza się.

— Jest fajny, prawda?

— On... on bardzo cię kocha.

— Wiem. Cały czas ze mną rozmawia. Ale ja nie mogę mu odpowiedzieć. Nie wolno.

— Czy mogę mu powiedzieć, że jesteś tutaj?

— Nie. I tak by mnie nie zobaczył. Tylko ty mnie widzisz. Pamiętasz, że widziałas mnie przedtem? Kiedy jechaliście w drugą stronę, ścigałem się z wami. Długo siedziałem wam na kole. Jestem dość szybki jak na swój wiek.

Był bardzo pewny siebie, ten dziesięcioletni chwalipięta, który śmigał nocą na rowerze, aby sprawdzić, czy ktoś go zobaczy. Serce ścisnęło mi się w piersi.

— Znasz Declana? — spytał. — Tak.

Rozległ się warkot silnika i po chwili na parking wjechał zielony porsche. Wysiadła z niego kobieta w męskim kapeluszu. Nie oglądając się, podreptała do sklepu.

— „Kobiety to kamienie, których używa się do budowy domu, mężczyźni to patyki, którymi roznieca się ogień i opala dom”.

Ryk samochodu zdekoncentrował mnie, toteż nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam.

— Co proszę?

— Tak powiedział ojciec Declana.

Zesztywniałam.

— Widziałeś go?

— Pewnie. On i Declan zawsze trzymają się razem. Powiedział to dzisiaj, kiedy Declan spytał, jaka jest różnica między mężczyznami i kobietami. Mówili akurat o tym, czemu Declan się nie urodził.

— Bywaj! — Erik wyszedł ze sklepu, trzymając brązową torbę i zerkając przez ramię.

Chłopiec cofnął rowerek, który znalazł się o dwie stopy od ojca. Spojrzał na przechodzącego obok niego mężczyznę. Podniósł rękę i udał, że klepie go po ramieniu.

Erik zatrzymał się. Przez moment byłam pewna, że wie, kto przy nim stoi. Isaac obserwował go bez emocji. Erik dał krok w lewo, przystanął, krok w prawo. Tańczył! Okręcił się dookoła.

— Słyszysz, Mirando? Tę muzykę ze sklepu? Martha and the Vandellas. *Dancing in the Streets*. — Podchodząc do auta, nadal wyginał się na boki. — Jedna z moich ulubionych piosenek. Isaac też ją uwielbiał. Słyszę ją ostatnio bez przerwy. Dziwne. Częściej niż dawniej. Tak mi się wydaje. — Otworzył tylne drzwi i umieścił torbę z zakupami na siedzeniu. — Gotowa do drogi?

Chłopiec skinął głową, więc ja też potwierdziłam. Jego ojciec usiadł za kierownicą i włączył silnik.

- Mam wszystko, co trzeba. Parę papierosów ekstra, gdyby wzięła cię chęćka.
  - Erik, gdybyś mógł, co byś powiedział Isaacowi, jeśli w tej chwili by tutaj był?
- Bez chwili wahania odrzekł:
- Powiedziałbym: żyję, ale bez ciebie jestem martwy.

Jeden z ulubionych cytatów Hugh pochodził od świętego Augustyna. „Szepnij mi w sercu, powiedz, że jesteś”. Przypuszczam, że chodzi tu o niechęć Boga, by pokazać człowiekowi swoje oblicze. Jednak wydarzenia, które zaszły, każą mi interpretować ów cytat kompletnie inaczej. Byłam pewna, że słowa: „Kobiety to kamienie, których używa się do budowy domu, mężczyźni to patyki...” przeznaczone są dla mnie, nie dla Declana. Że Hugh szepcze w moim sercu, podpowiadając, co należy robić. Sama zresztą doszłam do podobnego wniosku, jego słowa tylko umocniły mnie w przekonaniu.

Po przybyciu do Crane’s View Erik odstawił mnie pod dom, do którego weszłam bez cienia strachu czy zdenerwowania. Po złożeniu broni nastaje zawsze cisza. Spokój, który wręcz dodaje nowych sił, bo człowiek wie, że nie ma innego wyjścia. Ja wiedziałam już, co zrobić, i bez względu na to, co mi się jeszcze przytrafi — dziecko będzie bezpieczne. Jedyne to się dla mnie liczyło: bezpieczeństwo dziecka. Oddam mu to, co mam, dobrowolnie!

Dom był nienaruszony, żadnych śladów wydarzeń, które rozegrały się w nim wcześniej. Wszedłszy do kuchni, przypomniałam sobie, że wszystko zaczęło się po tym, jak przyrządziłam sobie kolację — ile godzin, dni, żywotów temu? Po tym, jak włączyłam telewizor i zobaczyłam Charlotte, Declana i Hugh baraszkujących w basenie.

I co z tego? Gdzieś przecież musiało się to zacząć, no i zaczęło się akurat w kuchni. Idź naprzód. Masz inne sprawy na głowie. Głód pogroził mi palcem i już wiedziałam, że najpierw będę musiała coś zjeść. Gdy otworzyłam lodówkę, powitała mnie nieprzebrana masa wyrafinowanego, egzotycznego jedzenia: irański kawior, przepiórcze jaja, pudełko ciastek z wiedeńskiego „Demelu”, tunezyjskie kapary, oliwki z góry Athos, świeżutki szkocki łosoś, marynowane cytryny z Bombaju. Mimo że nie kupiłam, a nawet nie próbowałam żadnego z zalegających półki przysmaków, ich obecność wcale mnie nie zdziwiła. Czas zdziwienia skończył się raz na zawsze. Powąchałam i uszczknęłam trochę tego i owego, zanim wybrałam chrupiącą bagietkę, pikantną włoską szynkę, pokrojoną w plasterki grubości serwetki, i najdelikatniejszy ser mozzarella, jaki kiedykolwiek miałam w ustach. Palce lizać. Kanapkę pochłonęłam błyskawicznie.

Znalazłam też butelkę wina Lambrusco, jedną z ulubionych marek Hugh. Po jej odkorkowaniu napełniłam mały kieliszek, w którym dotąd leżały płatki wędzonej wołowiny z sosem. Może to dziwne, ale miałam ochotę wnieść toast. Przecież bankiet powinien zakończyć się wypiciem za czyjeś zdrowie. Gospodarza, młodej pary, solenizantki, ojczyzny. Ale za co miałabym wnieść toast w tę ostatnią noc mojej niedorzecznej egzystencji? Zdrowie moich poprzednich wcieleń? Za wszystkie dawno minione, dobre i złe chwile, które niczego mnie nie nauczyły. Za wszystkich ludzi, których znałam i skrzywdziłam — wybaczenie, dobrzy ludzie, lecz już was nie pamiętam. I wreszcie, zdrowie mnie samej — w iluokolwiek osobach dane mi było żyć.

Hugh nauczył mnie irlandzkiego toastu:

Niech kochają nas ci, co nas kochają.  
A tym, co nas nie kochają,  
Niech Bóg odmieni serce.  
A jeśli nie odmieni ich serca,  
To niech im skręci kostkę,  
Abyśmy ich poznali po kulawym chodzie.



Nasunął mi się odpowiedni pomysł. Podniosłam kieliszek i powiedziałam do pustego pokoju:

— Zdrowie twoje i żywotów, które wiesz. Mam nadzieję, że szybciej ode mnie znajdziesz drogę do domu. — Powoli wysączyłam wino.

Na podłodze pracowni Hugh leżało kartonowe pudło z narzędziami i odczynnikami, za pomocą których Hugh przywracał przedmiotom ich dawny blask. Zaczęłam wyciągać różne buteleczki, czytać nalepki, wybierać te, które zawierają substancje łatwopalne bądź alkohol. Nasz zbudowany z drewna dom spłonie jak smolna szczapa. Obeszłam cały parter, polewając podłogę i sprzęty duszącymi chemikaliami. Nowe krzesło Hugh, sofa, pudła z książkami. Obserwowałam, jak nowa tkanina nabiera plam, jak na parkiecie robią się kałuże, jak płyn wżera się w plastik turkusowej popielniczki „Sky King”, którą Hugh dostał ode mnie w prezencie. Po opróżnieniu wszystkich buteleczek i puszek stałam w przedpokoju i wdychałam smród zabójczych odczynników, rozlanych po przedmiotach i sprzętach, które były mi najdroższe na świecie.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na ganek. Obok mojego domu przejechał samochód. Białe auto. Skojarzyło mi się z białym koniem. Herosi i dzielni rycerze dosiadali białych koni. Przypomniałam sobie nie dokończoną bajkę Hugh o rycerzu pospolitego oblicza, który tak się zakochał w księżniczce, że gotów był ponieść dla niej najwyższą ofiarę. Udał się do diabełków i wymienił u nich swoją odwagę za jej szczęście. Zapamiętałam ostatnią linijkę jego urwanej opowieści. „Życie obfituje w niespodzianki, ale po co mamy się męczyć, skoro jesteśmy pewni, że wszystkie wyjdą nam na złe?” Nie chciałam już niespodzianek. Nie ufałam im tak samo, jak nie wierzyłam, że potrafię zmienić cokolwiek na lepsze, jeśli będę dalej żyła. Oddam nieśmiertelność dziecku, a potem z nią skończę.

Gapiąc się przez okno, czułam zarówno ulgę, jak i napięcie. Świat należał do mnie, gdyż nie chciałam dłużej na nim być. Mogłam zrobić to dzisiaj, jutro lub za tydzień. Data nie miała znaczenia, raz podjęta decyzja była nieodwołalna. Nie, dzisiaj albo nigdy. Nie chciałam czekać do jutra. Poszłam poszukać zapalek.

Jaki tytuł nosiła ta znana książka dla dzieci? Dobranoc, Księżycu? A zatem dobranoc, Hugh. Dobranoc, Frances Hatch. Dobranoc, Crane’s View. Dobranoc, życie. Intonowałam tę litanie w głębi ducha, szukając zapalek. Dobranoc, Eriku i Isaacu Peterson. Dobranoc, Fieberglas. Dobranoc, piękne książki i długie kolacje z ukochanym. Żegnałam się z tym i tym, i tym, snując się po całym domu. Lista wydłużała się, w miarę jak otwierałam kolejne szuflady i szafki, szukając czegoś na podpałkę świata, w którym przedmioty te istniały.

Czując wzbierającą frustrację, przypomniałam sobie, że w pudle z odczynnikami widziałam pakietek zapalek z zielonym napisem reklamującym „pizzę u Charliego”. To tam zjedliśmy obiad z Frances w dniu, kiedy przyjechaliśmy do Crane’s View. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam Declana. Kiedy poznałam Franniego McCabe’a. Po raz pierwszy i ostatni. Nigdy już nie zobaczę Declana ani Franniego. Nie zobaczę tego, tamtego, owego. Ani łaciatego psa, ani marmoladowego kota. Dobranoc, życie.

Znalazłam zapalki i wstałam, zastanawiając się, od czego zacząć. Pokój gościnny. Usiądź na kanapie, zaprósz ogień i skończ z tym. Przejście z pracowni Hugh do pokoju gościnnego wydało mi się pięciomilową przeprawą. Miałam wrażenie, że stąпам po dnie morza. Nic złego ani strasznego, tylko ta powolność ruchów i wyrazistość szczegółów. Czy postrzegałam rzeczy tak wyraźnie, bo widziałam je ostatni raz? Dobranoc, śliczny parkiecie w holu. Hugh uklęknął tutaj i głaszcząc podłogę, spojrzął na mnie z uśmiechem szczęścia. „To wszystko nasze” — powiedział tonem zdumienia. Dobranoc, schody. Stałam, podniosłam wzrok i przypomniałam sobie dzień, w którym kochaliśmy się na ich szczycie. Jakże bym chciała poczuć zapach Hugh w tym ostatecznym powietrzu! Czy spotkam go tam, dokąd się wybieram? Pobiegłam spojrzeniem w górę schodów i przypomniałam sobie, jak leżał na mnie, jego ciężar, miękkość ust na mojej szyi, kciuki trzymające mnie za dłonie. W

kieszonkach spodni miał pęk kluczy. Ilekroć się na mnie poruszył, klucze wpijały mi się w biodro. Poprosiłam, by je wyciągnął. Cisnął je precz. Upadły i przesunęły się z brzękiem. Dobranoc, klucze.

W pokoju gościnnym zapatrzyłam się na moment w pusty kominek, a potem włożyłam rękę do kieszeni. Był tam. Nadszedł czas, więc go wyjęłam. Szalony natłok wydarzeń od chwili, gdy za milczącą namową Hugh podniosłam go z podłogi piwnicy, sprawił, że niezbyt dokładnie przyjrzałam się kawałkowi drewna, który trzymałam teraz w ręce. Właściwie nie pamiętałam o nim aż do chwili, kiedy stałam w holu Fieberglas i rozmawiałam z pielęgniarką na temat Frances. Aby to jakoś opisać, mogę powiedzieć, że to drewnienko przyszło do mnie, tak jak przychodzi dobry pomysł albo strach. Całkiem nagle, jakby wnikało przez pory ciała. Owszem, było cały czas w mojej kieszeni, lecz zdałam sobie z tego sprawę raczej niespodziewanie. A może po prostu przypomniałam sobie o nim, pojmując zarazem jego sens i cel. Kawałek drewna długości około siedmiu cali. Ciemny z trzech stron, jasny z jednej — tam, gdzie odłamał się od kołyski, kiedy McCabe/Shumda grzmotnął nią o ścianę.

Widniał na nim fragment postaci, ale trudno było odszyfrować, co przedstawia. Zad biegającego zwierzęcia. Może jelenia lub mitologicznego stworzenia, które pasowałoby do reszty dziwnego, fantastycznego świata, wyrzeźbionego na tej cudownej, starej kołysce. Kolebce naszego dziecka, naszej dziewczynki. Pomyślałam o niej, o jedynym jej obrazie, jaki zachowam w pamięci. Potem przyszedł mi na myśl Declan i słowa wypowiedziane przez jego ojca. Wiedziałam, co muszę uczynić, i było to słuszne, ale gdybym miała jakimś cudem przeżyć to nieuchronne zdarzenie, na zawsze żałowałabym tego czynu. Spojrzałam na kawałek drewna w dłoni i świadoma, że nie mam wyboru, powiedziałam: „Przepraszam”. Miałam spalić dwa kawałki drewna. Dokonać zaślubin dwóch patyków: tego z kołyski, który trzymałam w ręce, i tego, który znalazłam w Central Parku tamtego dnia, kiedy spieszyliśmy do hotelu, aby się kochać. Dwa patyki wystarczą do zaślubin, choć przydałoby się więcej. Gdybym tak, w wieku osiemdziesięciu lat, pod koniec spełnionego życia, spaliła cały stos patyków w gigantycznym ognisku! Ale miałam tylko te dwa, musiały mi wystarczyć. W niczym zresztą nie umniejszało to ich znaczenia. Jeden symbolizował Hugh, drugi nasze dziecko. Gdzie jest patyk Hugh? Mógł być wszędzie, w końcu uznałam jednak, że to bez znaczenia, gdyż on także spłonął w pożarze domu.

Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że po zapaleniu drewno zajmie się ogniem, jakby zrobiono je z czystej benzyny. Oddarłam zapałkę z pakiecika i drasnęłam. Płomień wystrzelił z sykiem w górę, po czym przygasł do rozmiarów paznokcia. W jednej ręce trzymałam płonąca zapałkę, w drugiej kawałek drewna. Dobranoc, życie.

Po raz ostatni podniosłam wzrok. Okna zapełniły się twarzami. Niezliczone mrowie twarzy. Jedne płaszczyły się na szybie, ze zdeformowanymi rysami; krzywe nosy, śmieszne usta. Inne majaczyły gdzieś w tle, czekając na sposobność, by podejść jak najbliżej do okna, do tego pokoju, do mnie. Wiedziałam, że to moje twarze z poprzednich wcieleń, że przyszły obejrzeć swój ostatni rozdział — dojazd na ostatni przystanek, koniec jazdy, wszyscy wysiadać!

— Żegnajcie. — Spokojnym gestem przyłożyłam zapałkę do drewna i cały świat eksplodował.

Usłyszałam wybuch i zobaczyłam oślepiający rozbłysk. Potem była kompletna cisza. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Znalazłam się gdzieś, skąd wróciłam wprost do pokoju — siedziałam sama na kanapie i zdumiona trzymałam puste dłonie w powietrzu. Upłynęła dłuższa chwila, zanim uprzytomniłam sobie, gdzie jestem; nie bardzo mogłam w to uwierzyć. Panowała cisza. Gdy oczy przywykły mi do światła w pokoju, stwierdziłam, że otaczające mnie barwy i przedmioty są takie same jak przedtem.

Opuściłam ręce na kanapę i poczułam szorstką wełnę pod opuszkami palców. Obracając głowę na boki, zlustrowałam wnętrze. Nic się nie zmieniło. Dom Frances, nasz dobytek,

meble. Nawet zapach pozostał ten sam.

A jednak była jakaś zmiana. Hugh. W powietrzu unosił się aromat wody kolońskiej, której używał Hugh. Potem poczułam dotyk dłoni na ramionach i wiedziałam, że to jego ręce. Hugh był tutaj.

Ręce podniosły się. Obszedł kanapę dokoła i stanął naprzeciw mnie.

— Wszystko w porządku, Mirando. Jesteś cała i zdrowa.

Wybałuszyłam na niego oczy i powtórzyłam jego słowa, gdyż to była prawda.

— Jestem cała i zdrowa. — Patrzyliśmy na siebie. Miałam pustkę w głowie. Chociaż nie już nie rozumiałam, byłam cała i zdrowa.

— Nie wolno ci się zabić. Podpalając patyk, zwróciłaś im jedynie to, co i tak było ich własnością. Teraz masz przed sobą całe życie. Jest twoje.

Spojrzałam na niego. Skinęłam głową. Dobrze. Wszystko było dobrze.

— Dziękuję, Mirando. Dokonałaś wielkiej rzeczy.

Patrzyłam na niego i czułam się pusta jak śmierć, jak stare serce czekające na stosowny moment.

Znienacka usłyszałam szept — zdałam sobie sprawę, że to mój głos:

— Co teraz?

— Teraz będziesz żyła, najdroższa. — Uśmiechnął się. Był to najsmutniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Dobrze.

Sięgnął do kieszeni marynarki i coś wyciągnął. Podał mi to. Kolejny patyk. Podłużne, srebrzyste drewnienko wyglądało jak kawałek rozbitego statku. Deseczka, która dryfowała przez tysiąclecia po niewyobrażalnym oceanie. Obróciłam patyk w ręce, przyglądając mu się z uwagą. Bezkształtny, miękki, srebrny, stary. Tak, musiał zostać wyłowiony z morza.

Kiedy znów uniosłam wzrok, Hugh już nie było.

Wiele lat temu w radiu nadawano sympatyczny utwór. Grano go na okrągło, ale nie przeszkadzało mi to, bo piosenka dotrzymywała mi towarzystwa, za co jestem zawsze wdzięczna. Nieraz łąpałam się na tym, że nucę ją sobie pod nosem. Miała tytuł *How Do I Live Without You?*

Zrozumiałam tę oto zasadniczą lekcję. Żeby przetrwać, musisz się nauczyć żyć bez niczego. Pierwszy umiera optymizm, po nim miłość, na końcu nadzieja. Mimo to musisz trwać. Jeślibyś zapytał, po co, odrzekłabym, że nawet bez tych fundamentalnych, wspaniałych rzeczy, bez tej gorącej krwi płynącej w arteriach, zostaje w życiu, w jednym dniu, dostatecznie wiele, aby uczynić je cennym, ważnym, pasjonującym. Jak mam bez ciebie żyć? Umieszczani cię w muzeum mego serca, które często zwiedzam, sycąc tobą zmysły aż do bólu, zanim na noc zamkną podwoje.

Cóż jeszcze mogę ci opowiedzieć? Co chciałbyś wiedzieć? Żyłam: nie wyszłam za mąż, nie miałam dzieci, spotkałam dwóch dobrych ludzi, których mogłam pokochać, ale po tym, co przeżyłam, okazało się to niemożliwe. Jednak byłam z siebie dumna, ponieważ usiłowałam, ze szczerą nadzieją i otwartym sercem, zakochać się ponownie. Nic z tego nie wyszło.

Wróciłam do handlu książkami i dobrze sobie radziłam. Czasem udawało mi się nawet zatracić w pracy, wtedy byłam najszcześniejsza. Cały czas pamiętałam o Frances Hatch, która żyła pełnią życia po tym, jak przecięła ową nić. Często żałowałam, że nie mogę z nią pogadać — umarła w trzy dni po naszym ostatnim spotkaniu.

Zoe wyszła za Douga Auerbacha i przez długi czas byli szczęśliwi. Po jego śmierci, dziesięć lat temu, przeprowadziłam się do Kalifornii, aby z nią zamieszkać. Stałyśmy się kwintesencją starszych pań z Los Angeles. Jadłyśmy tylko naturalnie karmione kurczaki i łykałyśmy ogromne ilości witamin. Wałęsałyśmy się po centrach handlowych, uczęszczałyśmy na aerobik dla seniorów, w miarę zaś jak świat tracił ostrość i materialność,

nosiłyśmy coraz grubsze okulary. Ułożyłyśmy sobie życie i obserwowałyśmy, jak słońce chyli się za jego horyzont.

Zawsze budziłam się przed Zoe i parzyłam kawę. Ona jednak była punktualna i o dziewiątej rano siadała ze mną na podwórku za domem, żeby poczytać gazetę i przedyskutować plan dnia. Miałyśmy ogród, znalazło się paru przyjaciół, wiecznie wspominałyśmy dawne lata. Ma się rozumieć, nie pisałam jej nic o mojej prawdziwej historii.

Któregoś roku dostałam na urodziny telefon komórkowy. Pudełko było opatrzone karteczką, na której Zoe napisała: „Teraz dopiero będziesz kalifornijską laleczką!” Zobaczywszy zawartość pudełka, spytałam, kto niby miałby do mnie dzwonić. „Nigdy nie wiadomo” — odparła głosem pełnym seksapilu. Kochałam ją za optymizm i kochałam ją za to kłamstwo. Wiedziałam, że Zoe kupiła mi telefon, bo się o mnie martwi. Cierpiałam na omdlenia — „duszności”, jak je nazywała — które powtarzały się z niepokojącą regularnością. Mój lekarz, Irlandczyk nazwiskiem Keane, żartował, że mam ciśnienie krwi jak legwan. Czasem udawałam, że czuję się nietęgo tylko po to, by złożyć mu wizytę.

Ale śmierć nakręca zegar — pewnego ranka Zoe nie przyszła wypić kawy. Była tryskającą zdrowiem kobietą, kiedy mieszkałyśmy pod jednym dachem, nie zachorowała bodaj ani razu. O wpół do jedenastej weszłam do jej pokoju i ujrzałam ją w łóżku, leżącą spokojnie na boku, i wiedziałam. Co prawda jej dzieci, z których żadne nie odziedziczyło ni grama jej szlachetności i energii, przybyły na pogrzeb, ale odleciały pierwszym wolnym samolotem.

## HISTORIE PISANE NA ŚNIEGU

Odezwał się dzwonek u drzwi. Stara kobieta uniosła oczy znad zeszytu i zmarszczyła czoło. Nie życzyła sobie, aby jej przeszkadzano, zwłaszcza teraz, gdy tak niewiele zostało jej do końca. Cóż za niezwykła myśl: wkrótce zakończy swe dzieło.

Tak czy inaczej, nikt do niej nie przychodził, tego można było być zupełnie pewnym. Raz na jakiś czas kurier w brązowym mundurze United Parcel Service przynosił jej paczkę z „Land’s End” lub innej farmy wysyłkowej, która zaopatrywała ją w mocne, praktyczne ubrania uszyte z ciepłych materiałów, takich jak polar czy gęsi puch. Choć mieszkała w pustynnym upale Los Angeles, niemal bez przerwy czuła ogarniający ją od stóp do głów chłód. Czasami nocą, oglądając telewizję, wkładała nawet ogrzewane niebieskie rękawice z polaru. Gdyby ktoś ją wtedy zobaczył, wziąłby ją za wariatkę, ale jej było naprawdę zimno. Starość obdarzyła ją nie tyle mądrością, ironią, wdziękiem czy spokojem ducha, ile chłodem, od którego nie była w stanie się uwolnić.

Nie przypominała sobie, żeby coś zamówiła, zatem stojący przed jej drzwiami człowiek musiał się pomylić albo był nieproszonym gościem. Czy nie chciałaby pani prenumerować naszego czasopisma? Czy mogłaby pani uwierzyć w mojego boga? Czy nie pożyczyłaby pani dolara facetowi, któremu ostatnio nie idzie karta?

Dzwonek ponownie zadzwonił, głośno i natarczywie: BIM–BOM BIM–BOM! Nie sposób go było zignorować. Z grymasem na twarzy kobieta odłożyła wieczne pióro Hugh i sięgnęła po opartą o biurko laskę.

Roztyła się. Ostatnio zaczęła się nawet nazywać grubaską, choć od dawna wiedziała o swojej tuszy. Była starą kobietą, która za bardzo przybrała na wadze. Lubiła siedzieć. Po śmierci Zoe przestała chodzić na gimnastykę. Uwielbiała ciasteczka. Hugh powiedział kiedyś, że Jedzenie to seks dla starych ludzi”. Również w jej wypadku była to prawda.

Miała słabe kolana, biodra i Bóg jeden wie, co jeszcze. Wstawanie i siadanie kosztowało ją sporo wysiłku. W jej wieku wszystko przychodzi z trudem, a kiedy człowiek ma dwadzieścia pięć funtów nadwagi, stęka i jęczy przy najprostszej czynności. Na Boże Narodzenie, tuż przed śmiercią, Zoe dała Mirandzie laskę. Bardzo ładną, dębową i nieco zakrzywioną, jakby zadziorną. Wyglądała na coś, czego używałby Irlandczyk. Hugh zawsze powtarzał, że zabierze ją do Irlandii...

Znowu dzwonek. Niech to diabli! Już prawie skończyła pisać swoją opowieść, ta niespodziewana wizyta przerwie jej wątek myślowy. Nie była pewna, czy uda jej się go odnaleźć — jej dotychczasowe doświadczenie wskazywało, że nie. Pisanie wymagało od niej pełnego skupienia. Coraz częściej pamięć bawiła się z nią w chowanego. Musiała czym prędzej przelać wszystko na papier, zanim jakaś nieuchronna i straszliwa choroba, jak Alzheimer czy paraliż, opanuje jej mózg i wysysie zeń całą treść.

Wsparta na lasce odepchnęła się od biurka i wstała z krzesła. Po paru niepewnych krokach ruszyła wolno przez ocieniony pokój.

Słońce nigdy nie miało tu dostępu. Lubiła ten półmrok. Niemal bez przerwy w pokoju paliły się dwie lampy. Celowo zostawiała je zapalone na noc, kiedy zmęczona szła spać. Podobało jej się, że jej pracownia jest zawsze oświetlona. Jak gdyby mieszkał tam świetlisty duszek strzegący tego, co najważniejsze — jej pamiętnika i myśli. Tak jest, uważała, że najważniejsze myśli zostawia w tym pokoju, bo od początku prowadzi w nim pamiętnik. Głupotka! Głupie myśli starej wariatki.

Oto, co ją zaprzętało, kiedy z trudem posuwała się w stronę drzwi wejściowych. Kto to może być? Czy musi niepokoić ją właśnie teraz? A w ogóle, która godzina? Zatrzymała się i popatrzyła na zegarek, ogromną cebulę z największym cyferblatem, jaki można było dostać w sklepie. Dzięki temu, żeby odczytać czas, nie musiała wkładać okularów.

— O rety! — Była piąta po południu. Pisała od wielu godzin. To dobra wiadomość, oznaczająca, że pracuje w natchnieniu, że chce poznać koniec swojej opowieści. Koniec, który jest już tak blisko. Czują go niemal na wyciągnięcie ręki. Potem niestraszna jej już będzie ani choroba Alzheimerera, ani atak serca — będzie gwizdać na wszystkie doczesne okropności. Naprawdę.

Zerknęła przez okienko w drzwiach, ale nikogo nie dostrzegła. Jeżeli to figiel dzieciaka z sąsiedztwa — zadzwonić do drzwi i nawiać — to się zezłości. Ale przynajmniej będzie mogła wrócić bezzwłocznie do pracy. A może powinna po drodze wstąpić do kuchni i wyjrzeć... Znów dzwonek. Jak to możliwe? Przecież przed chwilą patrzyła i nikogo tam nie było. Zwarcie? Czy słyszano kiedyś, żeby w dzwonku zrobiło się zwarcie?

Chyba że ktoś tylko czeka, aż ona otworzy drzwi! Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Samotne staruszki padają ofiarą okropnych przestępstw. Są takie bezbronne. Wystarczy obejrzeć wiadomości w telewizji, aby dostać gęziej skórki. Co z tego, że ma w drzwiach kilka zamków. Życie nauczyło ją, iż nieszczęście wślizgnie się przez każde drzwi i że nie potrzebuje klucza. Owszem, przez chwilę się bała, ale tylko dlatego, że nie dokończyła pamiętnika. Słowa modlitwy, którą by odmówiła, gdyby była osobą wierzącą, brzmiałyby tak: „Proszę, pozwól mi skończyć. Daj mi siłę i czas, abym zdążyła. Reszta należy do ciebie”.

Z niepokojem zerknęła przez okienko i ujrzała dziwny widok. Poprzednio spojrzała na wprost, teraz przesuwając się na bok, zobaczyła, że prowadzące do jej drzwi schody są ułane ciastkami.

Wyrwało jej się zdumione „Coo...?” i przysunęła się do szyby, żeby lepiej widzieć. Bez wątplenia: ciastka. Między chodnikiem, na małym, lecz zadbanym podwórku, a jej drzwiami leżało szesnaście ośmiokątnych płyt. Wpadły jej w oko, jak tylko je zobaczyła. Przywodziły w myśli angielski domek na wsi albo magiczną ścieżkę z baśni. Zoe także je lubiła — kiedy przed laty trzeba było rozkopać całe podwórko, aby wymienić rurę odprowadzającą ścieki, obie kobiety wymusiły na robotnikach, by po skończonej pracy umieścili płyty dokładnie w tym samym miejscu.

Teraz każdy ośmiokąt pokrywały ciastka. No, prawie każdy. Marny wzrok nie pozwalał jej dojrzeć więcej niż pięciu płyt. Na każdej były cztery? Tak, cztery wielkie ciastka, z gatunku tych, które sprzedawano w cukierni pani Field albo Dave’a. Miranda przepadała za nimi. To był jej czekoladowy przysmak: posypka z białej lub ciemnej czekolady, orzechy laskowe, rodzynki... wszystko jedno. Ubóstwiała te wielgachne czekoladowe ciacha, właśnie takie, jakie leżały teraz przed jej domem!

Na jej trawnik wskoczył dalmatyńczyk, biegnąc w sobie tylko znanym kierunku. Musiał jednak wyczuć zapach ciasta, bo wyhamował gwałtownie, pochylił łeb nad jedną z płyt i zaczął zajadać, aż mu się uszy trzęsły. Psy, kiedy są podekscytowane, wręcz pochłaniają pokarm, i ten nie należał do wyjątków. Jadł tak łapczywie, przeskakując z jednej płyty na drugą, że Miranda nie mogła powstrzymać się od chichotu. Nie wiedziała, kto położył ciastka na jej chodniku, ale z pewnością nie były one przeznaczone dla tego gagatka.

— Pójdź tropem żółtych ceglanych ciastek. To przecież twoje ulubione, prawda?

Miranda zastygła. Głos odezwał się tuż za nią. Nie знаła go. Na pewno należał do mężczyzny i rozległ się za jej plecami, tuż koło niej.

— Co, nie poznajesz go? To dalmatyńczyk Bob. Pies Hugh i Charlotte. No, przywitaj się z Bobem.

Mężczyzna mówił cicho, spokojnie, ale z nutką rozbawienia. Miranda nie miała innego wyjścia, jak się odwrócić.

Shumda stał pięć stóp od niej. Miał na sobie szarą bluzę z napisem „Skidmore”, dzinsy i wystrzałowe niebieskie adidasy. Nie postarzał się ani o godzinę, odkąd Miranda widziała go dziesiątki lat temu.

— Zaplanowałem sobie całą scenkę, razem z hasłem: „Pójdź tropem żółtej cegły, ale stary

Bob pomieszał mi szyki. Wiem, jak bardzo lubisz te słodkości.

Cóż mogła powiedzieć? To był koniec. Przyszła pora umierać. Z jakiego innego powodu Shumda zjawiłby się u niej? Ile tysięcy dni upłynęło od czasu, gdy widziała tego przystojnego lotra na ganku swego domu w Crane's View w stanie Nowy Jork?

— Czego chcesz?

Położył obie dłonie na piersi i przybrał urażoną minę. — Ja? Niczego nie chcę. Ja tylko wykonuję swoje zadanie. Otrzymałem rozkazy.

— Przyszedłeś po mnie?

— *Voilà. Es muss sein.*

— Gdzie... Jakie masz zamiary?

— Przyjechałem zabrać cię na przejażdżkę moim nowym wozem. To dodge! Prosiłem o mercedesa, ale dali mi dodge'a.

Nie cierpiała jego głosu. Miał przyjemny niski ton, lecz przebijała w nim kpina i arogancja. Jakby mówił do małego głuptaska, który o niczym nie ma pojęcia.

— Nie musisz się tak do mnie zwracać. — Zachnęła się najeżona. — Zrobię, co powiesz.

Nie spodobało mu się to. Otworzył szeroko oczy i zacisnął usta. Między nich wkraśl się chłód, na który nie był przygotowany. Zapewne spodziewał się, że będzie go błagała, skomlała o litość, tymczasem stało się inaczej. Niepewność rysująca się na jego twarzy przeszła w złośliwy grymas i nagle znowu był panem sytuacji.

— Mówiłem ci, że przyjdę, Mirando. Dawno, dawno temu. Nie pamiętasz swojego ukochanego psa, którego podpalono?

— To była twoja sprawka?

— Tak. Byłem pewien, że dojrzysz w tym moją rękę. Czy mógłbym ci dać wyraźniejszy znak? Nie pamiętasz, że Fran— ces uratowała mnie dzięki podpaleniu psa?

— Zabiłeś psa tylko po to, aby dać mi znać, że przychodzisz?

— Dramatyczny gest, przyznaję, ale najwyraźniej nieskuteczny. Tak czy owak, czas ruszać w drogę, Mirando. Nie musisz nic brać. Nie jedziemy daleko.

Poczuła strach. Trysnął w niej jak woda i raptem zaczęła drżeć. Była na siebie wściekła. Mimo paraliżującego lęku była wściekła, że ten odstręczający człowiek patrzy na jej słabość. Odetchnęła głęboko, ale ze strachu powietrze uwieźło jej w gardle. Mimo to zdołała wykrztusić:

— Czy mogę coś ze sobą wziąć?

— Chcesz się pakować?

— Nie, chcę zabrać tylko jedną rzecz. Jest w sąsiednim pokoju. Przyglądał jej się niechętnie długo, a potem skrzywił się w uśmiechu.

— Zgaduj zgadula do trzech razy sztuka. Czy to coś jest większe od chlebaka? No dobrze, zgoda, ale pospiesz się.

Zebrała w sobie resztki energii i poczłapała na tyły domu. Dzięki Bogu, że miała laskę, jej ciało bowiem zamieniło się w kamień. Nie chciało jej słuchać, zapomniało, jak się chodzi. A jednak sunęła naprzód. Idąc korytarzem, robiła jeden niepewny krok za drugim, w stronę swojej pracowni.

Przez kilkanaście sekund wpatrywała się w biurko i leżący na nim otwarty pamiętnik. Już nie ukończy go pisać. Nie uzupełni brakujących stron i nie odłoży go w bezpieczne miejsce, gdzie pewnego dnia go odnajdą i poznają jej historię. Za późno. Już po wszystkim. Koniec.

— W porządku. Okay. Po prostu odejdz. — Powiedziała to na głos, podchodząc do komody pod ścianą. Wysunęła górną szufladę i wyjęła kawałek drewna. Srebrzysty patyk, który Hugh wręczył jej, kiedy widziała go po raz ostatni. Od tamtej pory zebrała wiele innych drewnienek, ale one będą musiały tu zostać. Nie wiedziała, co zrobi z tym patykiem — czy w ogóle przyda jej się tam, dokąd pojedzie — ale musiała go przy sobie mieć. Zamykając drewnienko w dłoni, wyszła z pokoju.

Shumda czekał przy drzwiach frontowych. Otworzył je, gdy ją zobaczył. Zgięty wpół, zaprosił ją z przesadną elegancją do wyjścia. Poczłapała przed siebie, mocno opierając się o laskę. Strasznie się bała. Bolały ją kolana. Dokąd się udadzą? Usłyszała, jak Shumda zamyka drzwi. Delikatnie ujął ją pod ramię i pomógł jej zejść ze stopnia na podwórze. Pies zniknął, a wraz z nim ciastka. Parę minut temu przyglądała się dziwnemu, śmiesznemu widokowi: czekoladowym ciastkom na chodniku przed domem — teraz jednak żarty się skończyły. Wkrótce skończy się cała reszta.

Wyszli na ulicę. Shumda kazał jej poczekać, po czym oddalił się szybkim krokiem i zniknął za węglem. Spojrzała na niebo. Samolot przecinał błękit cienką białą smugą. Gdzieś gwałtownie, z piskiem opon zahamował samochód. Potem zapadła cisza i po chwili rozśpiewały się ptaki.

Łśniaca zielona półciężarówka zatrzymała się tuż przed nią. Za kierownicą siedział Shumda, na głowie miał bejsbolówkę San Diego Padres. Wyszedszy z auta, otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł jej wsiąść. Miała trudności z wchodzeniem do samochodów, ale jeździła nimi tak rzadko, że jej kłopoty nie miały żadnego znaczenia.

— Dokąd jedziemy?

— To niespodzianka.

— Nie chcę niespodzianek. Powiedz mi. Daj mi przynajmniej tyle.

— Bądź cicho, Mirando. Usiądź wygodnie i rozkoszuj się jazdą. Dawno nie byłaś na świeżym powietrzu.

Złożyła ręce na kolanach i wyjrzała przez okno. Shumda znowu się odezwał, ale go zlekceważyła, nie chcąc się nawet obejrzeć. Kiedy zdał sobie sprawę, że mu nie odpowie, zaczął kłapać paszczą bez opamiętania. Opowiedział jej, co robił przez te wszystkie lata, opowiedział też, czym ona się zajmowała. („Kazali mi mieć cię na oku”). Powiedział wszystko, czego nie chciała usłyszeć. Miranda wyglądała przez okno i uporczywie próbowała go ignorować. Jeżeli miała to być jej ostatnia przejażdżka, nie zamierzała słuchać, jak Shumda miele jęzorem. Budka z hamburgerami, stacja benzynowa. Dlaczego to się stało tak nagle? Czy nie mogli jej ostrzec? Jeden dzień. Gdyby dali jej choć jeden dzień, mogłaby wszystko zakończyć jak należy i oczekiwałyby w drzwiach jego przyjscia. Wyprzedził ich żółty kabriolet prowadzony przez piękną brunetkę. Potem minęli volkswagena, który wyglądał, jakby objechano nim kulę ziemską sześć razy dookoła. Kierowca był ogolony na zero; jego ręce tańczyły na kierownicy tam i z powrotem. Stary antykwariat. Jeden dzień w zupełności by jej wystarczył. Dzisiaj podczas pisania miała kilka skurczów żołądka, bo w tajemnej głębi duszy wiedziała już, że koniec nastąpi niebawem — i co wtedy pocznie ze swoim czasem? Dlaczego Shumda śledził ją w ciągu tych lat? Przecież nikomu nie zagraża. Nigdy nie była niebezpieczna. Na dodatek wszystko to zdarzyło się tak dawno temu. Później jej pamięć zaczęła szwankować i mimo że napisała pamiętnik, wiele wspomnień z tamtego okresu przypominało — jej samej — greckie ruiny.

Nie zamierzała wprawdzie czytać swojej opowieści, ale teraz, podczas jazdy, ogarnęła ją złość, że pozbawiono ją tego wyboru. Tyle pracy — i nie wolno jej jeszcze raz przeżyć epizodów, które być może już zapomniała. Jakie obciążenie zdoła wytrzymać stary mózg, nim zacznie pękać pod ciężarem tylu lat?

Szynka gotowana w miodzie, okulary przeciwsłoneczne, Mansfield Avenue, La Brea przelatowały za szybą samochodu. Shumda przyspieszył. Dokąd tak gnają? Miranda przypomniała sobie Frances Hatch otoczoną kwiatami w szpitalnym pokoju.

Może Shumda chce jej coś pokazać, a potem odwiezie ją do domu? Drżenie nadziei, słabe jak bicie serca kolibra, przebiegło po niej i równie szybko minęło. To koniec. Shumda z pewnością podjął odpowiednie, straszliwe kroki. Przypomniała sobie, jak wróciła do pokoju Frances i zobaczyła ją zalaną łzami.

Shumda skręcił w lewo, w La Brea, i dodał gazu. Zapadał zmierzch. Niebo było wciąż



jasne, ale gdy po wyjściu z jej domu podchodzili do samochodu, w powietrzu panowały chłód i martwota, zapowiadające rychły wieczór. Mijali tanie sklepy meblowe na La Brea, tanie apteki, tanie jadłodajnie. Na chodnikach przybyło ludzi czekających na autobusy, oczekujących przyjaciół, szukających szczęścia, które nigdy się nie uśmiechało.

Miranda wiedziała, że jej się poszczęściło. Dużo podróżowała, miała ciekawą pracę, nikt jej nie mówił, co ma robić. Dobrze zarabiała. Przez krótki czas знаła i kochała, z wzajemnością, nadzwyczajnego człowieka. Hugh. Jeśli to ma być koniec, chciała przeżyć go, myśląc o Hugh Oakleyu. Jak gdyby znał jej zamiary, Shumda przerwał te rozmyślenia.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Co zrobiłam? — odparła słabym głosem. Nie zależało jej, by odpowiadać na jego pytania, zwłaszcza gdy zostało tak mało czasu.

Podniósł rękę znad kierownicy i opuścił ją powrotem.

— Wiesz, nie jesteś jedyna. Przed tobą byli inni, którzy też to zrobili. Ale jestem ciekawy, rozumiesz? Co cię napadło, żeś dobrowolnie oddała dawne życie za coś takiego? — Znów oderwał rękę od kierownicy i trzepnął nią w powietrzu, jakby odganiał muchę. — Przecież nie miałaś pojęcia, komu je oddajesz! W głowie się nie mieści. Podarowałaś swoją nieśmiertelność obcemu. Komuś, kogo nawet nie znałaś!

Zaczęli zwalniać i zatrzymali się na czerwonym świetle. Shumda spojrział na nią i zrobił kwaśną minę. Zignorowała go, patrząc przed siebie. Zmieniło się światło, a on dalej wpatrywał się w nią, zamiast ruszać.

W końcu, bardziej do siebie niż do niego, Miranda odezwała się:

— Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam. W pewnym momencie trzeba było to zrobić i tyle. Czy to nie interesujące? Zawsze zmagalam się z sobą, raz wygrywała moja głowa, a raz serce. Ale wtedy nie było żadnej wewnętrznej walki. Nie miałam nawet wątpliwości. — Staruszka uśmiechnęła się promiennie. Jej zachowanie zmieniło się, odzyskała spokój, jakby kipiące w niej burze ucichły.

Shumda nie widział dotąd nikogo, kto by był równie spokojny, a widział wielu ludzi w jej położeniu. O tak, dosyć się na nich napatrzył.

— Za chwilę życie splunie ci w twarz, Mirando. Na twoim miejscu nie byłoby mi do śmiechu.

Reszta podróży upłynęła im w milczeniu. Miranda, ku swej radości, spostrzegła kątem oka, że Shumda raz po raz popatruje na nią, by sprawdzić, czy wyraz jej twarzy się zmienia. Czy dociera do niej potworność tego, co ma się z nią stać. Czemu wielka trwoga nie obejmuje jej ramionami, jak czyniła to zawsze z ludźmi, którym Shumda towarzyszył w drodze ku zgubie?

Minęło następne dziesięć minut. Shumda zerkał na nią co chwila, lecz wyraz zadowolenia nie schodził z jej twarzy. W porządku, ciesz się! Poczekaj, aż dotrzesz na miejsce. Aż zobaczysz, co cię czeka!

Teren stał się raptem pagórkowaty, wzniesienia były usiane pracującymi mozolnie szybami naftowymi. Spalona słońcem ziemia spłowiła na kolor khaki. Był to osobliwy zakątek Los Angeles, jakby pas ziemi niczyjej, ciągnący się między centrum a lotniskiem.

Shumda włączył kierunkowskaz i zjechał wolno na prawy pas, a następnie skręcił na pobocze. Wygasił silnik i siedział nieruchomo za kierownicą, delektując się tą chwilą. Uśmiechnął się do niej.

— Pamiętasz to miejsce?

Miranda rozejrzała się.

— Nie.

— Przypomnisz sobie. — Otworzył drzwi i wyszedł z ciężarówki. Miranda nie patrzyła na niego. Obszedł auto i otworzył podwójne drzwi z tyłu. Usłyszała, jak popycha i przesuwając jakiś metalowy przedmiot.

— Nie ruszaj się. Wracam za minutkę.

Uniosła się lekko w fotelu i przekręciła wsteczne lusterko, aby obejrzeć tył samochodu. Shumda grzebał przy czymś — Miranda nie od razu zorientowała się, co to takiego. Kiedy pociągnął z obu stron, przedmiot rozłożył się w wózek inwalidzki.

Mijały ich rozpedzone samochody — jedno daleko, drugie całkiem blisko — i wtedy oczywiście Mirandzie zaświtało już w głowie, co się stało.

Ileż to lat temu siedziała w jednym z tych aut, pędząc na lotnisko w Los Angeles. Tamtego dnia przespała się z Dougiem Auerbachem, a potem oboje poszli do wielkiej apteki. Później pojechała na lotnisko taksówką, której kierowca — podobnie jak teraz Shumda — nosił bejsbolówkę San Diego Padres. Była wtedy taka młoda, młoda i zabiegana, i nie знаła jeszcze Hugh Oakleya. Nie zobaczyła też jeszcze zmartwychwstałego Jamesa Stillmana. Wieczorem miała samolot do Nowego Jorku, gdzie parę dni później jej życie zmieniło się na zawsze. Jakże dawno temu. A jednak ów dzień i jego następstwa przytłaczały ją aż do tej pory. Nie była w stanie powstrzymać ani wspomnień, ani konsekwencji, kryształowo czystych i wyraźnych.

Shumda podtoczył wózek do jej drzwi i czekał na nią.

Kiedy jechali na lotnisko, była mniej więcej ta sama godzina, co obecnie. Nagle Miranda przypomniała sobie kobietę siedzącą na wózku przy autostradzie.

— Wychodź, Mirando. Popatrzysz sobie na samochody.

Ale wszelki ruch zamarł. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny wszystkie pojazdy, co do jednego, zniknęły z drogi. Spowiła ich dziwna cisza, jakby świat zagubił dźwięki.

— Mogę otworzyć drzwi i wywlec cię albo sama wyjdiesz, nie utrudniając nam życia.

— Co chcesz zrobić?

— Nic. Wsadzę cię na wózek i odjadę. Zostaniesz tu sama. Bogiem a prawdą, nie mam zielonego pojęcia, co się potem stanie. Ale jestem pewien, że nie będzie to zbyt przyjemne. Nigdy nie jest.

— Czy to byłam ja, Shumda? Czy tamtego wieczoru, tutaj, na wózku to byłam ja?

— Nie wiem. Ja tylko wykonuję polecenia. No już, wylaż.

Ze zdumieniem pomyślała, że powinna — najlepiej jak potrafi — robić to, co ją czeka. Skoncentrować się na tym momencie, a jeśli dopisze jej szczęście...

Drzwi otworzyły się z impetem i Shumda chwycił ją szorstko za rękę.

— Nie dotykaj mnie! — Odsunęła się od niego i pomału wygramoliła się z auta.

Autostrada była opustoszała. Na najbliższym wzgórzu pracował szyb, słyszała miarowe posapywanie pomp. Stado wróble przeleciało po niebie, ćwierkając głośno. To były jedyne słyszalne odgłosy — szyb i wróble. Miranda podeszła do wózka, złapała za podłokietniki i opuściła się wolno. Siedzisko okazało się zbyt wąskie na jej pośladki. Mościła się, szukając wygodniejszej pozycji, ale jej nie znalazła. Po chwili dała za wygraną i znów popatrzyła na wieczorne niebo. A gdyby wtedy, przed laty, zatrzymali się, aby pomóc tej kobiecie? Czy to by cokolwiek zmieniło? Czy byłyby nią? Gdyby się zatrzymali i gdyby Miranda ją zobaczyła, czy poznałaby w niej samą siebie?

Shumda odprowadził wózek na pobocze.

— Chętnie zostałbym, żeby zobaczyć, co z tobą będzie, ale mam parę spraw do załatwienia. — Rzucił okiem na zegarek. — Korzystaj z ciszy. Samochody wrócą za kilka minut. — Spojrzał na nią z beznamiętnym wyrazem twarzy. Zbierał się do odejścia.

— Shumda!

— Co?

— Kochałeś ją? Czy kiedykolwiek kochałeś Frances?

Przez moment wydawało się, że jej odpowie. Potem jednak odwrócił się i pomaszerował do samochodu. Otworzył drzwi i sięgnął do środka. Trzymał w ręku czerwony notes, jej czerwony zeszyt, pamiętnik. Skąd się tam wziął? Kiedy go zabrał? Przerzucił parę kartek, udając, że czyta. Spoważniał, potarł ręką podbródek. Bezbłędnie naśladowując idiotyczne

seplenienie Kaczora Duffy'ego, zawołał z entuzjazmem:

— Faf–cy–nu–ją–ce! — Po czym dodał tonem politowania: — Naprawdę wierzyłaś, że te b a z g r o ł y cokolwiek zmienia? — Cisnął zeszyt z powrotem do szoferki. Wsiadł, zapuścił silnik i odjechał.

Miranda obserwowała, jak ciężarówka wspina się na wzgórze i znika.

Świat jakby wstrzymał oddech. Spojrzała w niebo, ale ptaki odleciały. Pobiegnęła spojrzeniem na wzgórze — pompa szybu stała nieruchomo. Cisza. Wbijając palce w podłokietniki, zamknęła oczy. Przypomniała sobie, że w kieszeni ma nadal patyk, który dał jej Hugh, więc go wyciągnęła. Wszystko, co kiedykolwiek się dla niej liczyło, żyło w tym kawałku drewna. Mocno ścisnęła patyk w obu dłoniach. Był taki gładki. Gładki i ciepły — ostatni przedmiot, którego dotknie. W jaki sposób to zrobią? Czy wyjdą zza jej pleców, wyłonią się spoza wzgórza, czy nadciągną autostrada? Jak będzie wyglądał jej koniec?

Mogła wstać i spróbować się oddalić, ale po co? Skoro wybrali dzisiejszy wieczór, sprawa była przesądzona, bez względu na to, czy Miranda jest tu, czy gdziekolwiek indziej. Zresztą, jak daleko by zaszła na swoich starych nogach?

Pomyślała o pamiętniku, zastanawiając się, jak by go zakończyła. Intrygujące pytanie, które podniosło ją na duchu i pozwoliło oderwać się od tego, co nieuchronne. I wtedy rozległ się niski szum: potok zbliżających się samochodów, które z każdą sekundą były coraz głośniejsze. A jednak samochody. Jej koniec wiązał się jakoś z samochodami.

Miała ochotę zamknąć oczy, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Jeszcze trochę i będzie po krzyku. Szum wzmógł się i zobaczyła je. Nigdy nie widziała ani nie słyszała czegoś podobnego. Cały świat zalała erupcja ogłuszającego hałasu. Rrrum bum trrach rrrum bum! Ciężarówki, auta osobowe, motocykle przelatowały obok niej tak, aż gorący podmuch wcisnął ją w wózek. Miranda zakrzuszyła się. Nie mogła złapać tchu.

Blisko. Mijały ją coraz bliżej. Czy to już teraz? Czy w tej sekundzie? A może w następnej? Zuum! Brrum! Zuum! Szaa! Fala gorąca uderzyła ją w twarz, jej oddech przyspieszył się. Chciała zatkać uszy palcami i sprawić, żeby zniknęły, ale nie mogła. Czy można uciszyć koniec świata? Próbowała przełknąć ślinę, ale czuła jedynie suchość w ustach.

Ponieważ było ich tak wiele, nie zauważyła niebieskiego samochodu, który zjechał ze swego pasa i kierował się wprost na nią. Światła reflektorów padły na jej twarz, ona jednak nadal go nie widziała, dopóki omal jej nie przejechał, stając o parę stóp od niej. Piasek zachrząścił wściekle pod kołami, a wokół auta wzbiła się chmura kurzu i żwiru. Inne pojazdy niestrudzenie pręły dalej. Ten zaś stał tuż przed nią. Czy już? Uplłynął jakiś czas. Sekundy? Minuty? Nagle otworzyły się drzwi i Miranda usłyszała brzęczyk informujący pasażera, że dzieje się coś złego.

Zapaliła się lampka w kabinie i Miranda po raz pierwszy dostrzegła kierowcę. Mężczyzna siedział bez ruchu i patrzył na nią. Potem wyszedł z auta, przy czym spojrzał w pierw za siebie, aby nie wpaść pod rozpędzone samochody. Przymknął drzwi, ale nie na tyle, by wyłączyć brzęczyk.

Ruszył ku niej wolnym krokiem. Był w średnim wieku. Jego twarz miała w sobie coś znajomego, a jednak obcego i odległego, jej bijące mocno serce nie mogło tego rozgryźć. Było w nim coś, co...

— Nie wiedziałem, czy zdążę.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego pośród bezlitosnego szumu, gdyż coś znajomego, tuż w zasięgu jej umysłu, kazało jej dobrze mu się przyjrzeć. Więc przyglądała mu się. i rozpoznała go.

— Declan?

Dopiero, kiedy się uśmiechnął, upewniła się do końca, że to syn Hugh, ponieważ miał jego uśmiech. Poznałaby go, nawet gdyby żyła milion lat.

— Musimy się pospieszyć, Mirando. Oni już tu jadą i nie wiem, ile zostało nam czasu.

Złamałem wszystkie przepisy, żeby tylko...

— Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

— My wiemy wszystko. Nieśmiertelność ma swoje zalety. — Zaniepokojony obejrzał się za siebie.

— Skąd ta pewność, że jesteś nieśmiertelny? Przeżyłeś dopiero jedno życie! To dlatego pisałam pamiętnik. Żebyś go odnalazł i uniknął...

— Musimy jechać, Mirando! Nie mamy chwili do stracenia. Opowiesz mi w wozie. Musimy stąd natychmiast pryskać. Oni zaraz tu będą.

— Dlaczego, Declan? Czemu to robisz?

— Bo dałaś mi życie! — wyrzucił z siebie. — Bo poświęciłaś własną córkę, żebym ja żył! Czy mógłbym w tej sytuacji nie spróbować ci pomóc?!

Milczenie. Zrozumienie. Zdumienie.

Jedyne, co mogła zrobić — i uczyniła to bez namysłu — to wysunąć rękę z patykiem, który jej podarował jego ojciec. Declan zrozumie, co to znaczy.